TONY

HALIK

180 000

KILOMETRÓW PRZYGODY

PELPLIN 2006

PRZEDMOWA

Ta książka należy do wcześniejszego, przed-mojego życia Tony'ego i może nie ja powinnam pisać do niej słowo wstępne. Ale – któż inny znał go lepiej, wysłuchał tylu jego opowieści, wędrował z nim tropem wspomnień, także tych indiańskich. Choć najważniejsza była dla niego – jak i dla mnie – zawsze przyszłość, to od przeszłości się przecie nie odcinał. Jakżeby zresztą mogło być inaczej, skoro nadał synowi imię Ozana, dług wdzięczności za uratowanie życia przez indiańskich przyjaciół.

Wyprawa przez obie Ameryki była dla nich – Tony'ego, jego ówczesnej żony Pierrette, a potem i Ozany – wspaniałą przygodą, ale nie tylko. Uczyli się na żywo antropologii, etnografii, historii, biologii, rzemiosła i języków. Była też ta podróż przepustką do świata podstawowych reguł moralnych, jakimi kierowali się Indianie. Nie było w nich miejsca na fałsz, strach, brak odpowiedzialności. Tak jak Indianie Tony zabijał zwierzynę wtedy jedynie, gdy był głodny. Oczywistością było, że trzeba sobie wzajemnie pomagać, bo od tego często zależy życie.

Jestem też pewna, że podczas pobytu wśród plemion Tony nauczył się tolerancji dla innych, szacunku dla cudzych przekonań, szczerości, odwagi, umiejętności znoszenia bólu i niewygód, co starał mi się przekazać podczas naszych wypraw. Tony całym sobą chłonął kulturę Indian i wiernie przekazywał ją Czytelnikom w swoich książkach.

Zatem – mogę powiedzieć, że i ja z jego doświadczenia wiele skorzystałam. Może być ono przydatne także Czytelnikom tej książki. Świat, który Tony opisuje, to świat sprzed pół wieku, jednak zasady współżycia między ludźmi pozostają takie same i należy je chronić w naszej galopującej teraźniejszości. Polecam Wam, drodzy Czytelnicy, tę książkę szczególnie serdecznie.

Elżbieta Dzikowska

24 stycznia 2006, w kolejną rocznicę urodzin Tony'ego

SPIS TREŚCI

Przedmowa	5
Początek wyprawy	11
Dom na kółkach	13
W Argentynie	27
Morskie złoto	31
Skamieniałe lasy Patagonii	45
Zemsta Diany-Łowczyni	57
„A kiedy pojadę do Chile..."	63
Rycerze Dróg	69
W dawnym państwie synów Słońca	77
Z czarownicą w zaklętym mieście	79
Kraj wujka Lucyfera	85
Nad Titicaca, świętym jeziorem Inków	95
Dawne imperium Inków	107
Noc w Macchu Picchu	115
Ptaki dające guano	125
Tajemnica wulkanu Sangay	133
Spotkanie w górach	135
Łowcy głów	141
Wulkan żąda ofiary	149

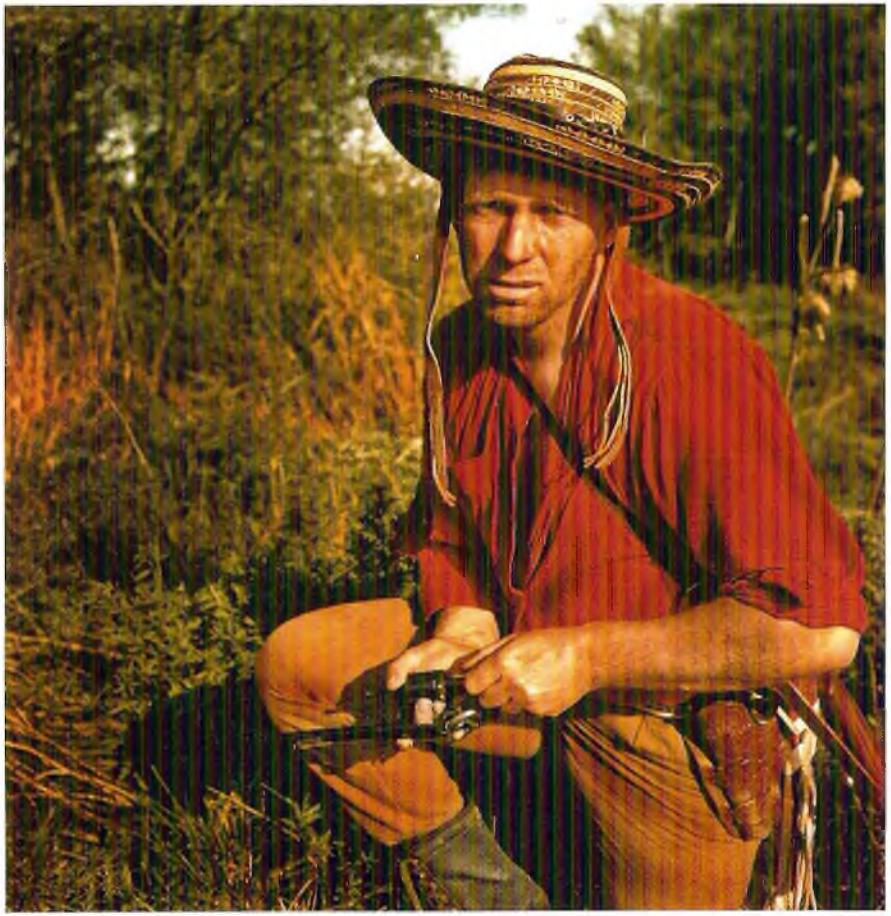

Biały „chapeicu" 155
Jak stałem się łowcą głów 161
Tajemnica pozostaje niewykryta 167
W geograficznym środku Ameryki 177
Rybak i jego bongo 180
Panamskie kapelusze robi się w Ekwadorze 185
Zielona gorączka 189
We władzy zielonej gorączki 195
Kopalnia w Muzo 201
Strażniczka skarbu 205
Zaślubiny w selwie 209
Kiedy ogień zakocha się w wodzie 215
Na ziemiach Karaibów 221
Polowanie na ducha śmierci 227
Wróżba ognia i wody 231
Wyspa kobiet 235
W Meksyku 243
Teotihuacan („tam, gdzie bogowie stworzyli Słońce") 245
Legenda o henequenie 255
Chamulowie i ich gubernator 258
Zwiedzamy Meksyk 263
Ostatni kapłan świątyni Węża 267
Bankiet w selwie 271
Ludzie-ptaki z Papantla 287
Acapulco: skoczkowie i turyści 297

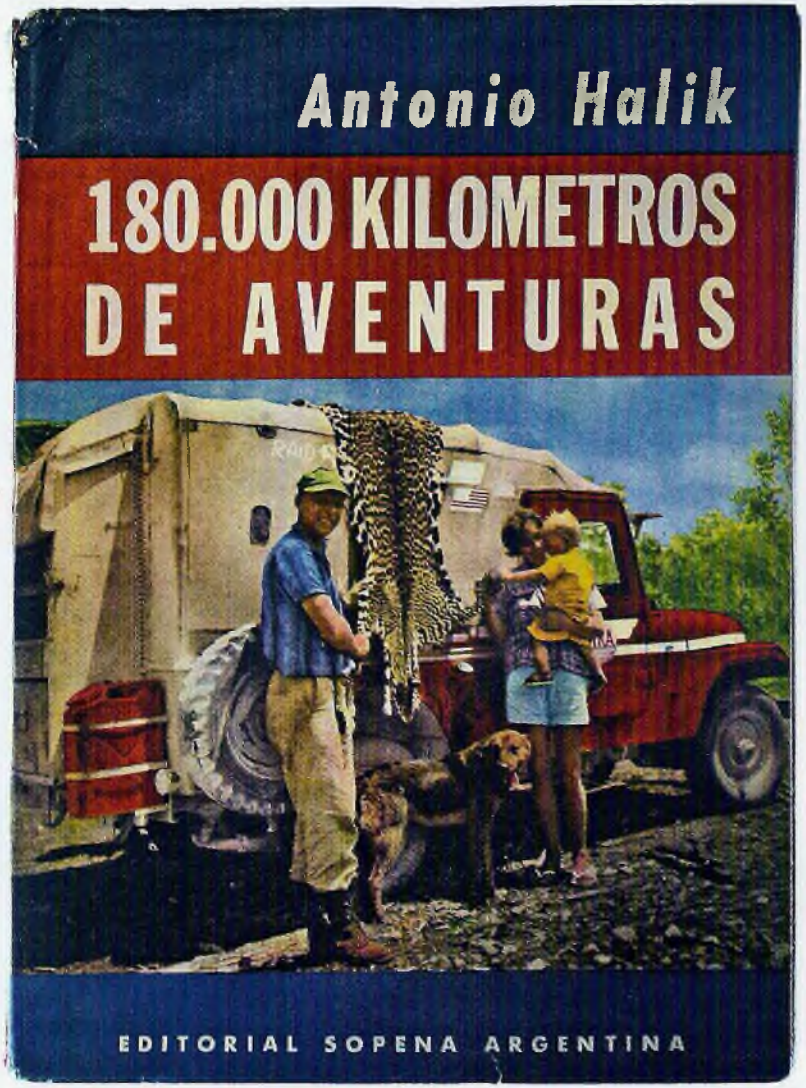

Okładka pierwszego wydania książki - Argentyna 1965

POCZĄTEK WYPRAWY

Było to w Buenos Aires. Trwało właśnie przyjęcie w naszym domu - międzynarodowe towarzystwo, drinki z lodem i okropny upał.

W pewnej chwili kolega pyta mnie, dokąd planuję kolejną wyprawę? Odpowiedziałem żartem:

- Duszno tu. Pojadę na Alaskę, łyknąć świeżego powietrza.

I tak to się zaczęło.

Kilka tygodni później, 29 marca 1957, wyruszyliśmy z Plaza del Congreso w centrum Buenos. Najpierw na południe – w stronę Ziemi Ognistej – by wkrótce zawrócić na północ – w stronę Alaski.

Do Buenos Aires powróciliśmy po czterech latach – 16 czerwca 1962. Na Plaza del Congreso witały nas kamery kilku wielkich sieci telewizyjnych i tłum reporterów. Licznik naszego jeepa pokazywał 182 000 kilometrów.

***

Niniejsza książka jest relacją z tamtej wyprawy. Nie będę trzymał się chronologicznego porządku. Nie chciałbym nużyć relacją wypadków dzień po dniu, jak w dzienniku podróży, czy kilometr po kilometrze, jak w przewodnikach turystycznych.

W naszym jeepie znajdował się mały schowek na pamiątkowe przedmioty. Wypełniały go kamyki, muszle, drobne obiekty ceramiczne, monety, łuski nabojów, zęby zwierząt, groty strzał, zmniejszone głowy, połamane śruby itp. Każdy z tych skarbów przypominał nam jakąś przygodę.

Na stronach tej książki wysypuję zawartość schowka z pamiątkami i opisuję przeżycia z nimi związane. Mam nadzieję, że moje zbiory przypadną Państwu do gustu.

Tony Halik

DOM NA KÓŁKACH

Był to pick-up z czterocylindrowym silnikiem o mocy 76 KM. Jego metalowa kabina łączyła się z platformą, osłoniętą jedynie plandeką rozpiętą na metalowym szkielecie. Wewnątrz tej części wozu mieściła się metalowa szafa, szeroka i wysoka, z rozsuwanymi drzwiami. Podzielona była na trzy części. W pierwszej znajdowały się wyłożone gąbką drewniane szuflady na kamery i aparaty filmowe, specjalne soczewki i magnetofon. Trzymaliśmy tam również środki pierwszej pomocy i aparaturę fotograficzną. A jedna specjalna szufladka przeznaczona była na drobne znaleziska, bibeloty itp. Podczas naszej podróży była zawsze zapchana i często stawała się powodem sprzeczek. Bowiem Pierrette chciała zachować na pamiątkę wszystko, co tylko nawinęło się jej przed oczy: kamyczki, muszelki oraz ceramikę, laleczki i staroindiańskie wyroby artystyczne kupione na indiańskich targach. Jej zbiory sąsiadowały z moimi kolekcjami monet, kulek, zwierzęcych zębów, grotów strzał, kawałków skamieniałego drewna, zmniejszonych główek małpich i ludzkich oraz innymi podobnymi przedmiotami. W środkowej części szafy urządziliśmy archiwum. Przechowywaliśmy tu wywołane i posegregowane filmy i odbitki, podręczną biblioteczkę, a także materiały niezbędne przy spisywaniu relacji z podróży, broszury, zeszyty itp. (wracając z podróży, wieźliśmy ze sobą ponad osiemdziesiąt pięć kilo zapisanego papieru). W trzeciej części szafy trzymaliśmy nasze ubrania. Garderobę musieliśmy mieć bardzo urozmaiconą, stosownie do całej gamy klimatów - od najchłodniejszego do najbardziej gorącego. Miała się też nadawać na różne okazje: przedzieranie się przez selwę*, wizyty u prezydentów, życie w indiańskich wioskach, czy oficjalne bankiety. Zwłaszcza Pierrette miała z tym kłopot, bo kobiety

* Wiecznie zielony, wilgotny las równikowy, pokrywający niemal cały obszar dorzecza Amazonki.

zawsze potrzebują więcej rzeczy niż mężczyźni. Ubrania codzienne musiały być pod ręką, a eleganckie chowaliśmy w plastykowe torby, bo wszędzie dostawał się piasek. Po przeciwnej stronie platformy umieściliśmy trzy duże, metalowe skrzynie, hermetycznie zamykane, przeznaczone na archiwum taśm dźwiękowych i filmowych. Nad tymi skrzyniami wisiał hamak, na którym kładliśmy wszystko, co mogło być w każdej chwili potrzebne. Gdy wypadło nam nocować w samochodzie, co jest niezbyt wygodne, hamak służył również jako łóżko naszego psa Wally'ego. Mieliśmy także lodówkę, ale nie przechowywaliśmy w niej jedzenia ani napojów, tylko materiały filmowe, które wymagają stałej temperatury. Na dworze wskazówka termometru wahała się od ponad 50 stopni w dzień, do kilku stopni poniżej zera w nocy. Lodówka była więc niezbędna. Na podłodze wozu stały jeszcze metalowe pudła z rezerwami żywności „na czarną godzinę", częściami zapasowymi do samochodu, bateriami i innymi ciężkimi przedmiotami. To dobrze wpływało na stabilność pojazdu, trochę zachwianą przez wysoką szafę. Pod siedzeniami i obok nich umieściliśmy dodatkowe zbiorniki z benzyną, zawierające w sumie 280 litrów.

Tylną część samochodu przedłużyliśmy na zewnątrz, wmontowując tam coś w rodzaju drewnianej szafy, podzielonej z kolei na dwie części. Niższą stanowiła mocna szuflada, mieszcząca przybory kuchenne i piecyk. Było to bardzo praktyczne rozwiązanie, bo mogliśmy mieć wszystko pod ręką bez wyładowywania i załadowywania. Oczywiście podczas deszczu nie było tak łatwo! Ale wtedy obywaliśmy się bez jedzenia. Nad tą szufladą zainstalowaliśmy „budę" dla Wally'ego. Tak ciasną, że biedny zwierzak musiał się nieźle nagimnastykować, by się w niej jakoś ułożyć. Ta „buda" pojawiła się w drugiej części naszej podróży, kiedy to nieoczekiwanie odwiedził nas bocian. Najwyraźniej postanowił z nas zażartować i do naszego przeciążonego jeepa dorzucił jeszcze jeden słodki ciężar. Takiej ewentualności nie braliśmy pod uwagę, wybierając się na naszą wyprawę. Z winy bociana powstało wielkie zamieszanie. Oczywiście, najbardziej odczuła je Pierrette. Po piętnastu latach włóczęgi, z dnia na dzień musiała porzucić swoje eksploratorskie pasje i wcielić się w rolę matki, i to w jakich warunkach!

Wally'emu, rzecz jasna, ta zmiana nie przypadła do gustu. Nie mógł już jak dawniej wygodnie podróżować z nami w kabinie jeepa. Musiał zrobić miejsce nowemu pasażerowi, naszemu synkowi, Ozanie. Nowa sytuacja życiowa wymagała innowacji. Zamontowaliśmy na zewnątrz wozu prostą, ale przydatną pralkę, zrobioną ze zwykłej wojskowej puszki po konserwach. Wystarczało napełnić ją wodą z mydłem, a bielizna prała się sama podskakując na wybojach. Im gorsza była droga, tym czystsze było nasze pranie, a przy tym nic nie kosztowało. Pierrette zawsze mówiła, że to mój największy wynalazek, godny geniusza – na co odpowiadałem jedynie skromnym uśmiechem.

Po obu bokach jeepa zwisały dwa brezentowe worki z wodą, która chłodziła się podczas jazdy. Był to dość duży zapas, w sam raz na potrzeby nasze i samochodu. Ponad kabiną, pomiędzy nią a plandeką, trzymaliśmy śpiwory, koce, grube ubrania itp., a za moim siedzeniem – strzelbę Halcón 22, której używaliśmy do polowania i w obronie własnej. W wolnych miejscach, obok silnika, ustawiliśmy puszki z oliwą i baterie. Dzięki temu mieliśmy zawsze prąd potrzebny do oświetlenia albo do magnetofonu. Wyposażenie naszego ruchomego domu uzupełniały: łopata, siekiera, dwa zapasowe koła i komplet osi. Nasz pick-up zdolny był udźwignąć ładunek o wadze 750 kilo. My wieźliśmy 2550 kilogramów, toteż musieliśmy wprowadzić pewne zmiany w systemie resorów i amortyzatorów. Zainstalowaliśmy takie, jakich używa się w ciężarówkach. Oczywiście silnik był przeciążony pracą, ale na inny samochód nie było nas wtedy stać. Mocno łamaliśmy sobie głowy, jak wyposażyć nasz dom na kółkach. Tysiące razy obliczaliśmy wagę niezbędnych przedmiotów. Wyrzucaliśmy jedne i próbowaliśmy je zastąpić innymi. A wszystko to w morderczym wyścigu z czasem. Zbliżała się zima i na południu kraju zaczynały się deszcze. Trzeba było się spieszyć!

Fabryka „Cacique", produkująca artykuły campingowe, zaopatrzyła nas w jeden ze swych wspaniałych namiotów typu Turin. Miał nieprzemakalną podłogę i podwójny dach. Podczas całej podróży rozbijaliśmy go 684 razy i przespaliśmy w nim 1253 noce. Dokonaliśmy w nim małej modyfikacji, polegającej na przesłonięciu wejścia moskitierą. Pozwoliło nam to spać przy otwartych drzwiach, bez narażania się na przykre towarzystwo moskitów

i innych owadów. Dwa puchowe śpiwory służyły nam za łóżka. Mieliśmy też gumowe materace, ale uznaliśmy, że nadmuchiwanie ich co wieczór to zbyt wielka praca. Natomiast przydawały się znakomicie, gdy trzeba było przepływać rzeki, bo wtedy układaliśmy na nich cały bagaż.

Największy problem stanowiły opony, które nie mogły udźwignąć takiego ładunku. Aby nie jechały na pół napompowane, trzeba było utrzymywać w tylnych kołach ciśnienie 60 funtów na cal, co jest zabronione nawet przy oponach o sześciu warstwach. Taka eksploatacja była dość ryzykowna i nie mogła trwać długo. Dopiero w Ameryce Środkowej dostaliśmy opony francuskiego koncernu Michelina, z drucianą siatką, i te wytrzymywały znakomicie. Podczas całej trasy, liczącej 180 000 kilometrów, wymieniliśmy osiem kompletów opon. Większą część zniszczeń zawdzięczaliśmy ostrym kamieniom na złych drogach. Przecierały gumę na długo przedtem, zanim zdarła się zabezpieczająca ją warstwa.

Przygotowania, korespondencja i obowiązki towarzyskie zajmowały nam tyle czasu, że nie mieliśmy chwili wytchnienia. A do tego jeszcze należało załatwić formalności: paszporty, wizy, pozwolenie na broń, pozwolenie na przewóz psa, szczepienia – całe mnóstwo papierków, stempli i podpisów. Aż wreszcie nadszedł 27 marca, dzień wyjazdu. Do czwartej rano pakowaliśmy ostatnie drobiazgi. Ledwie od dwóch godzin leżeliśmy w łóżku, kiedy grupce przyjaciół wpadło do głowy obudzić nas „strzałem" z szampana. Do tego Wally przypomniał sobie nagle, że powinien się pożegnać ze swoimi psimi pięknościami i kiedy chcieliśmy już ruszać, zniknął. Szukaliśmy go przeszło pół godziny. Reporterzy telewizji i filmu czekali na nas o ósmej na Plaza del Congreso. Było już po dziewiątej, a Wally'ego ciągle ani śladu. Pobiegliśmy go szukać, każde w inną stronę, ale na próżno.

– Jedźmy – zdecydowałem wreszcie. – Nie możemy dłużej czekać.

– Nie zostawię Wally'ego! – krzyknęła Pierrette. – Bez niego nie jadę.

– Wrócimy po niego, jak się skończy ceremonia na Plaza del Congreso.

– Nie – powiedziała przerażona. – Nie można. Zawracanie z drogi przynosi pecha.

Nie wytrzymując dłużej, wsiadłem do jeepa i zapuściłem motor. W tej samej chwili raczył zjawić się Wally. Pierrette skoczyła ku niemu jak błyskawica i spuściwszy mu lanie, wpakowała do wozu, po czym ruszyliśmy pełnym gazem. Na Plaza del Congreso przybyliśmy z przeszło godzinnym opóźnieniem. Oczywiście, wiele osób już odeszło, ale prawdziwi przyjaciele (ci, co znali nas na tyle, aby wiedzieć, że z Halikami wszystko może się zdarzyć) czekali wytrwale.

– Gotowe?... Do zobaczenia!...

– Do widzenia, przyjaciele! Adiós, Buenos Aires!...

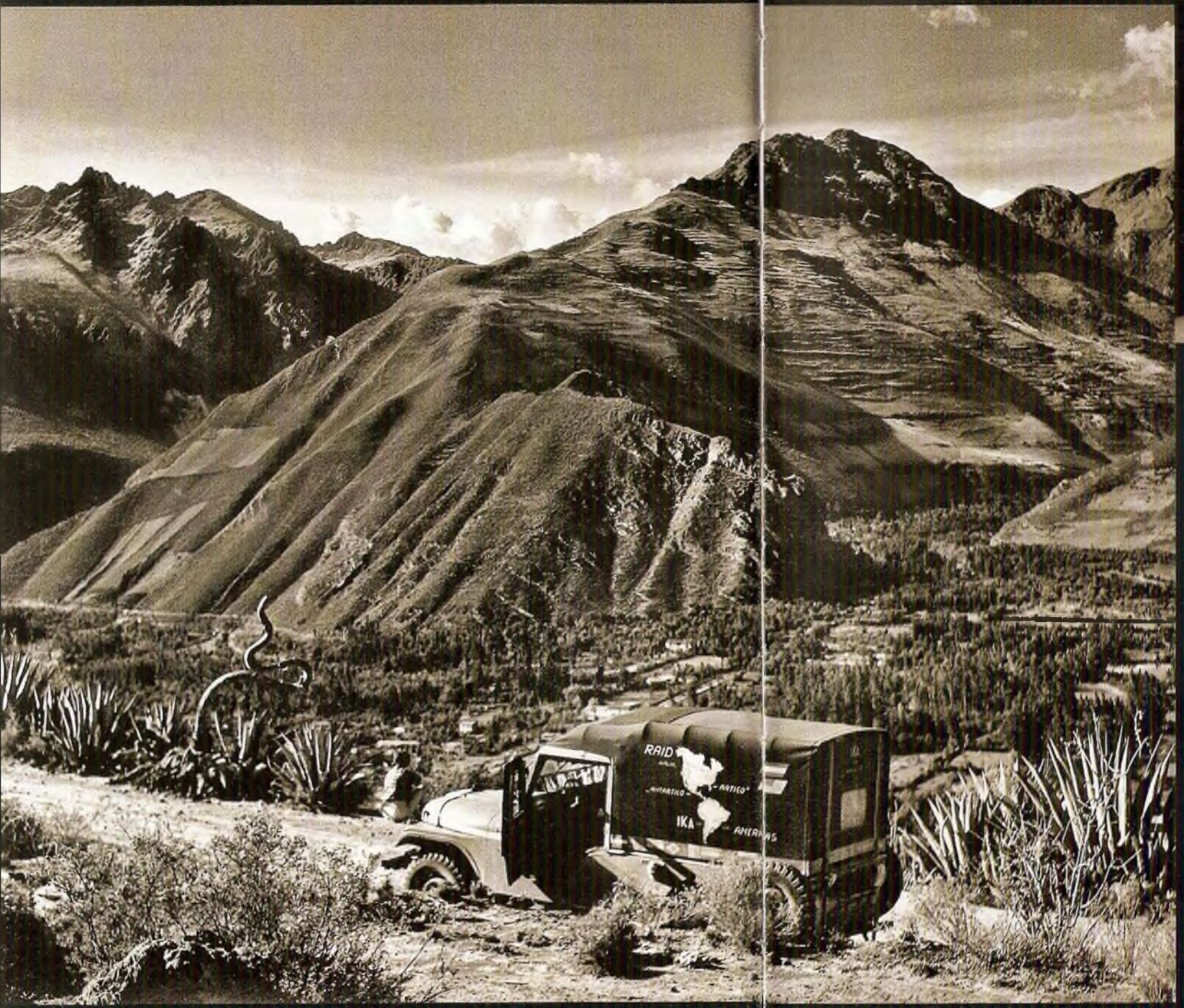

JEEP

Nasz dom na kółkach. Pick-up z czterocylindrowym silnikiem o mocy 76 KM. Zdolny udźwignąć ładunek o wadze 750 kg, my wieźliśmy 2250 kg. Przygotowując wyprawę, nie spodziewaliśmy się, że dołączy do nas jeszcze jeden pasażer – urodzony w drodze syn Ozana.

Na zewnątrz wozu przymocowaliśmy pralkę zrobioną z puszki po konserwach. Wystarczyło napełnić ją wodą z mydłem, a bielizna prała się sama. Im gorsza droga, tym czystsze pranie.

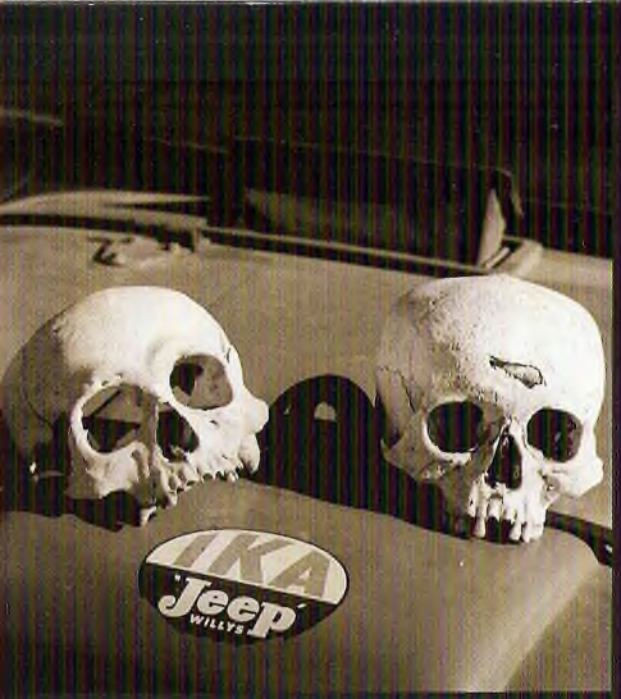

Podczas całej podróży liczącej 180 000 km wymieniliśmy osiem kompletów opon. Zniszczenia zawdzięczaliśmy złym drogom i ostrym kamieniom, które przecierały gumę.

W części szafy urządziliśmy archiwum. Trzymaliśmy tu filmy i podręczną biblioteczkę, a także materiały niezbędne przy spisywaniu relacji z podróży. Wracając, wieźliśmy ze sobą ponad osiemdziesiąt pięć kilo zapisanego papieru.

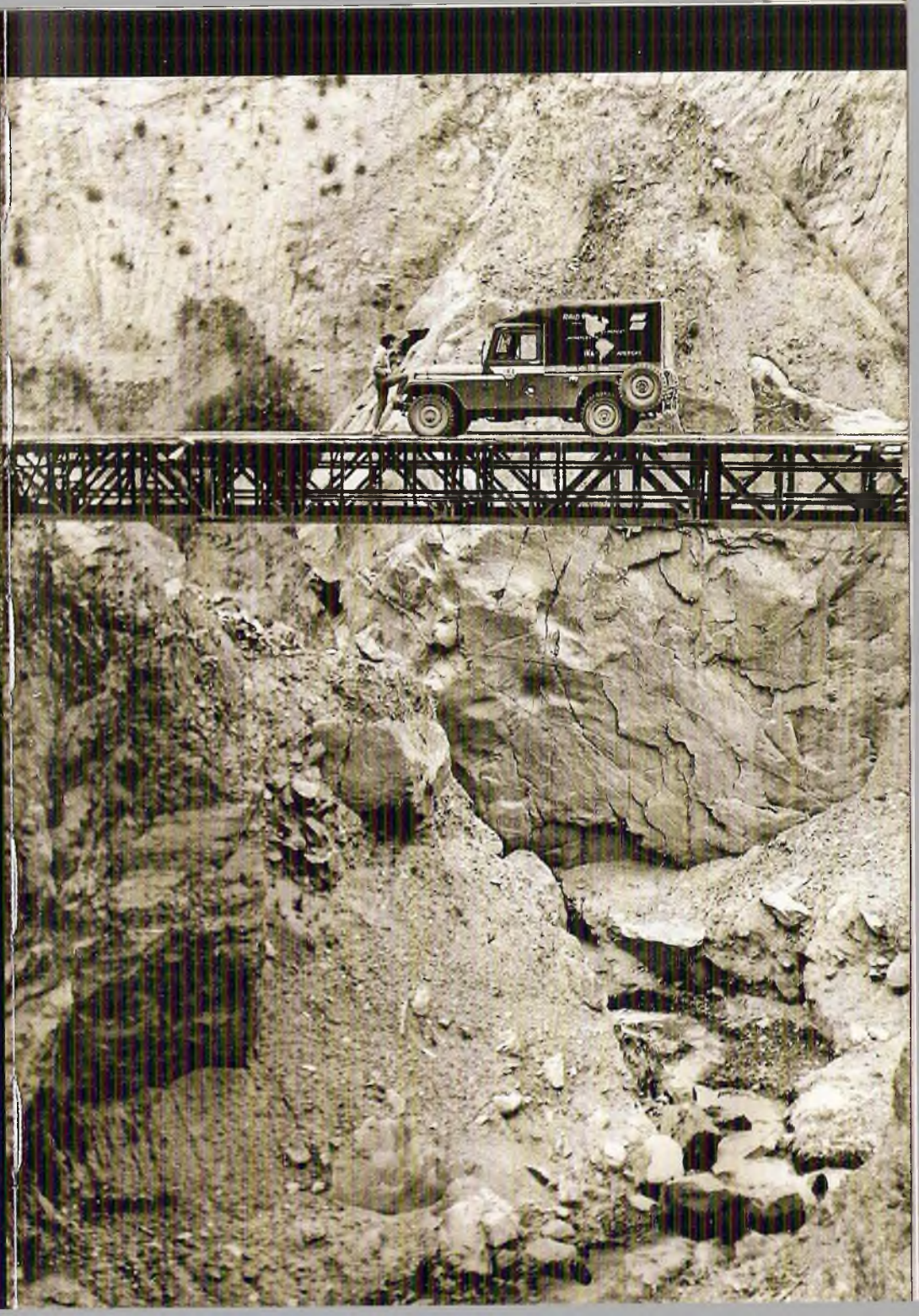

W ARGENTYNIE

– Czego pan chce?

Lufa karabinu wycelowana prosto w mój brzuch uświadomiła mi, że właściciel tej broni nie jest specjalnie zadowolony z mojej wizyty.

– Mam dla pana list, don Conrad, list od pańskiego przyjaciela Behmana. Bo pan jest Conrad Aselborn, prawda?

– Jasne, że to ja! Kogo pan chciał tu spotkać, jak nie mnie? A jeżeli pan zna moje nazwisko, to pewnie pan wie i to, że ze mną nie ma żartów. Daj no pan ten list!

Nie opuszczając karabinu rozdarł zębami kopertę i czytał, popatrując na mnie kątem oka. Stałem przed niedużym mężczyzną o twarzy porośniętej wielodniowym zarostem, ubranym w jakieś stare i podarte łachy. Silny i zimny wiatr od morza rozwiewał kosmyki wymykające się spod jego podbitej futrem czapki. W głębokim wąwozie miał maleńką chatkę, do której dostęp możliwy był jedynie od strony morza, i to po stromych stopniach skał. Niewielka szopa z blachy i drewna, przed którą suszyły się lisie skóry, stanowiła uzupełnienie tej małej fortecy, dobrze ukrytej i chronionej przez samą naturę.

Gospodarz fortecy skończył czytać list. Jego niebieskie oczy, wyblakłe od wiatru i słońca, patrzyły na mnie dłuższą chwilę. W końcu odezwał się.

– Stary pisze, że przysyła mi butelkę whisky. Gdzie ona?

Bez słowa wyciągnąłem z plecaka dwie butelki i dodałem:

– Ta jest od Behmana, a ta ode mnie, prezent od przyjaciela.

– O, tak to rozumiem – odparł, gładząc pieszczotliwie obie flaszki.

W jego oczach zapłonęły radosne iskierki. Przestał wreszcie celować we mnie i przewiesił karabin przez ramię.

– Może pan wejdzie – rzekł uprzejmie i gestem księcia zapraszającego do pałacu, wskazał mi drzwi swojej chaty. W środku stały proste sprzęty – drewniany stół i ława. Ponadto, były tam czarne od sadzy garnki, mała szafka zawieszona na ścianie i trochę metalowych puszek. W kącie żelazne łóżko z całą kupą starych okryć i kap, a w drugim kącie kije, łopaty i blaszane rupiecie. Kiedy już na ogniu piekły się króliki, a poziom whisky w butelce powoli zbliżał się do dna, don Conrad opowiedział mi swoją historię.

Było to tak. W burzliwą i zimną noc mała łódź „Criollita" walczyła z wysoką falą, która raz po raz zmywała jej pokład. Młody, niebieskooki mężczyzna przy sterze nie odrywał wzroku od zielonej ściany wody szalejącej na wietrze. Grzebienie piany, niczym chciwe ręce, wyciągały się po jego kruchą łódkę. Mężczyzna dzielnie zmagał się z żywiołem lodowatego morza, które oblewa południowy kraniec kontynentu amerykańskiego i jest cmentarzem wielu statków, dużych i małych.

Odkąd po raz pierwszy, w roku 1520, kapitan Ferdynand Magellan zdołał umknąć władzy tego morza, pobrało ono okrutną daninę w postaci wielu okrętów i ludzi. Tych, którzy chcieli tędy przepłynąć, by dostać się na drugą półkulę. Czterysta lat później Kanał Panamski otworzył nową drogę, pozwalając wędrowcom kpić sobie z burz. Wciąż jednak wielu żeglarzy decydowało się forsować to zimne i niespokojne morze. Ono zaś nie przestawało domagać się swego haraczu.

Nagle wzrok mężczyzny napotkał jakiś cień – to skały. Szybki ruch sterem gwałtownie obrócił łódź, ale rozzuchwalone fale uniosły ją na swych grzbietach i z całej siły cisnęły o brzeg. Rozległ się trzask pękających desek i krzyk kobiety, zduszony natychmiast przez wściekłą furię żywiołu. Mężczyzna, który stawiał czoło morzu, został pokonany. Fale porwały go od steru i omdlonego rzuciły na ląd. Ale jego bezwładne ciało nie rozbiło się o kamienie. Los sprawił, że upadł na miękki piasek plaży.

MORSKIE ZŁOTO

W ostatnim wściekłym porywie morze zniszczyło do reszty łódź i jej ładunek, który stanowiły skrzynki z towarami, butelki, beczułki wina i paliwa. Przez chłodny kwietniowy świt 1933 roku przedarł się wreszcie promyk słońca zza chmur. Jego blask padł na leżącego na plaży młodego mężczyznę, który w zaciśniętej dłoni trzymał piasek. Było to złoto morza. Wydobyte z głębi przez burzę i wyrzucone na ten bezludny brzeg, gdzie tylko mewy mają swe gniazda. Mężczyzna drgnął, powoli odzyskiwał przytomność. Usiadł. Jego wzrok powędrował ku morzu, wyzłoconemu przez wschodzące słońce i zatrzymał się na szczątkach łodzi. Jak błyskawica przeszyło go wspomnienie minionej nocy. Z jego gardła wydobył się ochrypły krzyk: „Alicja!" Chciał wstać, ale znowu zemdlał. Upadł na mieniący się złotem piasek. Tym mężczyzną był Conrad Aselborn, Niemiec z pochodzenia.

Zbliżał się wieczór. W ostatnich blaskach długiego jesiennego dnia można było dojrzeć sylwetkę Conrada skulonego na skale. Niżej, u jego stóp, fale wysokiego przypływu zalały część plaży, unosząc resztki łodzi. Na próżno szukał ciała żony i przyjaciela Hansa, który płynął razem z nimi. Od trzech lat żeglował po wodach Ziemi Ognistej, dostarczając żywność i różne inne towary mieszkańcom odległych ferm hodowlanych i poszukiwaczom złota. Praca była ciężka, lecz dawała zyski, więc Conrad mógł spłacić wspólnika i stać się wyłącznym właścicielem łodzi. W jednej ze swych podróży do Punta Arenas poznał Alicję, uroczą Chilijkę, z którą się ożenił. Na tę ostatnią wyprawę zabrał ją ze sobą, aby i ona zobaczyła piękne wybrzeża Ziemi Ognistej i aby mogli dłużej być razem. Nagły sztorm pozbawił go wszystkiego. Został zupełnie sam. Jego skąpy dobytek, zdobyty kosztem trudów i niebezpieczeństw, zabrała woda. Conrad z całej duszy nienawidził teraz morza.

– Zapłacisz mi za to, przeklęte! – krzyknął, zaciskając pięści. – Już ty mi zapłacisz!

– Biedna i nędzna ludzka istoto, cóż mi możesz zrobić? – zdawało się odpowiadać morze. – Czy zdołasz ode mnie wymusić jakąkolwiek zapłatę? Twoje życie jest nic niewarte wobec milionów lat, jakie ja mam za sobą. Ja zabieram, ale nic nie daję!

– To się jeszcze zobaczy! – odparł Conrad. – Będziesz mi płacić z tych skarbów, które zazdrośnie ukrywasz w swoim wnętrzu. Będziesz mi płacić czystym złotem, póki nie odzyskam tego, co straciłem!

– Odejdź, marny człowieku. Nie zadzieraj ze mną, wiecznie żyjącym morzem. Odejdź i nie mów nikomu, że na tej plaży natrafiłeś na złoto, bo przyjdą inni i zabiorą ci spokój. Odejdź i nie wracaj tu nigdy! Jeśli mnie nie usłuchasz, zabiją cię moje fale, moje lodowate wichry, moja potęga i samotność!

– Nie! Zostanę tutaj i każę ci pracować dla mnie. Nigdy nie zdołasz mi zapłacić za życie moich bliskich, ale każdego ranka zabiorę ci część twych skarbów. Będziesz pracować dla mnie, przynosząc mi złoto z twego dna. A im bardziej będziesz się wściekać, tym więcej mi go przyniesiesz!

Minęły dwa lata. Conrad wykopał sobie w wąwozie jaskinię i osłonił ją przed wiatrem deskami, blachą i kamieniami. Zrobił chatkę, prymitywną, ale bezpieczną i dobrze ukrytą. Beczki posłużyły mu do gromadzenia deszczówki. Strzelba i sidła dostarczały mięsa do jedzenia. Żył z dala od innych ludzi, prowadząc swoją samotną walkę z morzem. Z biegiem lat nienawiść osłabła. Teraz przypominali dwóch wrogów, pogodzonych z faktem, że są na siebie skazani. To właśnie z morzem rozmawiał całymi godzinami, siedząc na skałach. Złorzeczył, a czasem zwierzał mu się ze swych obaw i prosił o rady. Ono zaś wskazywało mu czas i pory roku, było jego kalendarzem, a także jego jedyną rozrywką. Podziwiał piękno morskich barw o świcie i o zmierzchu. Przyglądał się igraszkom delfinów i wodotryskom wypuszczanym przez wieloryby. Morze żywiło go rybami i innymi wodnymi stworzeniami, gdy nie mógł polować. Od czasu do czasu przynosiło mu coś w prezencie, kawałek drewna, piękną muszlę. Stało się częścią jego życia. Nie mógł już istnieć bez morza. Bardzo rzadko wychodził ze swej nadmorskiej kryjówki i coraz rzadziej kontaktował się ze światem.

Niekiedy wyruszał do oddalonego o kilkanaście kilometrów Monte Dinero, należącego do wielkiego właściciela ziemskiego. Była to jedna z najlepiej zorganizowanych posiadłości w Argentynie, małe państwo w państwie. Conrad chodził tam zwykle, aby kupić yerbę, cukier i tytoń. A ponieważ polował na lisy i króliki – dwie wielkie plagi farmerów – był dobrze widziany przez zarządcę majątku. Dostawał od niego naboje i od czasu do czasu butelczynę, w zamian za skórki zwierząt. Drugim jego przyjacielem był stary Behman z Ushuaia. W młodości Behman także żeglował po tych wodach, handlując z farmerami i poszukiwaczami złota. Przez długie lata Conrad wielokrotnie odwiedzał Behmana, który osiadł na stałe w Ushuaia. Ale ostatnio nie widywał go wcale. Bo Behman nie wychodził już z domu, a i Conrad niechętnie rozstawał się ze swoją samotnią. Byli jednak w dalszym ciągu dobrymi przyjaciółmi.

Conrad budził się co dzień bardzo wcześnie. Z wysokości skał witał morze i pytał, czy przyniosło mu dużo złota. Potem schodził na plażę, szukać tego, co mu zostawiło – miałkiego, wymytego piasku, zawierającego sproszkowane złoto. Zbierał ten piasek łopatą, a jeśli zawierał dostateczną ilość złota, gromadził go dalej w miejscu chronionym przed przypływem. Mało złota mi dajesz dzisiaj! – skarżył się, zgarniając delikatny muł.

Następnie przynosił swoją maszynę. Bardzo pomysłowy aparat, który sam skonstruował prymitywnymi narzędziami. Zrobiony był z blachy i drewna. Składał się z dwóch części. Najważniejsze było korytko z miedzianymi płytkami pociągniętymi rtęcią służące do amalgamacji drobinek złota. Nad korytkiem mieściło się sito z perforowanej blachy, na którym pozostawały kamienie, a czasem nawet większe bryłki złota. Do płukania Conrad potrzebował morskiej wody. I była to jego codzienna, pełna podstępów walka z żywiołem. Musiał nabierać wody do naczyń dokładnie w momencie, gdy fala się cofała i zdążyć uciec przed następną. Morze wciąż starało się go oszukać. Udawało, że jest spokojne. Gdy tylko zanurzył wiadra, wysyłało mu naprzeciw górę wody, która miała go zwalić z nóg, pociągnąć na głębinę i utopić. Ale on dobrze znał tę grę i zawsze zdołał w porę umknąć. Wtedy morze cofało się, rycząc jak rozszalałe zwierzę, które nie może dosięgnąć ofiary. A on, zwycięzca, śmiał się!

– A widzisz – mówił – znów ci się nie udało. Nigdy mnie nie zaskoczysz. Musisz mi ciągle przynosić wodę do płukania tego złota, którego nie chcesz dawać. A wściekaj się, wściekaj, to mi go wyrzucisz jeszcze więcej! Ha, ha, ha!

Czasem morze próbowało omamić Conrada w inny sposób. Lizało mu stopy i pokazywało jakąś ciekawostkę ze swego skarbca: wielką centollę*, pająka morskiego, kraba, pęk morskich alg albo kuszącą, smakowitą ośmiornicę, kryjącą się pod kamieniem. Wystarczyło, że na moment stracił czujność, a już waliła się na niego lawina lodowatej wody. Wiele razy morzu udało się skąpać go tak, że mało nie utonął. Z biegiem lat te gry stały się jego codziennością. Już nie mógł się bez nich obyć. I kiedy na parę dni oddalał się w głąb lądu, było mu smutno. Więc jak to jest: Nienawidzi morza czy je kocha? On sam nie umiałby na to pytanie odpowiedzieć.

Tak więc Conrad w dalszym ciągu zbierał złoto, które morze wyrzucało na plażę. Te połyskujące ziarenka, które o wschodzie i zachodzie słońca przybierały czerwony odcień krwi. Czasami, po silnych sztormach, zbiory były obfite, kiedy indziej w piasku udawało się znaleźć zaledwie kilka złotych ziarenek. Conrad ważył złoto, a potem chował je do małych drelichowych woreczków, które ukrywał w jaskiniach i skalnych szczelinach na wybrzeżu. Tylko morze i mewy znały te miejsca. Z czasem nie pamiętał już wszystkich kryjówek, ale wiedział z całą pewnością, że uciułał sporą fortunę – zapłatę za straconą łódź i towary. Wiedział też, że żadne skarby nie wynagrodzą mu straty żony i przyjaciela. Za nic jednak

* Skorupiak o bardzo smacznym mięsie.

nie rozstałby się ze swoimi skarbami. To było jego złoto, zebrane własnoręcznie grudka po grudce. Nikt nie może go tknąć, nikt nie może sprofanować tego świętego kruszcu, który morze dało mu w zamian za to, co niegdyś zabrało.

Nie raz różni awanturnicy mieli ochotę przywłaszczyć sobie złoto Conrada. Pierwszym był stary poszukiwacz, który przybył, rozglądając się za nowym miejscem do eksploracji. Chciał, aby Conrad podzielił z nim prawa do tego terenu. Słuch po nim zaginął. Kiedy indziej rabusie zakradli się do chaty Conrada pod jego nieobecność, ale wynieśli jedynie nędzny łup – kilka gramów złota i starą strzelbę. Przed dziesięcioma laty, kiedy Conrad wracał z polowania, napadło na niego trzech uzbrojonych osobników, ale ani groźba śmierci, ani tortury nie skłoniły go do wyjawienia, gdzie ukrył skarby. Bandyci zostawili go na pół żywego w jego chacie. Ale nie zaszli daleko – samo morze ich ukarało, bo gdy wracali plażą, zaskoczył ich przypływ. Na próżno usiłowali się wspinać na strome brzegi. Zostali porwani przez fale, a ich ciał nigdy nie odnaleziono. Innym razem, wracając z dłuższej wyprawy, spostrzegł jakieś obce ślady. Zorientował się, że ktoś szykuje na niego zasadzkę. Napastnicy na próżno czekali na niego w chacie. Kiedy następnego dnia wyszli na dwór, znaleźli się na muszce strzelby Conrada. Zaprowadził ich na plażę i kazał oddać skradziony łup. Ale o tych sprawach nie lubi opowiadać.

– Ludzie gadają, że ja zabijam. To nieprawda. Nikomu nie wchodzę w drogę i nic od nikogo nie chcę, ale jak mnie ktoś chce okraść, to muszę się bronić. Morze zabrało wielu z nich... – dorzucił w zamyśleniu.

Nie zawsze jednak morze wyrzuca dość piasku do wypłukiwania. Kiedy jest spokojne, Conrad nie ma zbyt wiele roboty. Wtedy przeobraża się w myśliwego. Poluje na króliki i lisy. Lisów szczególnie nie lubi, bo często zabijały mu kury, które sprowadził tu sobie, aby dotrzymywały mu towarzystwa.

– Dwa razy zagryzły mi psa – mówi. – Żadnego psa nie mogłem długo utrzymać. Teraz to się nawet boję, bo lisy bywają zarażone wścieklizną i mogą ją przenieść na psa i na mnie też. Pozagryzały mi także wszystkie koty, jakie tu miałem. Za lisie skórki kupuję tę odrobinę niezbędnych mi rzeczy, jak amunicję, naftę i żywność.

Więcej mi nie trzeba, odzież mogę mieć byle jaką, a poza tym, morze i tak by mi zniszczyło dobre ubranie. Golę się, kiedy broda zaczyna mnie za bardzo kłuć. Jem, kiedy jestem głodny i odpoczywam, kiedy mam ochotę!

– Nie ma pan zamiaru spędzić reszty życia wśród ludzi, w wygodnym domu? Nie chciałby pan podróżować, zobaczyć inne morza, innych ludzi, jeść inaczej, chodzić do teatru, zamiast żyć tutaj, sam z butelką whisky?

– Widzi pan, mój drogi, whisky bardzo smakuje, kiedy się ją ma od czasu do czasu, ale szkodzi, kiedy jest jej za dużo. Parę lat temu kupiłem sobie radio na baterie i słuchałem nowin z całego świata. Wtedy miałem ochotę zabrać całe moje złoto i iść sobie stąd. Wszystko już było gotowe, aż tu jednej nocy przyszła burza. Trwała cztery dni. Kiedy się uspokoiło, wyszedłem na plażę i zobaczyłem tyle mułu, co nigdy dotąd, a w nim pełno grudek złota. No i jak to rzucić? Znowu ustawiłem moją maszynę i po dwóch tygodniach już mi się nie chciało odchodzić. W zeszłym roku wiatr mi zerwał część dachu i rzucił do morza razem z anteną radiową. W wąwozie obsunęła się skała i uszkodziła moją maszynę. Byłem wyczerpany, prawie bez jedzenia. Wtedy znowu zabrałem część złota, żeby stąd odejść. Pod wieczór usiadłem nad morzem, a ono było takie spokojne i ciche. Fale szumiały, jakby mi śpiewały smutną piosenkę na pożegnanie. Jakby mnie przepraszały. Wtedy zobaczyłem na skałach resztki dachu z mojej chałupy. Morze mi je zwracało. I zrozumiałem, że nie mógłbym żyć gdzie indziej, daleko od tego morza.

Światła poranka zabarwiły różowym blaskiem małe okienko chaty. Wyszliśmy na dwór. Wiała lekka, chłodna bryza. W dali, na horyzoncie, czerwonawa poświata wskazywała miejsce, gdzie miało się pojawić słońce. Conrad wziął łopatę i zszedł w dół wąwozem, witany okrzykami mew. Pierwsze słoneczne promienie malowały skały, fale i piasek na kolor złota. Siedząc na kamieniu, patrzyłem w morską dal. Conrad zbierał łopatą złotodajny piasek. Dobiegały do mnie jego słowa wypowiadane pieszczotliwym tonem:

– Mało złota dzisiaj, oj, mało, mało...

Zrozumiałem, dlaczego nigdy nie porzuci tej plaży ani tego złota, które przynosi mu morze. On uważa je za swego dozgonnego dłużnika...

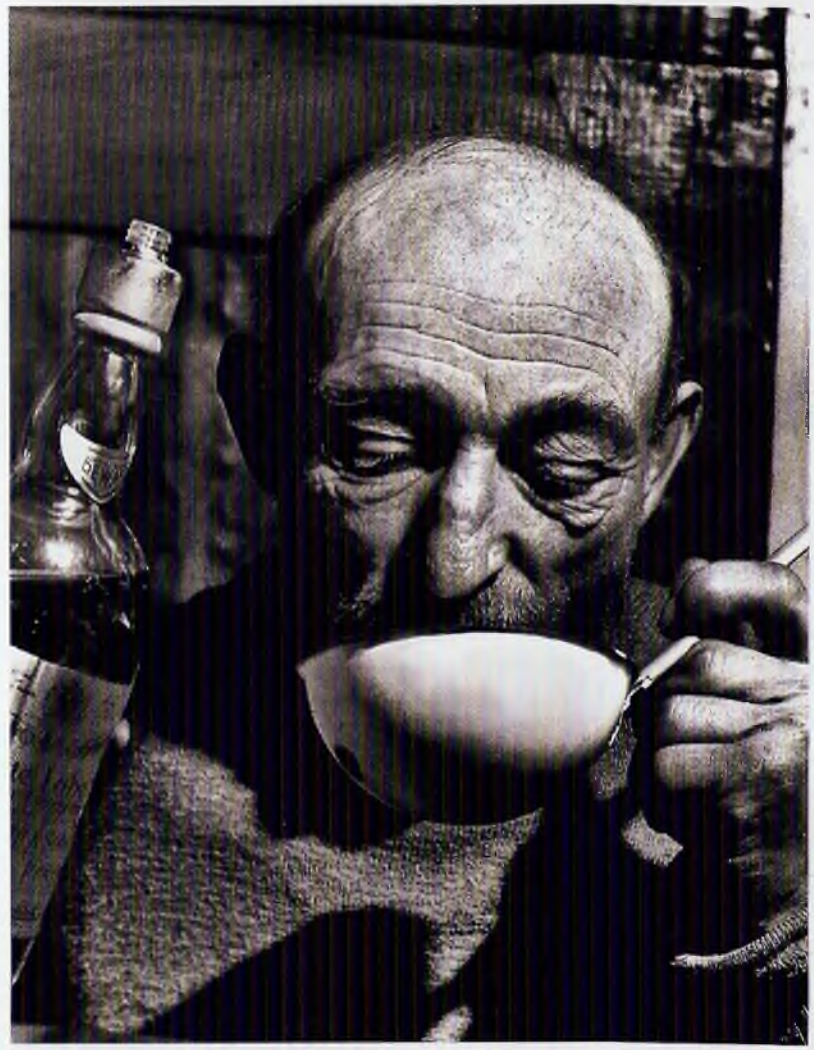

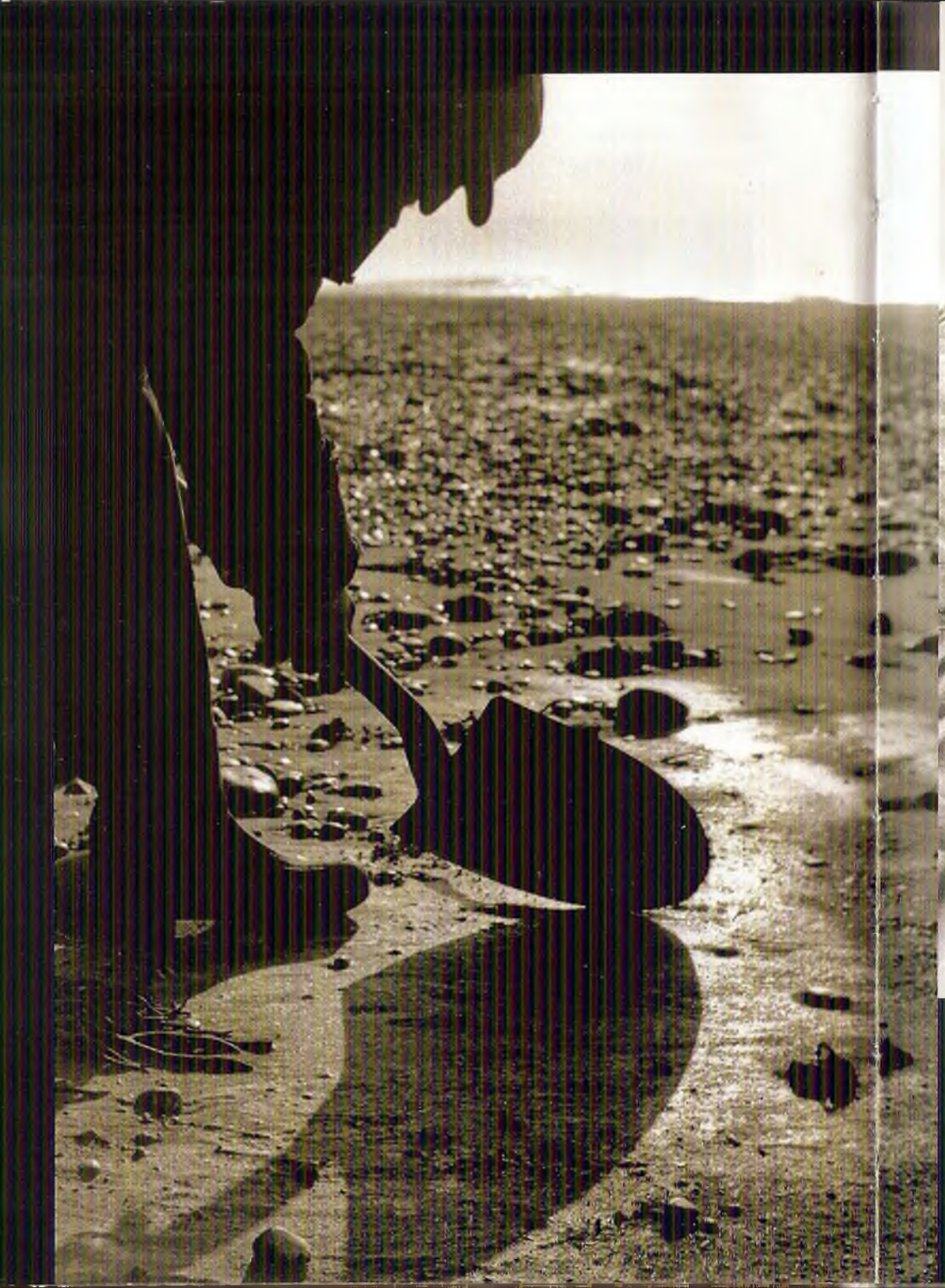

CONRAD

Sztorm u wybrzeży Argentyny zabrał mu wszystko: żonę, wspólnika, łódź. Więc Conrad Aselborn uważał morze za dłużnika. Odbierał dług, poszukując złota.

Do przesiewania morskiego piasku Conrad używał maszyny własnej konstrukcji. Dzięki niej odzyskiwał nawet najmniejsze drobiny złota.

Conrad zbierał złoto, ważył je i chował do drelichowych woreczków, które ukrywał w jaskiniach i skalnych szczelinach na wybrzeżu. Tylko morze i mewy znały te miejsca. On sam często je zapominał.

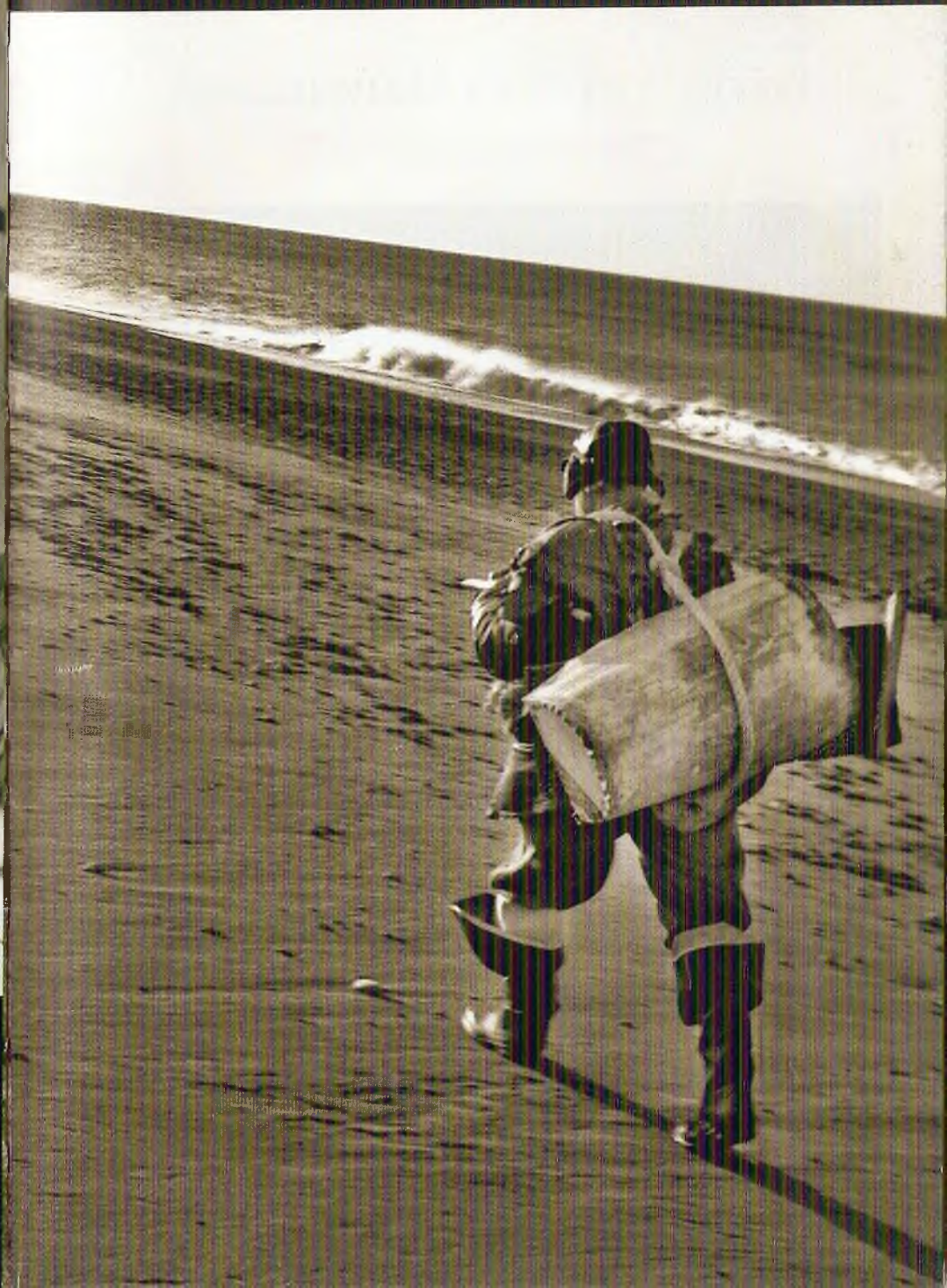

SKAMIENIAŁE LASY PATAGONII

– Znowu chłodnica nawaliła?

Nie miałem Pierrette za złe tego pytania, chociaż we wszystkich znanych mi językach przeklinałem inżyniera, który obliczył wytrzymałość rury wydechowej w naszym eksperymentalnym jeepie. Nie było innej rady, jak wyjść z rozgrzanej kabiny i znowu zabrać się do spawania. Drogi południowej Argentyny nie należą do najlepszych na świecie. Kierowcy ciężarówek nazywają je „pilnikami diabła". Wiatry żłobią w nich coś w rodzaju małych kanalików przecinających szosę w poprzek, tak że przypomina tarkę, na jakiej kiedyś prano bieliznę. Kiedy się jedzie taką drogą, powstałe przy tym wibracje niszczą wszystko i rozkręcają śrubki nie tylko w pojazdach, ale i w głowach kierowców. A drogi prowincji Santa Cruz należą do najgorszych. Tym razem, dzięki awarii chłodnicy, mogliśmy odkryć coś, co nas przeniosło o tysiące lat wstecz. W czasy, kiedy te równiny pokryte były gęstym lasem, pełnym zwierzyny. Klnąc, naprawiałem chłodnicę przy pomocy Pierrette, kiedy usłyszałem za sobą czyjś głos. Był to wieśniak, którego twarz zdobiły wielkie wąsy.

– Co się stało, he? Zepsuła ci się „maszynka"? – powiedział na przywitanie.

– Ano właśnie, wysiadła mi – odparłem. – Nawet batem jej nie ruszę!

– Napijemy się mate? – spytał wąsacz, zsiadając ze swego szerokiego i wygodnego siodła, które bardziej przypominało bocianie gniazdo niż cokolwiek innego.

– Szkoda, że nie ma drzewa na ognisko – powiedziałem, usiłując zapalić benzynową kuchenkę, którą wiatr uparcie gasił.

– Drewna jest aż za dużo, ale nie dasz rady go zapalić, bo ono jest jak kamień. Spójrz – i gaucho* wyjął z kieszeni kawałek idealnie

* Hodowca bydła na argentyńskich lub urugwajskich pampasach, zwykle pochodzenia hiszpańskiego i indiańskiego.

skamieniałego drewienka. – Tu jest cały las powalonych pni, a niektóre grubsze od mojego konia.

– Gadanie, niech mnie pan nie nabiera – odparłem, ale byłem ciekaw, jak wyglądają te skamieniałe drzewa, o których tak mało wie się w Argentynie. Mężczyzna wytłumaczył mi, że znajdują się one na terenach bliskich górom Hija-Madre, w stronę Jaramiilo.

Wypiwszy dobry tuzin mate i naprawiwszy chłodnicę, zmieniliśmy kurs i skierowaliśmy się ku widocznemu na horyzoncie łańcuchowi górskiemu. Nie było problemu z odszukaniem drogi. Na tych równinach można jechać wprost przed siebie, a jedyna różnica między drogą a polem polega na tym, że na drodze rzuca wozem z powodu „diabelskich pilników", a na polu z powodu kamieni. Poza tym, różnic nie ma. Po kilku godzinach ujrzeliśmy już całkiem wyraźnie szczyty Hija-Madre. Kierując się wskazówkami gaucza, z łatwością trafiliśmy do Valle Muerto, a pod koniec następnego dnia przybyliśmy do skamieniałych lasów Patagonii.

Są dwie naukowe teorie na temat tak doskonałej petryfikacji drewna. Pierwsza, umiejscawia ten proces w epoce exodusu Izraelitów i ich ucieczki z Egiptu. W tym czasie nastąpiły wielkie zakłócenia kosmiczne, które wywołały kataklizmy na ziemi i radykalnie zmieniły klimat naszego globu. Równiny patagońskie były wówczas gorące i wilgotne, dzięki czemu mogły tu rosnąć lasy araukarii. Ogromne fale morskie wdarły się na te tereny, niszcząc wszystko. Słona woda utworzyła jeziora. Pnie drzew, pogrążając się w nich lub pływając na powierzchni, zostały nasycone minerałami, aż przekształciły się w kamienie. Druga teoria powiada, że zanim powstały Kordyliery, wilgotne wiatry znad Pacyfiku wywoływały obfite deszcze. Sprzyjało to rozwojowi wybujałej roślinności na terenach, które dziś są pustynią Patagonii. Wybuchy wulkaniczne, towarzyszące tworzeniu się Andów, pokrywały lasy warstwą popiołów. Na skutek dużego ciśnienia i obecności sproszkowanych minerałów w wulkanicznym popiele drewno przekształciło się w kamień. Można tu także znaleźć skamieniałe nasiona i owady. Obie teorie wydają się po części słuszne, a po części wątpliwe. Jedno jest pewne, że skamieniałe lasy Patagonii to nie produkt fantazji – istnieją naprawdę i ręczę swoim słowem, że stanowią widok godny obejrzenia.

GAUCHOS

Pasterze bydła w Argentynie i Urugwaju. Od wieków wpisani w krajobraz bezkresnej pampy i gór Patagonii, symbol wolności i patriotyzmu w regionie.

Dla Argentyny są tym, czym dla Ameryki Północnej byli kowboje. Silni i zdecydowani. Sprowokowani, zdolni do przemocy, a jednocześnie kierujący się własnym kodeksem honorowym.

Narzędziem pracy gauchos jest koń. W czasie XIX-wiecznych wojen, wstrząsających południowo-amerykańskim kontynentem, gauchos często formowali regularne jednostki kawalerii walczących ze sobą stron.

Noszą strój składający się z szerokich spodni wpuszczanych w cholewy butów, grubego wełnianego poncho i kapelusza. Przy boku mają długi nóż, facon. Wywarli duży wpływ zarówno na muzykę, jak i gastronomię. Yerba-mate, suszona wołowina i gitara stały się dzięki gauchos nieodłącznymi elementami argentyńskiego folkloru.

ZEMSTA DIANY-ŁOWCZYNI

Zbliżał się dopiero świt, kiedy służący Luis zbudził nas smutną nowiną. Lama Lili, jedno ze zwierząt prywatnego ogrodu zoologicznego hrabiny von Dory, została zabita przez pumę. Od tygodnia gościliśmy w domu hrabiny w prowincji Salta. W tym dalekim zakątku na północy Argentyny stworzyła ona prawdziwy ziemski raj, oswajając dzikie zwierzęta, które chwytała lub kupowała. Posiadłość o nazwie „.Raj" słynęła zarówno z pięknego krajobrazu, jak i z kolekcji zwierząt wszystkich gatunków, żyjących tutaj w zupełnej swobodzie.

Pewnego majowego dnia hrabina Henriette Trauttenberg von Dory otrzymała na swoim folwarku w Salta, gdzie właśnie się osiedliła, dziwny podarunek. Była to drewniana skrzynka. Na jej wieczku widniał duży czerwony napis: „Otwierać ostrożnie", a pod nim mniejszy: „Nazywam się Antonia i jestem do pani usług". Kiedy hrabina uniosła wieko i zajrzała do środka, cofnęła się przerażona. W skrzynce był boa dusiciel. Jeden z tych, które mieszkańcy północnej Argentyny, Paragwaju i Brazylii mają zwyczaj oswajać. Pełnią bowiem rolę kotów domowych, polując na szczury i inne tego rodzaju szkodniki.

W pierwszej chwili hrabina chciała wołać służących, by kazać im wynieść ten „prezent" jak najdalej. Całą sprawę uznała za niesmaczny żart, ale jej mąż był innego zdania.

– To pierwszy podarunek, jaki otrzymujemy, odkąd jesteśmy w naszym małym raju. Nie powinniśmy go wyrzucać! – zawołał.

– Ale ja nie chcę hodować węży! – zaprotestowała żona.

– W ogrodzie biblijnego raju też był wąż... nie przejmuj się, on nam nie zaszkodzi – odparł hrabia, całując żonę.

I tak Antonia została na folwarku. Małżonkowie von Dory kupili go, aby uciec od zgiełku miasta i zrealizować swe wielkie marzenie posiadania własnego raju. Boa szybko pozyskał sobie

zaufanie pani domu, gdyż bardzo zręcznie tropił szczury, ropuchy i innych niepożądanych gości ściągających do ogrodu.

Antonia krótko była jedynaczką. W kilka tygodni później hrabina dostała drugi upominek, tym razem od męża. Był to młodziutki tapir amerykański, złowiony podczas polowania w selwie Chaco. Nazwali go Ica. Wkrótce potem w parku zamieszkały jeszcze dwie lamy, guanako* i małpka. Henriette nie mogła się skarżyć na brak zajęć. Oprócz urządzania nowego domu musiała sześć razy dziennie karmić smoczkiem Icę, opiekować się małpką Miguelikiem i oswajać krnąbrnego guanako Coquito, który często pluł jej w twarz, gdy tylko się zbliżyła. Zwierząt w „Raju" ciągle przybywało. Hrabina żyła w otoczeniu stworzeń, które z radością przyjmowały jej pieszczoty i zawsze były jej wierne. Skąd tylko się dało, ściągała osierocone młode. Miejscowi myśliwi i kłusownicy nie przestrzegają okresów ochronnych zwierzyny, toteż wiele młodych zostaje bez opieki. Są one łatwą zdobyczą dla innych drapieżników, czworonożnych i skrzydlatych. Bywa, że tubylcy zabierają je do domu jako zabawki dla swych dzieci, co przeważnie kończy się śmiercią nieodpowiednio żywionego zwierzątka. Hrabina zaczęła zbierać lub kupować te osierocone maleństwa, stwarzając im warunki takie, jak na swobodzie. Sama o tym mówi tak:

– Nie zmuszam ich do tego, by zostawały ze mną na zawsze. Kiedy dorastają, mają całkowitą wolność.

Ale wróćmy do chwili, w której Luis zbudził nas wiadomością o zabitej lamie. W kilka minut potem zebraliśmy się na miejscu wypadku. Na ziemi widać było jeszcze świeże ślady pumy. Można było się domyślać, że to zwierzę duże i chytre. Korzystając z przeciwnego wiatru, zdołało podejść pod sam folwark, niezauważone i niewywęszone przez psy. Po cichu zabiło lamę i napiło się jej krwi. Zjadło część mięsa, po czym uciekło, gubiąc ślady w pobliskim strumyku. Istniało prawdopodobieństwo, że to ten sam drapieżnik, który trzy tygodnie temu zabił psa Mausi (tak nazywano hrabinę w rodzinie) w pobliżu folwarku. Mausi i jej mąż, zapalony myśliwy, polowali na tę pumę, ale bezskutecznie. Zwierz był bardzo sprytny i skrył się gdzieś w górach.

* Ssak z rodziny wielbłądowatych występujący na pampasach i płaskowyżach Ameryki Płd. Dorasta do 130 cm wzrostu, a długość jego ciała wynosi 150 cm. Jest przodkiem lamy, jego futro dostarcza doskonałej wełny.

Jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy w pościg. Razem z psami szukaliśmy śladów rabusia. Na próżno. Podstępna puma zgubiła je w strumieniu, więc psy nie mogły kierować się węchem. Poza tym, teren był gęsto porośnięty krzewami i trawą, co uniemożliwiało odkrycie jakichkolwiek tropów. Nie udało się nam nic zdziałać. Przed zachodem słońca zmęczeni wróciliśmy do domu. Następnej nocy rzeź powtórzyła się – tym razem w zagrodzie owiec. Puma zabiła cztery, ale zjadła zaledwie kawałek mięsa z jednej. Zabijała raczej dla przyjemności niż z głodu. W ciągu następnych dni na próżno przeszukiwaliśmy teren. Zrobiliśmy długą wyprawę w góry, ale i to nie dało rezultatu. Potem zaczął padać deszcz i musieliśmy na parę dni zaniechać pościgu. Piątkowa noc była najtragiczniejsza. Puma znowu wtargnęła do „Raju" i zabiła młodego tapira Palito, towarzysza samiczki Ica. Cień śmierci padł na cały park. Tego już było za wiele! Hrabina poprzysięgła sobie, że wyzwoli podopiecznych od terroru morderczej pumy, a jej skórę powiesi na ścianie w gabinecie. Odrzuciła pomoc myśliwych z sąsiedztwa. Nawet mnie zabroniła strzelać do drapieżnika, mówiąc, że sama ureguluje te porachunki.

Wyruszyliśmy bardzo wcześnie. Mausi z wielką wprawą kierowała sforą psów. Na ramieniu niosła strzelbę, zdecydowana nie wracać, póki nie ukarze mordercy swoich zwierząt. Mnie podniecał raczej inny aspekt wyprawy, więc uzbroiłem się w dwa aparaty fotograficzne. Jedyną moją bronią był rewolwer, bo strzelby już bym nie dał rady unieść. Ślady pumy, tak jak poprzednio, ginęły w strumieniu. Psy zgubiły trop i biegały po brzegu, szczekając nerwowo. Zaproponowałem, abyśmy się rozdzielili i szukali w górę i w dół strumienia. Ciągnęliśmy losy patyczkami. Mausi wyciągnęła dłuższy i ruszyła pod prąd, ja zaś, razem z psem Marsem, poszedłem w dół strumienia. Nie bałem się o Mausi, gdyż słynęła ze swych umiejętności myśliwskich. Upolowała już niejednego dzika, jaguara czy pumę. Psy zaszczekały teraz inaczej – wiedziałem, że znowu wpadły na trop. Mars, zdenerwowany, biegł, węsząc. Po obu brzegach strumienia rosły trzciny zasłaniające widok. Szczekanie psów Mausi oddalało się. Słyszałem je tylko od czasu do czasu, kiedy powiał wiatr. Pies Mars, przyzwyczajony do chodzenia za strzelbą, zdezorientowany nie chciał mnie słuchać i uciekł.

Usiadłem, żeby odpocząć. Wiatr dmuchał z przeciwnego brzegu, poruszając trzcinami, które falowały jak zielona kurtyna. Nadleciały dwie papużki i usiadły na pobliskim drzewie. Nagle zaczęły krzyczeć, jakby kłóciły się ze sobą. Tubylcy powiadają, że kiedy papugi „mówią" do siebie, oznacza to bliską obecność jakiegoś zwierzęcia. Zbliżyłem się powoli i spojrzałem poprzez trzciny na przeciwległy brzeg. I wtedy ją zobaczyłem.

Ogromna puma spała wśród zielonych liści. Krzyki papug prawdopodobnie ją zbudziły, bo otworzyła oczy i przeciągnęła się kocim ruchem. Potem zerwała zębami jeden liść i zaczęła go żuć. Z wielką ostrożnością, starając się pozostać niezauważonym, zrobiłem kilka zdjęć za pomocą mojego potężnego teleobiektywu. Miałem przy sobie tylko rewolwer, a strzelanie z tej odległości było wysoce niebezpieczne. Zdołałbym zaledwie zranić zwierzę, a ono natychmiast by mnie zaatakowało. Nie minęło pół godziny, gdy usłyszałem, że psy idą w moim kierunku. Puma też je usłyszała i stała się niespokojna. Wstała bez pośpiechu i weszła do wody. Wybierając sobie przejście w płytszych miejscach, zmierzała wprost ku mnie. Zobaczyła mnie. Miałem ręce zajęte kamerami i brakowało mi czasu na wyciągnięcie rewolweru. A poza tym - ta zdobycz należała do Mausi. Zwierzę, zaskoczone moim widokiem, przystanęło na moment. Następnie skuliło się, jakby przymierzając się do skoku na mnie, ale zmieniło zamiar i uciekło wielkimi susami, kryjąc się w selwie. Psy były już bardzo blisko i chyba ją wyczuły. Nagły żałosny skowyt jednego z nich oznajmił, że dosięgły go pazury drapieżnika. W kilka sekund później umilkł - już nie żył. Pobiegłem w stronę wąwozu i ujrzałem Mausi. Zbliżała się ze strzelbą gotową do strzału, ale rosnące wkoło krzewy utrudniały jej widoczność. Wtedy wysoko na ścianie wąwozu pojawiła się puma. Była o kilka metrów nad nami. Krzyknąłem. Mausi, orientując się w niebezpieczeństwie, uniosła strzelbę. Zwierzę zrobiło kilka ruchów, szykując się do skoku. Strzał był w najwyższym stopniu niebezpieczny, bo musiałby być oddany z bardzo bliskiej odległości. Drapieżnik, nawet śmiertelnie ranny, mógł jeszcze z góry rzucić się na myśliwego. Puma już miała skoczyć. Ale w tym momencie suka Gina podbiegła do niej i chwyciła ją zębami za tylne łapy. Cios pazurem odebrał jej życie. Ale odwaga wiernego psa uratowała panią. Dziki

kot, szybki jak błyskawica, szukał jak najlepszej pozycji do obrony, ale widząc, że otoczyły go psy - Taras, Bulba i Dina - wybrał drogę ucieczki na najbliższe drzewo. Rozwścieczone psy skakały dokoła i ujadały, nie mogąc dosięgnąć zdobyczy. Puma zamierzała drogo sprzedać swoje życie. Właśnie nadbiegała hrabina, nie zważając na kolczaste krzaki, które rozdzierały jej ubranie.

- Jeszcze nie strzelaj! - krzyknąłem do niej. - Chcę zrobić parę zdjęć!

W tym momencie suka Dina skoczyła na drzewo i drapieżnik dosięgnął ją łapą. Mausi strzeliła bez wahania, aby uratować sukę. Kula przeszła o kilka centymetrów od mojej głowy. Puma, już ranna, w ostatnim wysiłku próbowała jeszcze skoczyć na hrabinę, ale wtedy padł kolejny strzał, który ją dobił.

Pani von Dory spełniła swoją obietnicę. Uwolniła „Raj"od mordercy. Skóra pumy zawisła w jej gabinecie jako trofeum Diany-Łowczyni. A mnie to doświadczenie nauczyło, że podczas polowania na osaczoną pumę, lepiej nie szukać niezwykłych ujęć do fotografowania.

„A KIEDY POJADĘ DO CHILE..."

Zabierzemy cię,
przewieziemy cię
naszymi żaglowymi łodziami.
Ale jeżeli nie napełnisz rybami
naszych sieci,
za rok
wrzucimy cię w morskie fale.

Stary rybak modlił się przed figurą świętego Piotra nad brzegiem morza. Z odkrytą głową pochylał się w takt modlitwy, aby oddać cześć świętemu. Gromada kobiet, dzieci i młodzieży w ludowych strojach, zdobnych we wstążki i lusterka, powtarzała po nim ostatnie słowa jak litanię. Co roku, 29 czerwca, w dzień, kiedy kościół obchodzi święto Chrystusowego apostoła Piotra, ludność wioski Con-Con zbiera się przed figurą patrona rybaków, aby czcić święto morza.

Przystrajają łodzie w chorągiewki i kwiaty. Tradycyjnie też, nie dają nic do jedzenia pelikanom, w których ciałach - zgodnie z ich wierzeniami - żyją dawni bogowie morza. Wieśniacy ubierają się odświętnie i przychodzą pod figurę świętego Piotra, aby prosić go o łaskę. Niech da im w tym roku dużo ryb, aby nie cierpieli głodu. I aby mieli na butelkę pisco i cola de mono, ale tylko w niedzielę, i to po mszy świętej. Tak, jak to przykazuje ksiądz proboszcz.

Święty musi bezwarunkowo wysłuchać tych próśb, bo oni już zebrali „pieniążki" na zakup jego obrazka, a także dali na mszę. Wobec tego niech zachowa się, jak należy, bo jeżeli nie, to... „za rok wrzucimy cię w morskie fale". A teraz niech popatrzy, jak tańczą i śpiewają wokół niego. I niech się niczego nie obawia, bo w ubiegłym roku połów był dobry. Podziękują mu za to i przewiozą go po morzu, aby się nie nudził, stojąc ciągle na tym samym miejscu.

Ktoś przynosi wiadomość, że nadchodzi ksiądz proboszcz. Zaczyna się taniec przed figurą, którą najsilniejsi mężczyźni już niosą, aby umieścić na łodzi. Przy akompaniamencie fletów i bębenków ustawia się procesja. Z tancerzami i orkiestrą na czele. Za nimi najstarsi rybacy niosą na ramionach łódź, okrytą siecią przyozdobioną małymi połyskującymi rybkami i kwiatami. W wiosce nie została ani jedna żywa dusza, nawet niemowlęta zabrano, by zobaczyły przejażdżkę świętego Piotra po morzu.

Z małej przystani wyruszają łodzie. Ludzie, którzy odpychają je od brzegu, od pokoleń stawiali czoło niebezpieczeństwom grożącym u skalistych wybrzeży Chile. Potomkowie rybackich plemion z Chango i Atacama byli niegdyś poddanymi w imperium Inków. Zmienili pana wraz z nadejściem Hiszpanów. Z każdej cywilizacji przyswoili sobie coś, co potem stało się częścią ich własnej kultury i religii. Ich pieśni i tańce są naśladownictwem dawnych inkaskich obrzędów ku czci boga Słońca. Z kolei, ozdoby i stroje przypominają zbroje hiszpańskich konkwistadorów.

Religia Chrystusa i boga Słońca przemieszały się ze sobą i tak powstał wizerunek Wszechpotężnego. Może on w zawziętym gniewie karać ludzi za pomocą burz albo też hojnie napełniać ich sieci rybami. Czas i postęp cywilizacji nie zatarły w umysłach rybaków wierzeń w dawne duchy morza. Zgodnie z nimi w ciałach pelikanów żyją bogowie oceanu, wyrzuceni ze swych nadbrzeżnych świątyń. Dlatego każda łódź ma na pokładzie jednego z tych wielkich ptaków morskich. Obecność pelikana zapewnia szczęście i chroni przed niebezpieczeństwem. I choć rybacy uważają morskich bożków za mniej potężnych od świętego Piotra, to jednak w swych legendach i pieśniach nie zapominają i o tych duchach, które żyją z jałmużny. Pelikany otrzymują część dziennego połowu. Znają doskonale łodzie swoich panów i nigdy ich nie opuszczają. Przesąd działa tak mocno, że rybacy nie wypływają na połów, jeżeli pelikan porzucił ich łódź. Ale kiedy zabierają świętego Piotra na „spacer" po morzu, nie potrzebują opieki ptaków. Tego dnia nie dają im jeść. A po południu, po całej uroczystości, wracają przy akompaniamencie śpiewów i tańców z morskiej przejażdżki. Stawiają świętego na nowym ołtarzu i wszyscy idą do maleńkiego kościółka, a następnie do domów, pić pisco i cola de mono.

Kończy się święto, pelikany wracają na swoje miejsca w łodziach. Daremnie szukają wśród kwiatów i ozdób porcji jedzenia, której dziś nie dostały, gdyż przypadła świętemu Piotrowi. Wiatr szarpie papierowe chorągiewki, w które przystrojono figurę i wyrywa świętemu ostatni kwiatek. Trzymał go w ręce, błogosławiąc morze, aby nie skąpiło pokarmu rybakom z Con-Con.

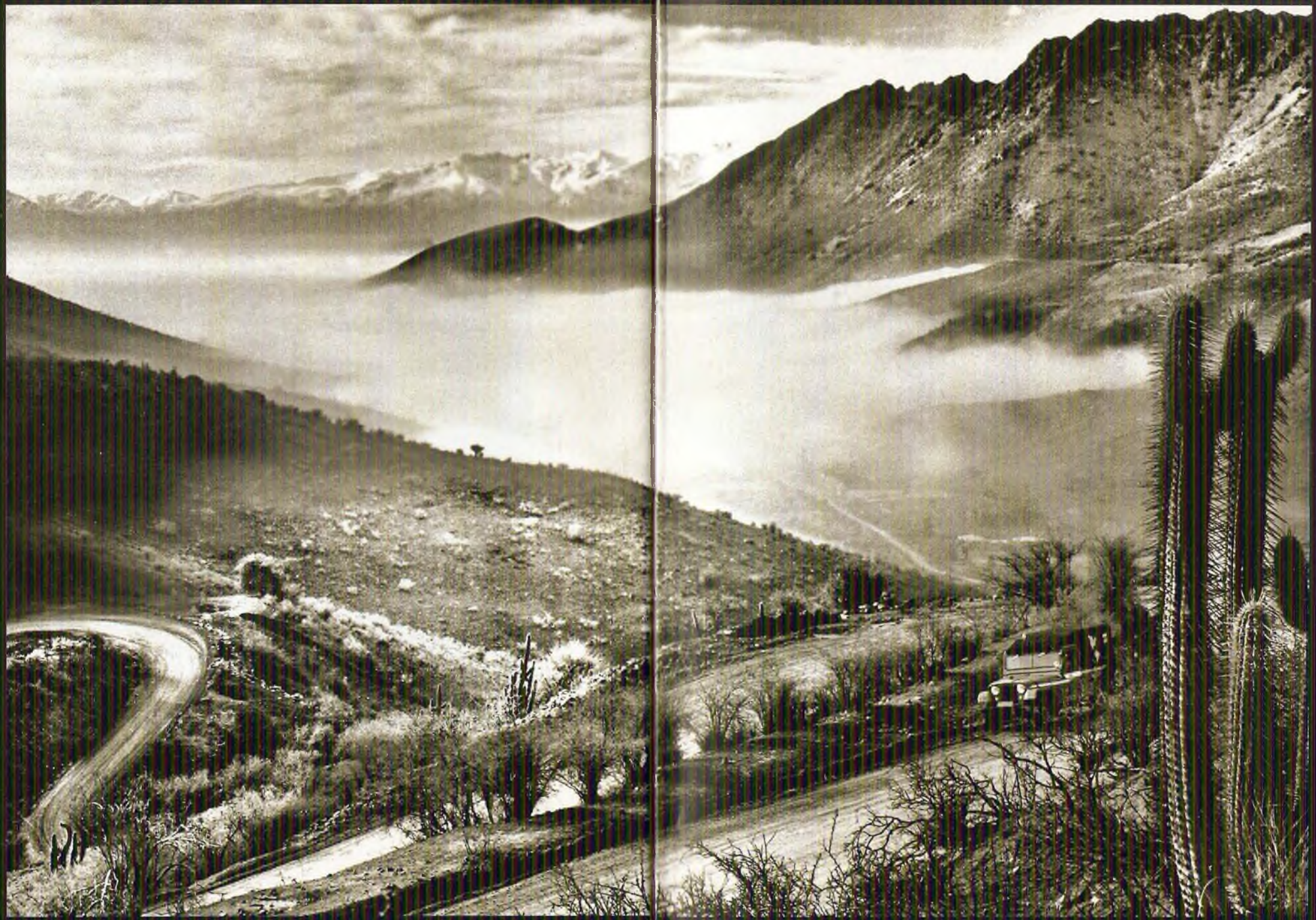

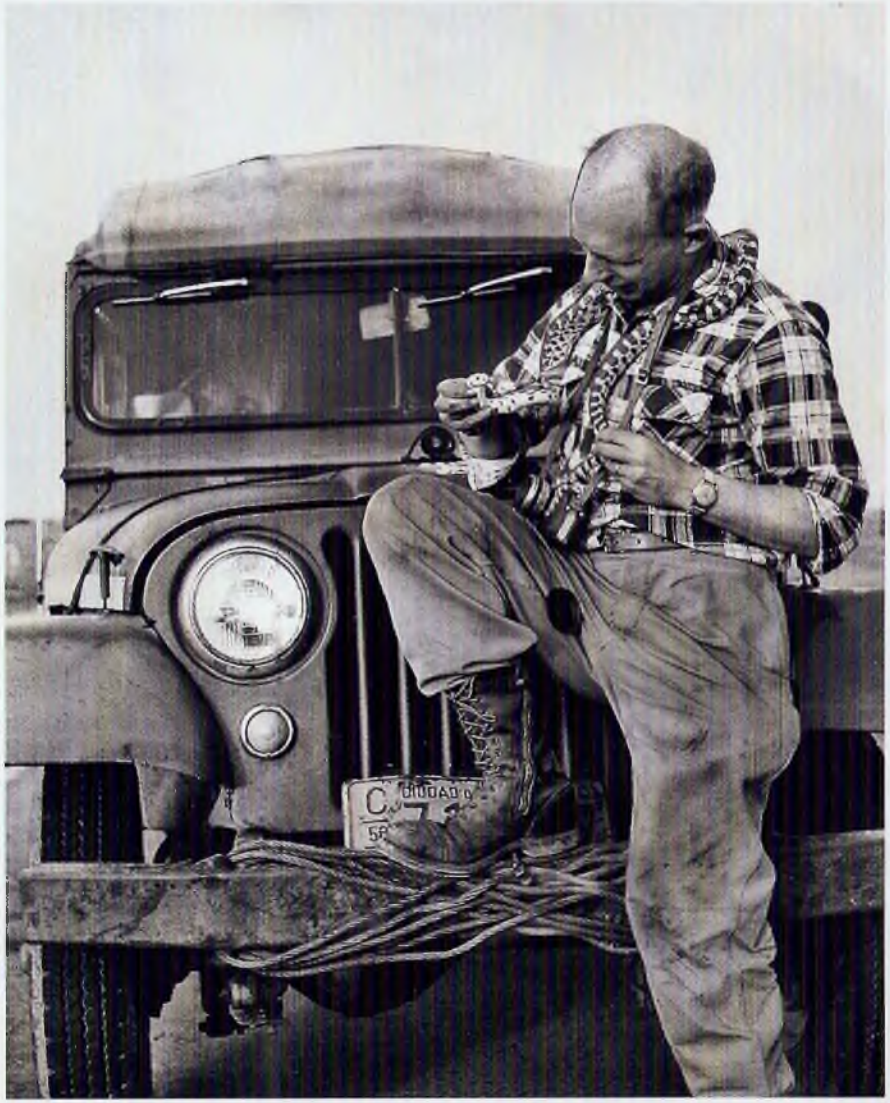

RYCERZE DRÓG

– Ale upał, nie ma czym oddychać!

Nie odpowiedziałem na narzekania Pierrette. Gorącym i słonym powietrzem pustyni Atacama istotnie ciężko było oddychać. Już od wielu godzin jechaliśmy przez tę ogromną równinę leżącą pomiędzy wysokimi szczytami Andów a wybrzeżem Pacyfiku. Zostawiliśmy za sobą zaśnieżone podnóża Aconcagui, piękne Santiago i wesołe Valparaiso, wioski rybackie i uroczystości ku czci świętego Piotra. Kilka kilometrów za małym miasteczkiem uniwersyteckim La Serena wjechaliśmy w pustynię. Po jej gładkiej powierzchni jedzie się jak po asfalcie. Tylko od czasu do czasu piaszczyste wydmy zagradzają drogę i wtedy trzeba skręcać, by poszukać twardszej „nawierzchni". Mnóstwo śladów kół. Każdy wóz zostawia swoją własną koleinę, bo kierowcy jadą, którędy im się podoba. W wielu miejscach ten trakt ma szerokość aż kilku kilometrów. Prawie cały transport dokonuje się drogą morską. Tylko nieliczne pojazdy zapuszczają się na pustynię. Szukając własnej drogi, zostawiają za sobą ślad. To one łączą ze światem małe kopalnie położone zwykle u stóp Kordylierów. Zawożą tam żywność i wodę, a zabierają minerały. Na pustyni można też często zobaczyć karawany mułów, a od czasu do czasu także jakiś pojazd przemierzający ją wszerz.

Rozgrzane powietrze drgało nad powierzchnią ziemi. Raz po raz zdarzały nam się złudzenia optyczne podobne do fatamorgany na Saharze, kiedy to podróżny widzi jeziora, drzewa, miasta. Złudzenie było tak doskonałe, że mieliśmy wrażenie, iż wkrótce będziemy mogli zaparkować naszego jeepa w cieniu drzewa i napić się wody. Metal kabiny rozgrzał się straszliwie, parzył w ręce przy każdym dotknięciu. Zapierało dech. Aby się trochę ochłodzić, otworzyliśmy przednie okno i jechaliśmy z prędkością ponad 80 kilometrów na godzinę. Było to dość niebezpieczne, bo

w tej gładkiej powierzchni trafiały się głębokie szczeliny. Jedne bardzo szerokie, inne ledwo widoczne. Czasami musiałem gwałtownie hamować, aby w nie nie wjechać, a potem starałem się wyminąć przeszkodę.

– Co to? – spytała nagle Pierrette.

W dali, po lewej stronie, ujrzeliśmy czerwony punkt. Znowu złudzenie? Porzucony zbiornik od benzyny? Samotny grób jakiegoś górnika? Tyle ich widzieliśmy już po drodze! Nie chciałem się nad tym zastanawiać. Ale Pierrette nalegała:

– To wygląda na samochód.

– Możliwe, tu na pustyni jest cała kupa bezpańskich wozów.

– Pojedziemy zobaczyć, co to takiego?

– Nie warto marnować benzyny. To na pewno nic ciekawego.

– Nie, jedziemy, tam coś jest!

Trochę zły skręciłem w stronę czerwonego punktu. W miarę jak podjeżdżaliśmy, stawał się coraz większy i już po pięciu minutach mogliśmy stwierdzić, że to przewrócony jeep. Obok, na piasku, leżały dwa ciała w kałuży krwi. Wypadek musiał się zdarzyć jakieś pół godziny temu. Obie ofiary wydawały się martwe. Byli to dwaj mężczyźni. Jeden, krępy i tęgi, miał na sobie porządne ubranie. Drugi, drobnej budowy, wyglądał na górnika. Na ziemi walały się porozrzucane tu i tam torebki. Takie, jakich używają tutaj do zbierania próbek minerałów. Z na pół otwartej teczki wysypywały się pliki banknotów. Przyczyny wypadku nietrudno było się domyślić. Jeep jechał z dużą prędkością po równinie. Nagle wpadł w szczelinę i przekoziołkował parę razy, a potem upadł na bok. Wstrząs był tak wielki, że odrzucił obu mężczyzn o kilka metrów od wozu. Ten, który wyglądał na górnika, miał głęboką ranę głowy i twarz zalaną krwią. Usłyszeliśmy jego słaby jęk. Daliśmy mu wody, wypił i otworzył oczy. Podnieśliśmy go z ziemi najdelikatniej, jak mogliśmy, po czym starałem się zatamować krwotok za pomocą gazy i zastrzyku. Drugi mężczyzna szybciej doszedł do siebie, ale i on stracił dużo krwi. Dałem mu łyk koniaku i obandażowałem rany. Zapytał słabym głosem:

– Czy mój towarzysz żyje?

– Tak – odparłem – ale jest ciężko ranny. Musimy go prędko zawieźć do szpitala. Czy ma pan siłę, żeby jechać dalej?

– Postaram się. Czy mógłby mi pan podać taką czarną teczkę. Musi być gdzieś w naszym wozie? Mam tam ważne dokumenty.

Spojrzał na mnie trochę zaniepokojony, kiedy dawałem mu półotwartą teczkę. Nerwowo przeliczył pliki pieniędzy i zaraz zapytał:

– Kim państwo są?

– Nazywam się Halik – powiedziałem. – A to moja żona. A panowie?

– To nieważne. Bardzo panu dziękuję za uratowanie życia. Mieliśmy szczęście, że nas państwo spotkali. Tą drogą rzadko ktoś przejeżdża. Czy może nas pan podrzucić do Taltal?

Nie było łatwo ulokować dwóch rannych razem z nami w jednym jeepie. Przy każdym najmniejszym wstrząsie krzyczeli z bólu. Ten niższy ciągle jeszcze nie odzyskał przytomności i bardzo krwawił. Bałem się, że umrze w samochodzie. Była już noc, gdy dotarliśmy do małego miasteczka Taltal. Odnalazłem szpital i zostawiłem rannych pod opieką lekarza, który powiedział, że ich zna i sam zawiadomi policję o wypadku. Następnie zapisał moje nazwisko i numer samochodu. Pożegnał nas, obiecując powiadomić o stanie zdrowia naszych podopiecznych.

Okropnie zmęczeni wyjechaliśmy za miasto i rozbiliśmy namiot. Nazajutrz wczesnym rankiem udaliśmy się do szpitala. Pielęgniarz poinformował nas, że obaj poszkodowani żyją, ale ich stan jest

dość poważny. Ruszyliśmy w drogę. Nie zdołaliśmy jednak przejechać nawet dziesięciu kilometrów, kiedy pojawił się przed nami jeep najeżony lufami karabinów. Wysiadł z niego oficer policji chilijskiej. Dał nam znak, abyśmy się zatrzymali.

– Prosiłbym – powiedział – abyście zechcieli wrócić do Taltal.

– Bardzo nam się spieszy. Musimy jechać dalej, a o co właściwie chodzi? – spytałem.

– Mam rozkaz odstawić państwa z powrotem do Taltal.

– Ale dlaczego? Nikogo nie wolno aresztować bez wyjaśnienia mu przedtem powodów!... To na pewno jakaś pomyłka.

– To państwo przywieźli wczoraj rannych z wypadku?

– Tak. Ach, więc o to chodzi... Ale przecież zostawiliśmy ich w szpitalu, tam się nimi zajmą.

– Powtarzam, muszą państwo wrócić do miasta. Bardzo proszę, nie stawiajcie oporu, tam się wszystko wyjaśni.

Klnąc w duchu policję i wypadki drogowe, zawróciliśmy do Taltal. Ku naszemu wielkiemu zdumieniu zobaczyliśmy, że prowadzą nas nie na policję, ale do jakiegoś klubu. Weszliśmy. Przy suto zastawionym stole powitał nas mężczyzna, który okazał się przewodniczącym klubu Rotary.

– Chcieliśmy państwu podziękować – powiedział – za uratowanie życia jednemu z członków naszego stowarzyszenia. Razem ze swoim szoferem miał wypadek na pustyni. To poważny kupiec. Prowadzi handel minerałami i właśnie odbywał comiesięczną podróż po kopalniach. Pozwólcie, że wam podziękuję w imieniu obu uratowanych.

Przyjęcie, które zaczęło się tego ranka, trwało trzy dni. Piliśmy i jedli w klubie, a potem u poszczególnych członków klubu, w szpitalu, w porcie a nawet z policjantami. Komendant portu kazał zatrzymać statek żeglujący wzdłuż wybrzeża, bo wiedział, że na pokładzie znajduje się dobre wino. Trzeciego dnia udekorowano nas orderem Rycerzy Dróg. Jeśli chodzi o rannych, to ich życiu nie groziło już niebezpieczeństwo. Obdarowani prezentami i butelkami doskonałego wina opuściliśmy wreszcie Taltal, żegnani przez wszystkich przyjaciół. Jeszcze raz mogłem się przekonać, że jednak kobiety mają zawsze rację. Pozorny kaprys mojej żony uratował życie dwóm ludziom!

ATACAMA

Tylko nieliczne pojazdy zapuszczają się na pustynię. To one łączą ze światem małe kopalnie położone zwykle u stóp Kordylierów. Zawożą tam żywność i wodę, a zabierają minerały. Na pustyni można też często zobaczyć karawany mułów, a od czasu do czasu także jakiś pojazd przemierzający ją wszerz.

W DAWNYM PAŃSTWIE SYNÓW SŁOŃCA

Zbliżał się wieczór. Ostatnie promienie słońca padały na dolinę „zaklętego miasta". Malowały na kolor krwi skały, które przybierały kształty zamków, wież i obelisków. Na ogniu piekły się trzy świeżo upolowane kaczki. Chłód panujący na tych wysokościach – znajdowaliśmy się 4500 m nad poziomem morza – i niedobór tlenu zmuszały nas do owijania się w grube wełniane poncza. Jakieś stado podchodziło do nas, pobrzękując dzwonkami, jakby szukało opieki ludzi zatrwożone zbliżającą się nocą. Stara Anumy, przeżuwając kokę, splunęła za siebie. Potem, utkwiwszy wzrok w mojej żonie, która poprawiała drewno na ognisku, zaczęła opowiadać historię zaczarowanego miasta.

Już od dwóch dni biwakowaliśmy w tym bezludnym, oddalonym od reszty świata miejscu na płaskowyżu peruwiańskim. Rzadko kto tu dociera. Ekspedycje geologiczne nie szukają tutaj bogactw mineralnych, bo ich nie ma. Turyści nie znają piękna tych stron, bo nie prowadzą tu żadne drogi. Niewielu białych wie o istnieniu „kamiennego miasta". Tubylcy, pasterze lam i owiec, nigdy tu nie podchodzą. Wierzą, że to miejsce zamieszkiwane jest przez złe duchy. Tylko stara czarownica Anumy mieszka tu sama ze swymi lamami, w szałasie ze słomy.

Wiele lat temu została wygnana ze wsi, bo jej leki nie posłużyły chorej wątrobie jakiegoś człowieka, który wkrótce umarł. Od tego czasu stara żyje pośród duchów „zaklętego miasta". Bowiem w tym miejscu nie może jej dosięgnąć zemsta zmarłego pacjenta. Czasami tubylcy odważają się odwiedzić ją, aby uzyskać na przykład napój miłosny albo ekskrementy mamchachi, demona wywołującego długą chorobę i śmierć. W zamian za to przynoszą jej kokę, kartofle i kukurydzę.

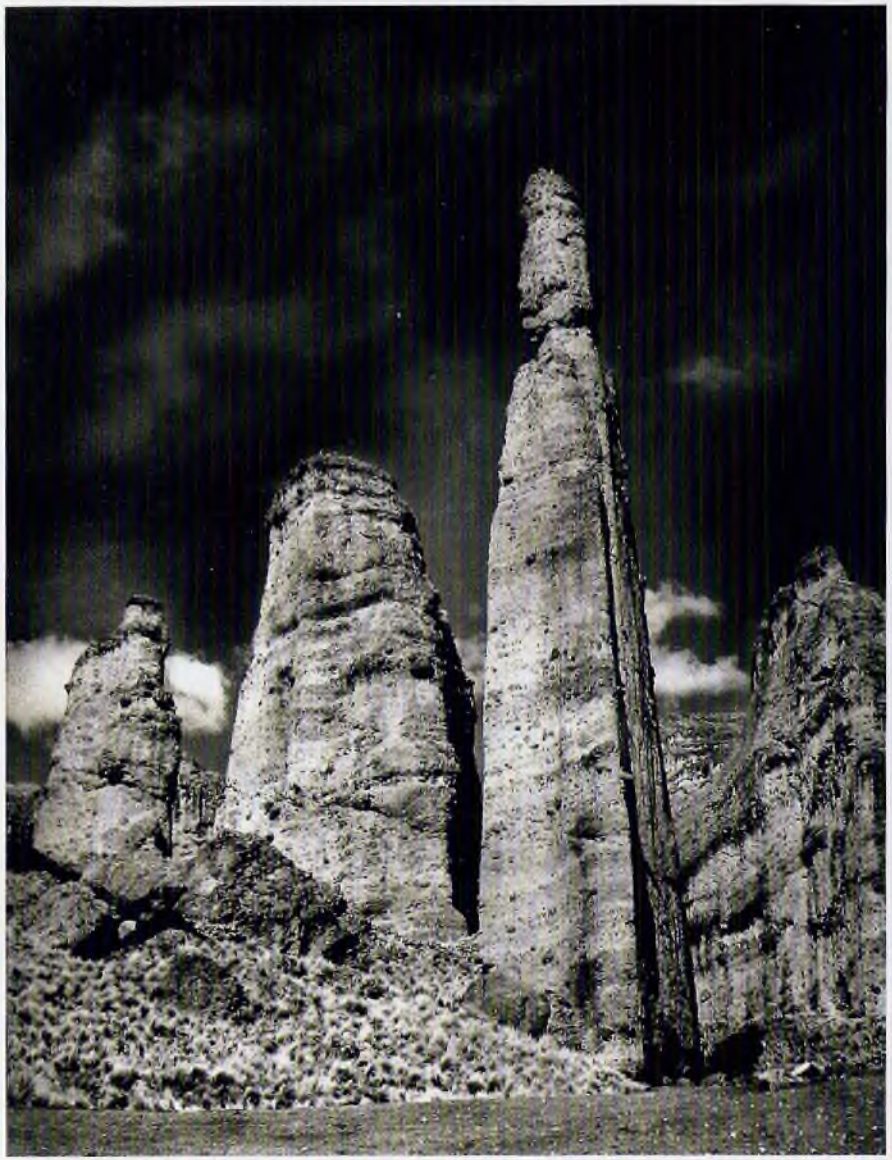

Z CZAROWNICĄ W ZAKLĘTYM MIEŚCIE

Kiedy zjawiliśmy się tutaj, Anumy była bardzo chora. Nie miała co jeść, a przede wszystkim doskwierał jej brak koki. Na tych wysokościach Indianie nie mogą się obejść bez koki. Stara nie miała siły na to, by zabić którąś ze swych lam, napić się krwi i zjeść mięso. A może nie chciała tracić żadnej ze swych wiernych towarzyszek. Prymka koki, łyk pisco i trochę konserw sprawiły, że podniosła się z legowiska i odzyskała chęć do życia. Teraz siedziała razem z nami przy ogniu i swym ledwo zrozumiałym językiem, będącym mieszaniną hiszpańskiego i keczua*, opowiadała taką oto historię:

„Tyle lat temu, ile ziarenek piasku jest w tej rzece, było tutaj piękne miasto zwane Layccascca Ilacta sumac (Zaklęte miasto). Cała dolina pokryta była polami kukurydzy i kartofli, tysiące lam i wigoni** pasło się na równinach. Szlachta, czyli synowie Słońca i kapłani mieli wspaniałe pałace i świątynie.

Na wielkich ołtarzach, całych ze złota, ofiarowywano krew lam potężnemu Inti, Słońcu. Byli też biedni pasterze i chaquicaclla, rolnicy, a także niewolnicy, którzy ociosywali kamienie na budowle. Kobiety tkały piękne suknie z wełny i żuły ziarna kukurydzy na cziczę*** dla mężczyzn.

Nie było wtedy złych duchów, bo siedziały zamknięte we wnętrzu ziemi. Wszyscy byli szczęśliwi. Aż pewnego dnia przyszła kobieta, nie wiadomo skąd. Odznaczała się wyjątkową urodą,

* Język Indian Ameryki Południowej (Peru, Boliwia, Ekwador), którym posługuje się ok. 13 mln ludzi.

** Dziś bardzo rzadkie ssaki z rodziny wielbłądowatych. Osiągają wysokość 80 cm. Zamieszkują wysokie Andy. Cenne ze względu na wełnę i mięso.

*** Kobiety przygotowują ją, żując korzenie manioku lub ziarna kukurydzy i wypluwając przeżutą papkę do garnków. Po jednodniowej fermentacji cziczа jest gotowa. Służy jednocześnie jako napój i pożywienie.

ale była córką złych duchów żyjących w ciemnościach. Dlatego nigdy nie mogła patrzeć w Słońce. Posiadała ogromną magiczną władzę i wszyscy mężczyźni, którzy ją ujrzeli, zakochiwali się w niej na śmierć. Wkrótce zawładnęła nimi wszystkimi. Żądała od nich najcieńszych tkanin i najwyższych pałaców. Chciała się kąpać w krwi lam, toteż wkrótce zabrakło tych zwierząt na ofiarę dla Inti. Chciała powlec cały swój pałac złotem, więc kapłani zabrali ozdoby ze świątyni Słońca, byle tylko zadowolić jej kaprys.

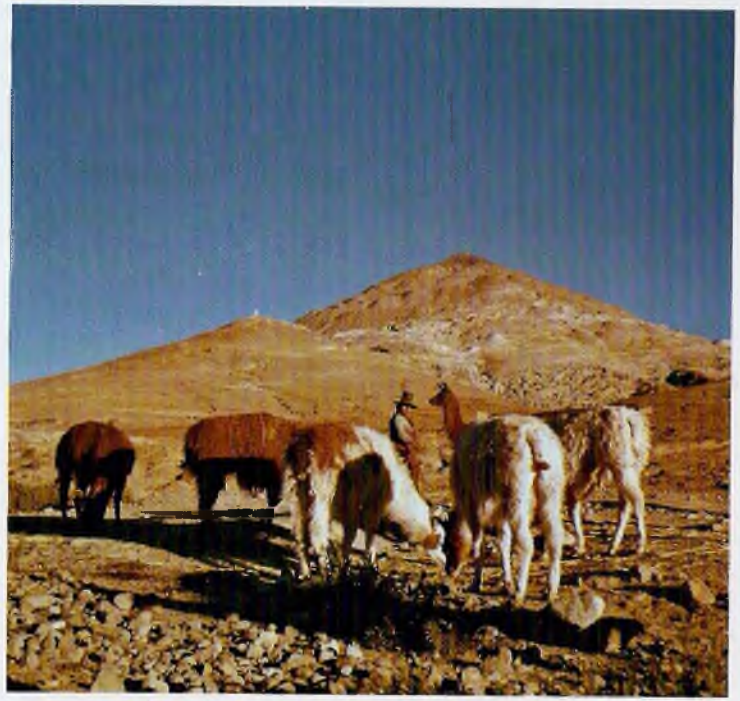

Nie było już szczęśliwych małżeństw, bo wszyscy mężczyźni szli do pałacu zła. Przed samym pałacem wznosił się obelisk miłości, ccarac miu, gdzie dawniej dokonywano obrządku zawierania małżeństw.

Ale żaden mężczyzna nie chciał się żenić, gdyż wszystkimi owładnęło zło. Zaklęte miasto powoli stawało się siedliskiem zła. Jednakże znalazł się tutaj młody chłopak, który nigdy nie był w pałacu złej kobiety. Nie pragnął jej, bo całe swoje serce oddał pewnej prostej dziewczynie. Był on tak biedny, że nie miał nawet jednej lamy na ofiarę dla boga Inti. Dlatego całe dnie spędzał koło alcco, kamienia wierności. Tego roku zbliżało się wielkie święto Słońca, ale nie przygotowywano się do niego tak jak zwykle. Nie było już lam, gdyż wszystkie zostały zabite. Ołtarza Inti nie pokrywało już złoto, a nóż, którym zabijano ofiary, służył teraz kobietom do zabawy. Kiedy nadszedł dzień wielkiego święta, Inti – nie słysząc obrzędowych śpiewów i nie widząc swego odbicia w wielkim złotym kręgu, który zwykle znajdował się przed ołtarzem – w samo południe zesłał jeden ze swych promieni. Promień wszedł przez kamienną bramę do miasta, aby zobaczyć z bliska, co dzieje się w Layccascca Ilacta sumac. Rozejrzał się dokoła, ale nikogo nie dostrzegł, bo wszyscy spali po nocnej zabawie w pałacu. Nie było nikogo na rynku ani na polach. Ujrzał tylko parę młodych, którzy wyznawali sobie miłość w cieniu alcco.

– Gdzie są kapłani, rodzina królewska i lud w dzień święta Inti? – spytał wysłannik Słońca.

Młodzi nie wiedzieli, co odpowiedzieć.

– Słyszałem, jak mówiliście do siebie miłosnymi słowami. Dlaczego, jak każe zwyczaj, nie złożyliście pod obeliskiem miłości ofiary z lamy?

– W naszym mieście nie ma już lam – odparli zakochani. – W krwi lam kąpią się kobiety. I nie ma już obrzędów ani tańców, ponieważ wszyscy odpoczywają po nocnych zabawach.

Wysłannik Słońca zamyślił się. Po czym rzekł:

– Muszę zanieść tę wiadomość bogu Inti, który wkrótce ukarze wszystkich mieszkańców. Wam jednak zostawię trochę czasu, abyście mogli uciec. A teraz poszukajcie szybko jakiejś lamy, aby ją złożyć przy świadkach w ofierze przed obeliskiem miłości. Kiedy światło Słońca przeniknie przez bramę wejściową, nadejdzie właściwa pora.

Zrozpaczony chłopak ruszył na poszukiwanie świętego zwierzęcia i kogoś, kto chciałby być świadkiem przy składaniu ofiary. Ale

wszyscy wymawiali się zmęczeniem. W końcu jego matka i pewien niewolnik zdecydowali się służyć mu za świadków.

W pobliżu ołtarza przeznaczonego do składania ofiar natknęli się na białą lamę, zesłaną im przez dobre duchy. I dokładnie w chwili, gdy światło słońca przeniknęło przez bramę, podcięli gardło zwierzęciu. Krew trysnęła na kamień, ofiara została przyjęta, a małżeństwo zawarte. Wtedy Inti zszedł na Ziemię i całą ją zapalił. Uratowali się tylko nowożeńcy. Aby przetrwał niezatarty ślad ich wielkiej miłości, zostali zamienieni w kamienie. Można ich zobaczyć na ayllu, skale małżeńskiej. Od tego czasu Layccascca Ilacta sumac jest miejscem przeklętym. O północy otwiera się tu brama w górskiej skale i wychodzi z niej armia złych duchów, gotowych pożreć śmiałka, który odważy się wtargnąć do ich krainy.

Już od dłuższego czasu było ciemno, światło dnia zgasło. Tylko płomienie ogniska rzucały blask na pomarszczoną twarz Anumy. Stara skończyła swoją opowieść. Wypluła trochę przeżutej koki i zastygła w milczeniu. Nieruchoma, jakby sama była jedną z otaczających nas skał. Czy ta legenda była wytworem fantazji mieszkańców płaskowyżu? W ciągu następnych dni przeszukiwaliśmy okolice, ale nie natrafiliśmy na żadne ślady człowieka. Bez wątpienia „zaklęte miasto" zostało zbudowane przez najgenialniejszego architekta – przez Naturę! W ciągu tysięcy lat wiatry i deszcze rzeźbiły skały, nadając im niezwykłe kształty. Niskie ciśnienie atmosferyczne i wiatr, który gwiżdżąc wśród skał Valle Muerto (Martwej Doliny), wywołuje dziwne dźwięki, przyczynił się być może do powstania tej legendy. A może keczuańskie Sodoma i Gomora znajdowały się gdzie indziej i cała ta historia została tu przeniesiona z innych okolic. A przecież, niezależnie od pochodzenia legendy, „zaklęte miasto" istnieje. Leży na płaskowyżu peruwiańskim, między dwoma małymi osiedlami Tarara i Juli. Nad brzegiem rzeki Huenque płynącej przez Valle Muerto.

Tu była granica płaskowyżu boliwijskiego. U naszych stóp ciągnęła się bezkresna selwa poprzecinana bystrymi górskimi rzekami. Od milionów lat kryje w sobie niewyczerpane skarby: bryłki złota... A złoto w każdej epoce budzi ludzką chciwość.

KRAJ WUJKA LUCYFERA

To właśnie był „kraj wujka Lucyfera". Tak Boliwijczycy nazywają kopalnie złota w Tipuani. Tutaj ściągają ludzie w poszukiwaniu łatwej fortuny, bogactw, władzy... czyli w poszukiwaniu złota, które rządzi światem. Natura mądrze ukryła swoje skarby w tym odległym zakątku. Chroni je setkami przeszkód i niebezpieczeństw przed człowiekiem, który chce je zdobyć. Bronią ich łańcuchy gór, głębokie przepaście, bystre rzeki pełne groźnych wodospadów, tropikalne choroby i cała masa innych zasadzek, w jakie obfituje dziewicza puszcza.

Już za czasów Inków trzymano tutaj niewolników, by wydobywali żółty metal na ozdobę ołtarzy Inti, boga Słońca. Potem zjawili się hiszpańscy konkwistadorzy i batem zmuszali podległych im tubylców do pracy w kopalniach. Dziś do Tipuani przybywają awanturnicy ścigani przez prawo. A także biedni wieśniacy żyjący złudzeniem, że odrobina złota zmieni ich nędzną egzystencję w cudowny sen. Przybywają kobiety, studenci, a także starzy weterani, którzy przez całe życie szukają złota, aby potem trwonić je na wino i hazard.

Odległość od cywilizowanych ośrodków i położenie geograficzne Tipuani nie pozwalają na zastosowanie nowoczesnych metod. Złoto wydobywa się więc w taki sam sposób jak całe wieki temu. Drewniana rynienka służy do ręcznego przemywania złotonośnego piasku zebranego na brzegach rzeki albo w jaskiniach wyżłobionych w wąwozach. Nie ma mowy o jakichkolwiek naukowych pracach eksploracyjnych, a wielu poszukiwaczy bardziej ufa przesądom niż znajomości geologii.

– Widziałem, jak wujek Lucyfer „palił" złoto o północy, tam, nad wąwozem – tłumaczył mi jeden z tych, którym się poszczęściło. – Potem zacząłem tam kopać i znalazłem el golpe (kupkę grudek złota zgromadzonych w jednym miejscu).

– A ja ofiarowałem diabłu młodą lamę, zakopałem ją żywcem w jamie, którą dopiero co zacząłem wygrzebywać, i na drugi dzień znaleźliśmy złoto – powiedział inny.

– Modliliśmy się do świętej Panienki i obiecaliśmy jej sto świec, a ona natchnęła jedną dziewczynę, aby nam wskazała dobre miejsce – dodał trzeci.

Ale nieczęsto trafia się na złotą żyłę. Przeważnie mężczyźni i kobiety ciężko pracują od świtu do późnej nocy. Kopią, wynoszą ziemię na plecach albo wywożą wózkami i przemywają ją w rzece, aby pod koniec dnia uzyskać odrobinę kruszcu. Tak niewielką, że nie wystarcza nawet na żywność, która jest tu bardzo droga ze względu na trudny transport. Wszelkie towary dowozi się na grzbietach mułów albo też przynoszą je tragarze. Trzy dni muszą iść górskimi ścieżkami, aby następnie złożyć swój ładunek na tratwach. Te z kolei, żeglują cztery dni rzeką Coroico albo Beni. Wiele razy wszystko przepada, waląc się w przepaść albo rozbija się na rzecznych głazach. Dlatego puszka mięsnej konserwy kosztuje pięć gramów złota, a butelka alkoholu aż dziesięć.

Boliwijskie przepisy górnicze zezwalają na wydobywanie złota każdemu, byle tylko zostało ono sprzedane Bankowi Narodowemu. Każdy zakłada swoją własną kopalnię tam, gdzie mu się podoba. Zwykle powstają małe grupy wspólników – od dwóch do trzydziestu osób. W tym rejonie nie ma policji i panuje głównie prawo pięści. Napady rabunkowe, bójki i walki o korzystne tereny są tu chlebem powszednim. Często zdarza się, że grupa wspólników kosztem wielkich wysiłków i trzytygodniowych robót zdoła wydrążyć jamę w jałowej skale i wewnątrz natrafia na bogate złoża złotonośnej ziemi. Kiedy jednak marzenia zdają się bliskie realizacji, na szczęśliwców napada inna grupa, pozbawiona skrupułów i lepiej uzbrojona. Próbuje siłą wydrzeć skarb.

W Tipuani można spotkać najróżniejsze typy ludzi. Od nieumiejącego czytać ani pisać Indianina czy Metysa aż po profesora uniwersytetu, szukającego tutaj bogactw, jakich nie dała mu jego katedra. Jest tu także ciekawa społeczność górnicza, złożona wyłącznie z kobiet. Mają swą „kapitanową", a że nie rozstają się z bronią, więc wszyscy je szanują. „Dobrowolni niewolnicy" pracują niczym skazańcy na ciężkich robotach, dwanaście godzin na

dobę. W straszliwie gorącej i wilgotnej selwie, gdzie każdy fizyczny wysiłek jest torturą. Dręczeni przez moskity i tropikalne choroby, często głodni, wszyscy ci ludzie mają w oczach ów błysk zdradzający, że padli ofiarą najgroźniejszej zarazy – gorączki złota. Tylko niewielu wybranym udaje się zgromadzić mały kapitał, który pozwala im potem zarabiać na życie w mniej uciążliwy sposób. Wielki procent poszukiwaczy umiera w tej niewoli, którą sami sobie narzucili. Innym udaje się stąd wyrwać, ale dopiero wtedy, gdy na tych przeklętych terenach stracą zdrowie. Spotkałem tu także pewnego faceta różniącego się od innych. Wysoki blondyn, prawdopodobnie pochodzenia słowiańskiego albo skandynawskiego, zawsze szeroko uśmiechnięty. Wydawał się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

– Jak to się stało, że znalazł się pan w Tipuani? – spytałem go.

– To długa historia. Kiedy byłem mały, nie wierzyłem, że Ziemia jest okrągła. Nauczyciel w szkole tłumaczył mi to, pokazując globus. Powiedział, że jeśli wyjdę frontowymi drzwiami z mego domu i będę szedł zawsze prosto przed siebie, niezawodnie dojdę z powrotem do tylnych drzwi domu. Nigdy nie uwierzyłem bez zastrzeżeń w to twierdzenie i dlatego pewnego dnia wyszedłem przez frontowe drzwi. Wędrowałem wiele lat, pieszo, ciężarówką, łodzią, aż przybyłem tutaj i teraz szukam złota, aby móc ruszyć w dalszą drogę. I tęsknię do dnia, w którym stanę przed tylnymi drzwiami mego rodzinnego domu, aby wreszcie znaleźć się znowu u siebie!

Jest w Tipuani człowiek imieniem Pedro. Od lat szuka złota, zawsze sam. Ma wyraźne szczęście, bo znajduje dużo. Przechowuje swój skarb w brezentowych albo skórzanych woreczkach. Zakopuje je w sobie tylko znanych miejscach. Wydziera złoto ziemi, a potem je zwraca. Je mało, a ubranie ma brudne i poszarpane. Od wielu już lat może uważać się za bogacza. Co z tego, kiedy gorączka złota go nie opuszcza. Nie jest w stanie odejść z tego przeklętego miejsca. Ciągle chce więcej i więcej. Tak będzie z nim aż do dnia, kiedy zabiją go bandyci albo jakaś choroba. Zakończy życie w nędznym szałasie, gdzie mieszka bez rodziny, bez przyjaciół, sam ze swoim złotem, które nigdy na nic mu się nie przyda i którego tajemnicę zabierze ze sobą do grobu. On należy już nieodwołalnie do krainy Lucyfera, który niechętnie wypuszcza swe ofiary z królestwa złota i łez!

KRAJ WUJKA LUCYFERA

– tak Boliwijczycy nazywają kopalnie złota w Tipuani. Ściągają tu ludzie z całego świata. Nękani moskitami i tropikalnymi chorobami oddają się katorżniczej pracy.

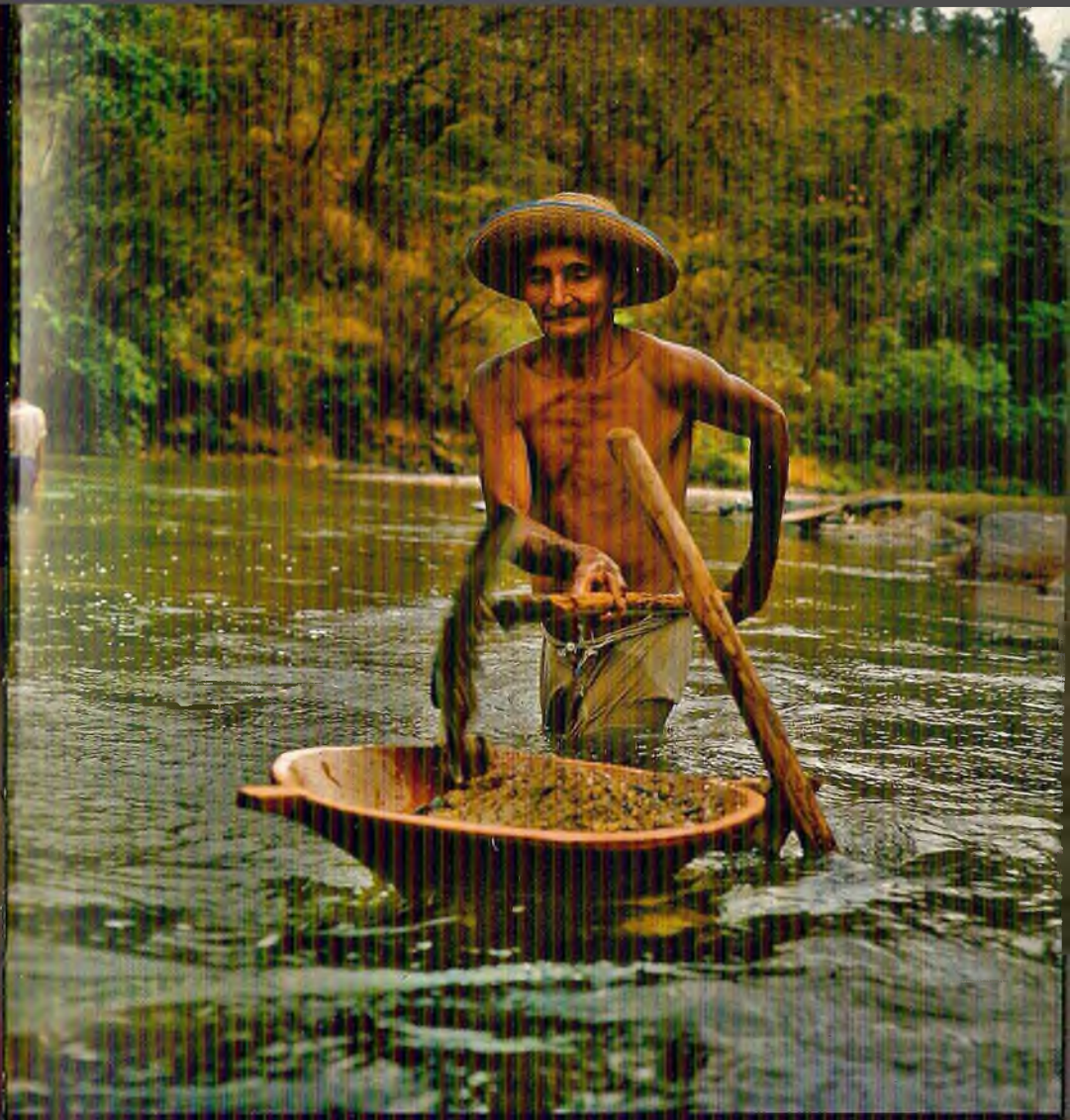

W tym rejonie nie ma policji i panuje prawo pięści. Ze względu na niebezpieczeństwo poszukiwacze łączą się w małe grupki wspólników. Jest też grupa złożona wyłącznie z kobiet. Mają swoją „kapitanową" i nie rozstają się z bronią.

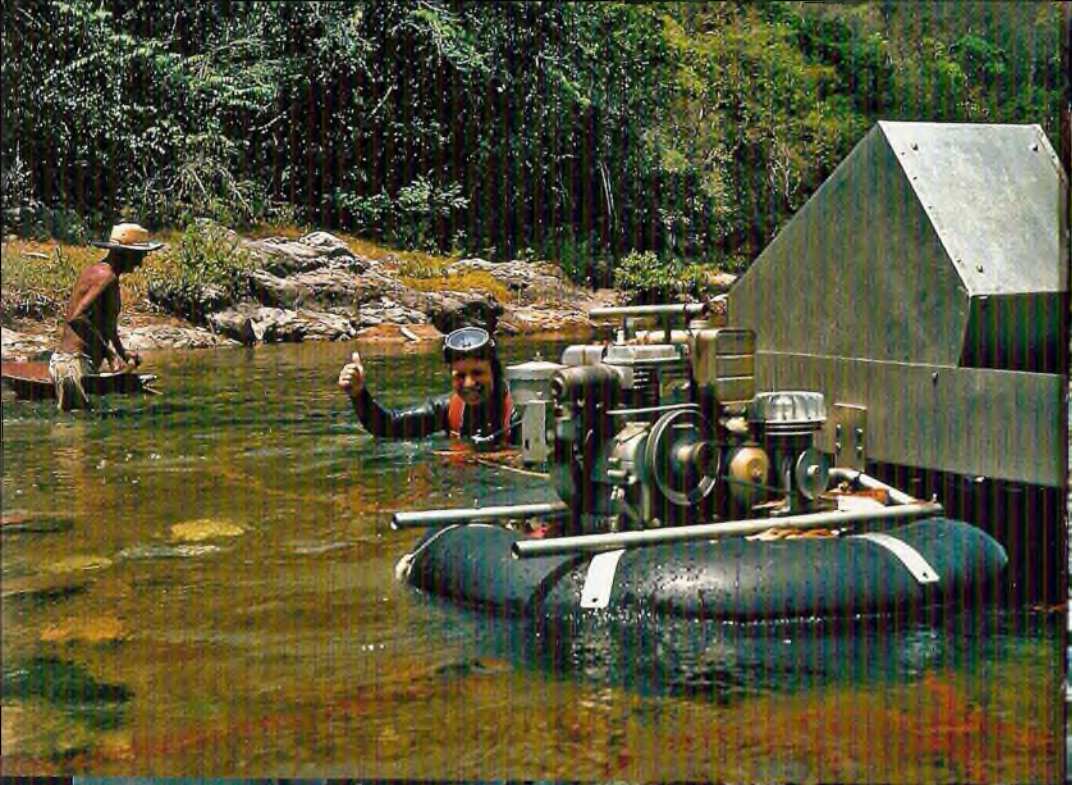

Dołączyłem do grupy płetwonurków. Pod koniec dnia udało się nam zebrać do słoika odrobinę cennego kruszcu. Poczułem jak mnie trawi „gorączka złota".

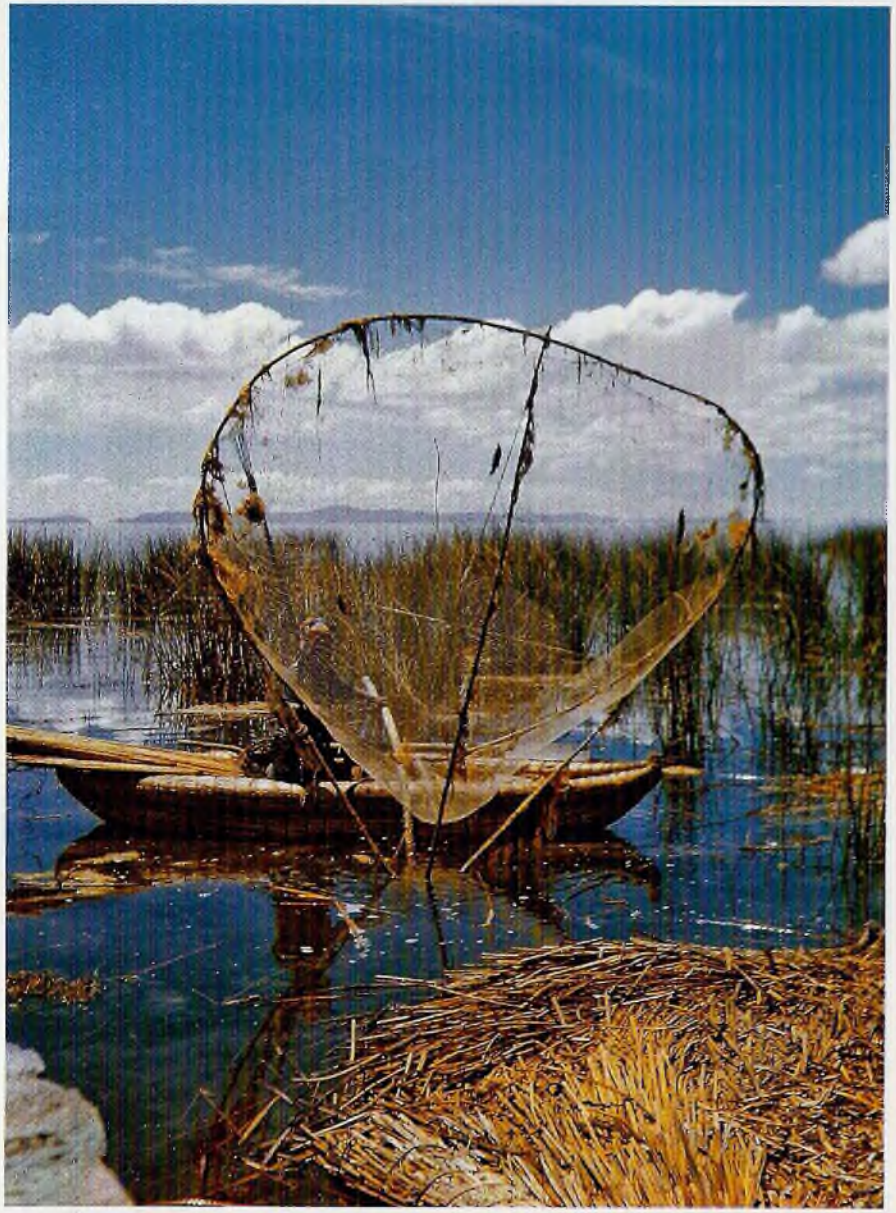

NAD TITICACA, ŚWIĘTYM JEZIOREM INKÓW

Podczas panowania czternastu wielkich Inków cesarstwo zajmowało terytorium długości 5000 leguas, od Quito na północy aż po Maule w Chile, obejmując Boliwię i część Argentyny. Czerwona spiczasta czapka i złota kolba kukurydzy zdobiły czoła wielkich Inków, będąc symbolem ich rozległej władzy. Konkwista dokonana w 1533 roku przez Franciszka Pizarra miała, w ciągu następnych stuleci, niewielki wpływ na życie wiosek położonych nad brzegami świętego jeziora. Dzisiejsi Indianie używają takich samych, jak za czasów imperium, prymitywnych łodzi-tratw, zrobionych z wiązek trzciny totora, w których pływają po jeziorze. Domy budują z kamieni albo z adobe (cegła z niewypalonej gliny, suszona na słońcu), pokrywając je dachem z totory. Żyją prawie wyłącznie z rybołówstwa. Mają też maleńkie ogródki pośród skał i sadzą tam kartofle i inne rośliny. Najzamożniejsi mają po jednej krowie, która daje im mleko. Żyją w osobnych wspólnotach i sami wybierają spośród siebie władze.

Każdego ranka mężczyźni wypływają na tratwach z totory, aby w wodach jeziora Titicaca szukać pożywienia. Zarzucają swe okrągłe sieci w pobliżu zarośli totory. Trzcina ta odgrywa dużą rolę w życiu tubylców. Robią z niej łodzie i tratwy, splatają powrozy, pokrywają nią dachy domów. W okresach niedostatku jedzą jej świeże pędy. W dawnych czasach żyło tu plemię, dziś prawie wymarłe, które budowało z totory prawdziwe pływające wyspy. Ludzie ci prawie nigdy nie schodzili na stały ląd. Na swoich sztucznych wyspach robili sobie domy, rodzili się i umierali, a nawet uprawiali kartofle na ziemi przynoszonej z brzegu. Dlatego też tubylcy żywią szczególny szacunek dla totory, a nawet oddają jej cześć podczas religijnych uroczystości.

Oprócz sieci używają do połowu długiego kija, służącego także za wiosło, do którego przywiązują liczne stalowe ostrza. Odpychając

GRANICA

Święte jezioro Inków należy obecnie do dwóch państw, Boliwii i Peru. Granica przechodzi przez jego środek, ale potomkowie Inków ignorują ją i swobodnie przeprawiają się z jednego brzegu na drugi na swych tratwach. Oczywiście, bez paszportów.

nim tratwę, mogą widzieć w czystej wodzie zbliżającą się rybę i z łatwością nadziać ją na szpikulec. Używają również harpuna - jest on im przydatny w polowaniu na wodne ptactwo, które w pewnych okresach roku gnieździ się obficie w nadbrzeżnych zaroślach. Co ciekawe, ci Indianie, żyjący w stałym kontakcie z wodą, zupełnie nie umieją pływać.

Aby zdobyć pożywienie, rybacy znad Titicaca muszą harować wiele godzin dziennie. Mięso ryb gotują albo suszą na słońcu. Rząd Peru zarybił jezioro dużą liczbą pstrągów sprowadzonych ze Stanów Zjednoczonych. Ryba ta znalazła tutaj bardzo korzystne warunki i wydatnie podniosła poziom życia mieszkańców tych okolic. Mogą ją sprzedawać, bo cieszy się dużym popytem, a za uzyskane pieniądze kupować zboże, cukier czy kawę.

Święte jezioro Inków należy obecnie do dwóch państw, Boliwii i Peru. Granica przechodzi przez jego środek, ale potomkowie Inków ignorują ją i swobodnie przeprawiają się z jednego brzegu na drugi na swych tratwach. Oczywiście, bez paszportów. Kobiety sterują tratwami z taką samą zręcznością jak mężczyźni. Robią długie wyprawy i śmiało stawiają czoło częstym i gwałtownym burzom wywołującym wielkie fale na jeziorze. Tubylcy niezachwianie wierzą w wytrzymałość małych „statków" własnoręcznie przez nich robionych. Co ciekawe, nieszczęśliwe wypadki zdarzają się bardzo rzadko, a przecież, jak pamiętamy, nikt z tych ludzi nie umie pływać.

Słońce odbija się w niebieskich głębinach jeziora Titicaca. Na jego powierzchni unoszą się tratwy popychane wiatrem. Na horyzoncie rysują się kontury Wyspy Słońca, na którą zstąpił Manco - Capac, pierwszy z wielkich Inków. To tu narodziło się imperium. W głębi jeziora śpi tajemnica przeszłości. Kiedy Franciszek Pizarro, po zdobyciu Cusco, uwięził ostatniego z Inków, Atahualpę, obiecał go uwolnić w zamian za tyle złota, ile zapełniłoby pokój na wysokość ramienia. Poddani Atahualpy zaczęli gromadzić złoto na okup. Ze wszystkich zakątków imperium przybyły karawany z kruszcem zabranym ze świątyń i pałaców. Ale Pizarro i tak kazał zamordować inkaskiego władcę. Z chwilą śmierci Atahualpy wszystkie skarby zniknęły. Niektórzy przypuszczają, że zostały zatopione w jeziorze, które do dziś zazdrośnie strzeże tajemnicy.

Inkowie

Indianie znad Titicaca zachowali charakterystyczne inkaskie rysy twarzy. Należą oni do najpotężniejszego plemienia imperium, do plemienia Keczua. Ich językiem posługiwała się inkaska arystokracja. Mężczyźni noszą typowe czapki, nazywane chuño. Robią je z wełny wigonia farbowanej na różne kolory. Nigdy się z nimi nie rozstają i używają ich także jako „kas pancernych", w których chowają pieniądze. Noszą też grube wełniane poncza chroniące przed ostrym chłodem, jaki panuje na tej wysokości.

Kobiety keczuańskie ubierają się w szerokie wełniane spódnice i poncza podobne do męskich, na głowę zaś nakładają filcowy kapelusz. Dla ochrony przed wiatrem obwiązują spódnice wielobarwną szarfą. Ale mimo zimna nie noszą obuwia. Przędą wełnę za pomocą prymitywnego narzędzia z drzewa lub gliny, zwanego tarqui. Nie porzucają tego zajęcia nawet podczas marszu albo domowej krzątaniny.

Zbliżał się już wieczór, kiedy zajechaliśmy naszym jeepem nad cieśninę Tiquina na jeziorze Titicaca. W miejsce, gdzie stykają się granice Peru i Boliwii. W małej przystani kołysały się na wodzie tratwy z totory i kilka większych łodzi, służących do przewozu lam, ludzi, a czasem nawet pojazdów. Te łodzie, napędzane żaglem i wiosłami, ledwie mogły podołać ciężarowi naszego jeepa. Nie było jednak innego wyjścia, śpieszyło nam się. Umówiliśmy się w Cusco z pewnym archeologiem z Europy, naszym przyjacielem, który akurat przypadkiem był w Peru. Musieliśmy przepłynąć cieśninę jeszcze tego wieczora, aby dalej jechać nocą i jak najprędzej dotrzeć do Cusco.

– Przewiezie nas pan na drugi brzeg? – zapytałem jakiegoś Indianina, który siedział na burcie łodzi wyglądającej solidniej niż inne.

– Dziś nie, tata (proszę pana), dziś nie mogę – odparł.

– Dlaczego?

– Koka ma zły smak, tata, straciła smak koka – mówiąc to, wypluł przeżutą prymkę koki. – Nie da rady pracować, kiedy koka traci smak, nie można! – dodał po chwili.

Wiedząc, że wszelkie namowy byłyby bezskuteczne, podszedłem do drugiej łodzi, przy której zebrała się gromadka mężczyzn, rozmawiając i pijąc jakiś ciemny płyn z na pół opróżnionej butelki.

– Chcę przepłynąć cieśninę. Kto mnie zabierze? – spytałem.

Popatrzyli na siebie i jeden powiedział:

– Dzisiaj koka nie ma smaku, już nie pora na pracę. Za trzy dni bardzo chętnie cię przewieziemy. To nasz obowiązek, ale dzisiaj koka nie smakuje, straciła smak!

– Dlaczego za trzy dni, a nie dziś albo jutro?

– Jutro rano będzie silny wiatr – odrzekł. – Inti poszedł spać na niebie czerwonym jak krew. Jutro nikt nie wypłynie na jezioro, pojutrze też nie, ale potem wszystko się uspokoi. Przeprawimy cię, jeżeli masz dużo pieniążków.

– Ile chcesz za przewiezienie jeepa i nas dwojga?

– Tyle, ile wynosi taryfa. Za samochód 5000 bolivianos, za gringę (białą kobietę) 10 000, za kolorową 200, za turystę 1000. No to wypada ci 13 800.

Wynosiło to trochę więcej niż jeden dolar. Tanio, nie warto było się targować, ale przez ciekawość spytałem.

– Jak ty to obliczasz?

– Ano tak: za twój samochód 10 000, za twoją żonę 10 000, za ciebie 1000, za psa 1000, za dwóch wioślarzy w tamtą stronę 400, za dwóch wioślarzy z powrotem 400. Wszystko razem 13 800 – i dorzucił z dumą: – Ja umiem liczyć, chodziłem do szkoły!

– Jak to? Liczysz mi 1000 za psa, liczysz za twoją załogę, a nie liczysz za samego siebie, za kapitana? – spytałem rozbawiony.

– Biorę za psa, bo to pies gringów (białych) i turysta. Jestem uczciwy, nie biorę za siebie, bo mam nadzieję, że mi dasz dobry napiwek.

– W porządku, daruję ci, jeżeli mnie przewieziesz zaraz!

– Nie da rady, tata, nie można. Koka nie ma smaku. Poczekaj, innego dnia.

– Słuchaj no, zapłacę ci podwójną stawkę, potrójną, jeśli chcesz, ale przewieź mnie dzisiaj, zaraz.

– Nie można, tata, koka nie ma smaku, nie można!

Wiedziałem, że na próżno podnosiłbym cenę. Koka to zegar odmierzający czas i pracę tubylców. Ale ja musiałem natychmiast dostać się na drugą stronę, a to zależało tylko od przewoźnika i od jego łodzi. Nie było innego wjazdu do Peru. Mogłem jedynie zrobić wielokilometrowy objazd brzegiem jeziora i przejechać granicę w Desaguadero, a to oznaczałoby przedłużenie podróży co najmniej o cały dzień. Tym ludziom niezbyt zależy na pieniądzach. Pracują, aby mieć na kupno jedzenia, koni i alkoholu. Nie chcą odkładać oszczędności, by mieć lepszy sprzęt lub więcej łodzi. Przysiadłem koło nich i kiedy butelka dotarła do mnie, nie odmówiłem poczęstunku. Zawierała jakieś okropieństwo zajeżdżające denaturatem i palące jak pieprz. Było to dość odrażające, ale wziąłem się w garść i wypiłem spory łyk.

PRZEPRAWA

Przy ładowaniu jeepa złamała się deska w łodzi i wóz o mało nie wpadł do wody. Na środku jeziora dął silny wiatr. Przechylił łódź tak, że nadgniły powróz pękł, a samochód ześliznął się do samej burty. W ostatniej chwili zdołałem go przytrzymać wiosłem. Niewiele brakowało, a spoczałby na dnie Titicaca, obok skarbów inkaskich.

Potem wręczyłem butelkę mojemu sąsiadowi i splunąłem na ziemię. Tak, jak tego wymaga keczuański dobry obyczaj.

– Świetna wódka! – powiedziałem. – Skąd ją macie?

– Sklepikarz ją miał – odparł jeden z mężczyzn i dodał ze smutkiem. – Ale już się skończyła, to ostatnia butelka.

– A na drugim brzegu nie mają?

– Może i mają.

– Chętnie bym tu jeszcze z wami popił. Może pojedziemy po wódkę, co?

– Ba, pewnie, że po dobrą wódkę to warto przepłynąć na drugi brzeg.

– No to zróbcie mi przyjemność, jak już się przeprawiacie, i zabierzcie też i nas.

– A wsiadajcie, jak chcecie.

Razem z ostatnimi blaskami dnia dotarliśmy na brzeg peruwiański. Przy ładowaniu jeepa złamała się deska w łodzi i wóz o mało nie wpadł do wody. Na środku jeziora dął silny wiatr. Przechylił łódź tak, że nadgniły powróz pękł, a samochód ześliznął się do samej burty. W ostatniej chwili zdołałem go przytrzymać wiosłem. Niewiele brakowało, a spoczałby na dnie Titicaca, obok skarbów inkaskich. Ale, co najważniejsze, przepłynęliśmy cieśninę, a to było naszym głównym celem. Wypiwszy z moimi nowymi znajomymi butelkę cziczy, podszedłem do „kapitana", aby mu zapłacić. Dałem mu 10 000 bolivianos. Popatrzył na mnie, potem zwrócił mi 2000 i długo przetrząsał swój brudny woreczek ukryty pod ponczem. Jednocześnie zdawał się liczyć w pamięci, pomagając sobie palcami. W końcu zwrócił mi 4600 bolivianos.

– Ależ nie, to dla ciebie, weź te pieniądze.

– Nie, od przyjaciół nie bierze się napiwku, ja tam lubię czyste rachunki. Policzę ci 5000 za auto, 200 za twoją kobietę, 200 za psa, a ty za darmo, tobie nic nie liczę. Razem wyszło 5400. Umiem liczyć, chodziłem do szkoły!...

– Ale jak to się stało, że jednak się wziąłeś za robotę, skoro koka nie miała smaku?

– Nie straciła smaku. Myśmy tylko chcieli kupić wódkę, a was zabraliśmy przy okazji. Dlatego koka nie straciła smaku. Bo kiedy się płynie po dobrą cziczę, to koka nie traci smaku, oj, nie!

Titicaca

Na płaskowyżu leżącym na terenach Peru i Boliwii znajduje się Titicaca, święte jezioro Inków. Przedziwne śródlądowe morze o powierzchni 8850 km kwadratowych znajduje się na wysokości 4000 metrów nad poziomem morza. To żeglowne jezioro, położone najwyżej na świecie, uważane jest za legendarną kolebkę potężnego imperium Inków. Legenda głosi, że pierwszy inkaski cesarz, Manco-Capac, w pierwszej linii syn Inti, Słońca, zszedł na Ziemię na jedną z wysp jeziora Titicaca, na Wyspę Słońca. Tam przybrał ludzką postać. Razem ze swoją siostrą i małżonką Mama-Ocllo, trzymając przed sobą legendarną złotą różdżkę, prowadził plemiona ludzkie na poszukiwanie ziem, na których życie byłoby tak słodkie jak ziarna kukurydzy. Różdżka miała się zagłębić w ziemi w dolinie Vilcanota. Stolicą imperium było miasto Cusco, co w języku keczua znaczy „pępek świata".

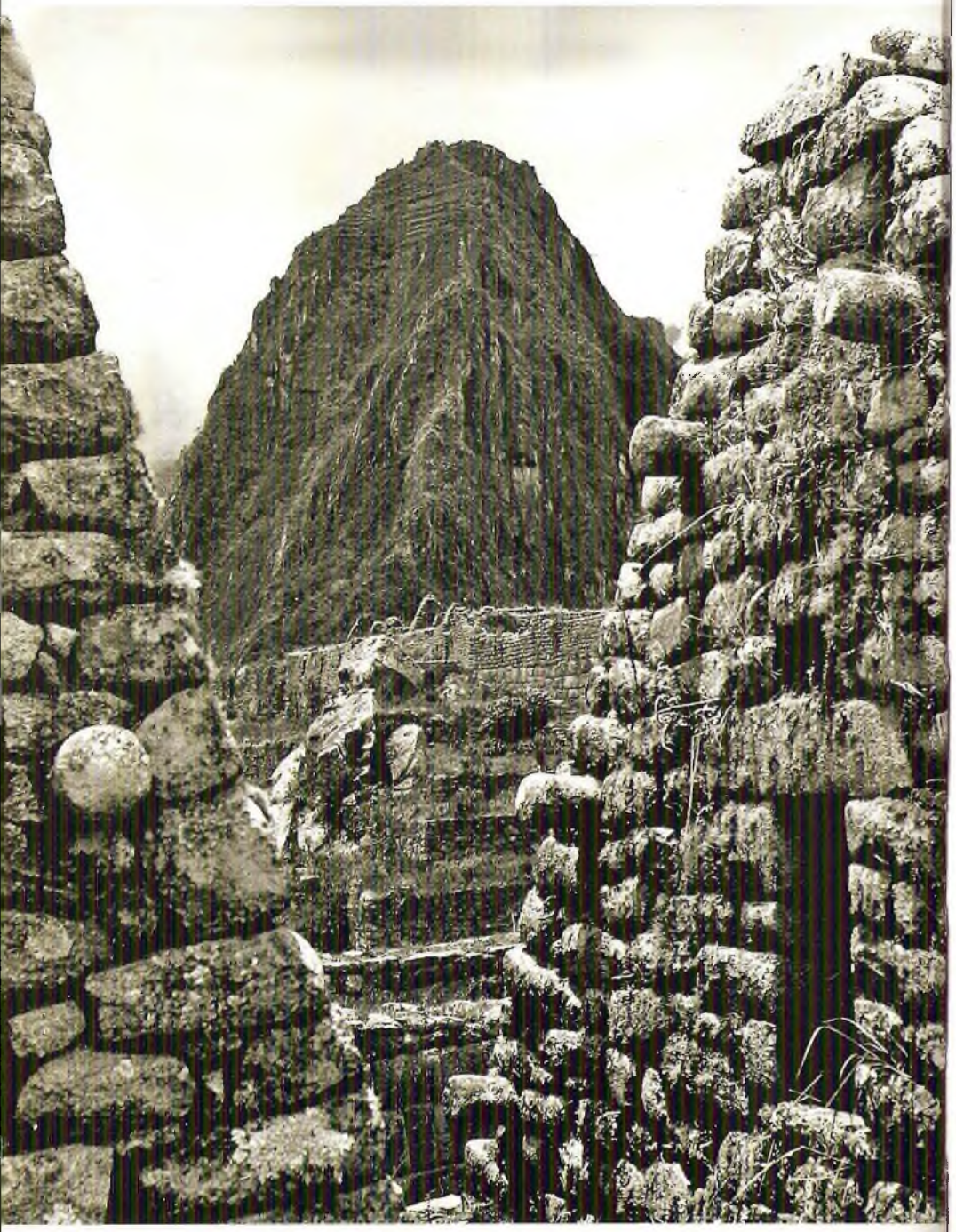

DAWNE IMPERIUM INKÓW

W języku keczua Cusco znaczy „pępek" i nie ulega wątpliwości, że miasto Cusco było „pępkiem świata". Albo raczej węzłem, w którym zbiegały się wszystkie drogi dawnego imperium Inków. Według legendy, pierwszy cesarz Inków, Manco-Capac, syn Słońca, niosąc w ręku złotą pałeczkę, prowadził plemiona Keczua poprzez góry i pustynie płaskowyżu w poszukiwaniu nowych, obiecujących terenów. Różdżka zagłębiła się w ziemi dopiero w miejscu, gdzie potem miało powstać Cusco. To historyczny początek budowy stolicy imperium. Doskonała organizacja, nieustraszone wojsko i ład religijno-społeczny pozwoliły rozciągnąć terytorium cesarstwa na 5000 leguas wzdłuż i wszerz płaskowyżu. Z głównego placu w Cusco wyruszali gońcy. Z rozkazami cesarza docierali aż do najdalszych prowincji imperium na północnym wschodzie Argentyny albo do selwy Ekwadoru.

W Cusco zaczęły wyrastać świątynie, twierdze i pałace. Budowano je z kamieni wyciosanych w sposób tak doskonały, że jeszcze dziś wprawiają w zdumienie archeologów. Tylko cierpliwość Indianina mogła pokonać twardą skałę i nadać jej odpowiedni kształt. Architekci inkascy nie dysponowali przecież narzędziami z twardych metali. Nie znali koła i nie mieli zwierząt pociągowych. Zadziwia mistrzostwo, z jakim bez żadnej murarskiej zaprawy nadawali swym budowlom wielowiekową trwałość. Artyści ociosywali kamień z niezawodnym wyczuciem piękna, zdobiąc budynki totemami i wizerunkami zwierząt. Do dziś nie wiemy, w jaki sposób transportowali wielkie kamienne bloki, ważące czasem do 300 ton. Produkty inkaskiej sztuki złotniczej i ceramikę można obecnie podziwiać w muzeach.

Prekolumbijskie Cusco było nie tylko politycznym centrum cesarstwa, lecz także ważnym ośrodkiem wojskowym i religijnym.

Konkwista i śmierć ostatniego władcy, Atahualpy, w roku 1533, położyły kres imperium, ale Cusco pozostało w dalszym ciągu ważnym ośrodkiem dla konkwistadorów. Wiara chrześcijańska zniszczyła pogańskie świątynie. Bogowie Intihuasi i Viracocha musieli ustąpić miejsca Chrystusowi i Świętej Panience, a kamienie ociosane przez dawnych rzemieślników inkaskich zostały użyte do budowy nowych świątyń.

Katedra w Cusco zbudowana jest na miejscu świątyni boga Viracocha, a kościół Santo Domingo zajął w większej części miejsce świątyni Słońca. Formy artystyczne świątyń pogańskich inspirowały słynnych architektów hiszpańskich – Miguela Velamedi, Juana Correa i Diego Arias de la Cerda, przy budowie kościołów i domów kolonialnych. Wąskie ulice Cusco są tymi samymi, jakie wytyczyli starożytni Inkowie. A niemal wszystkie kamienie użyte przy nowych budowlach też pochodzą z czasów przed konkwistą.

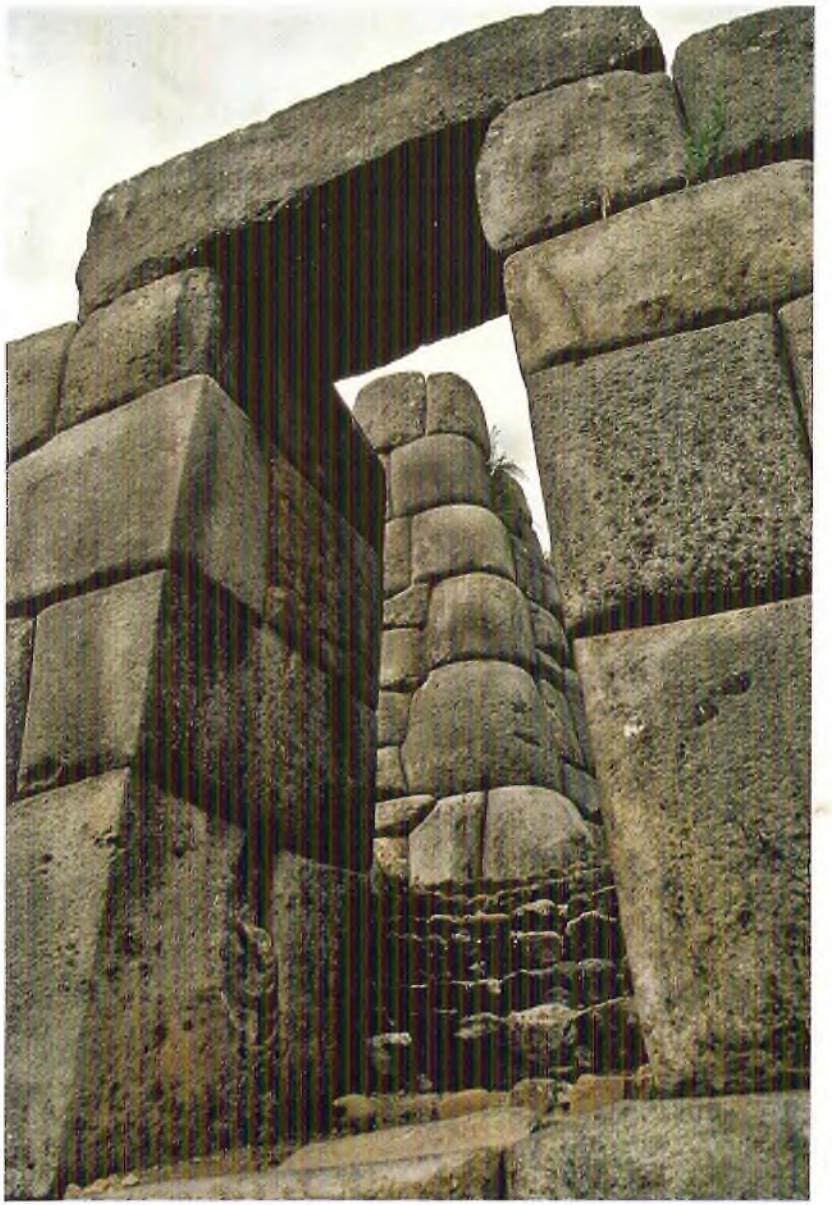

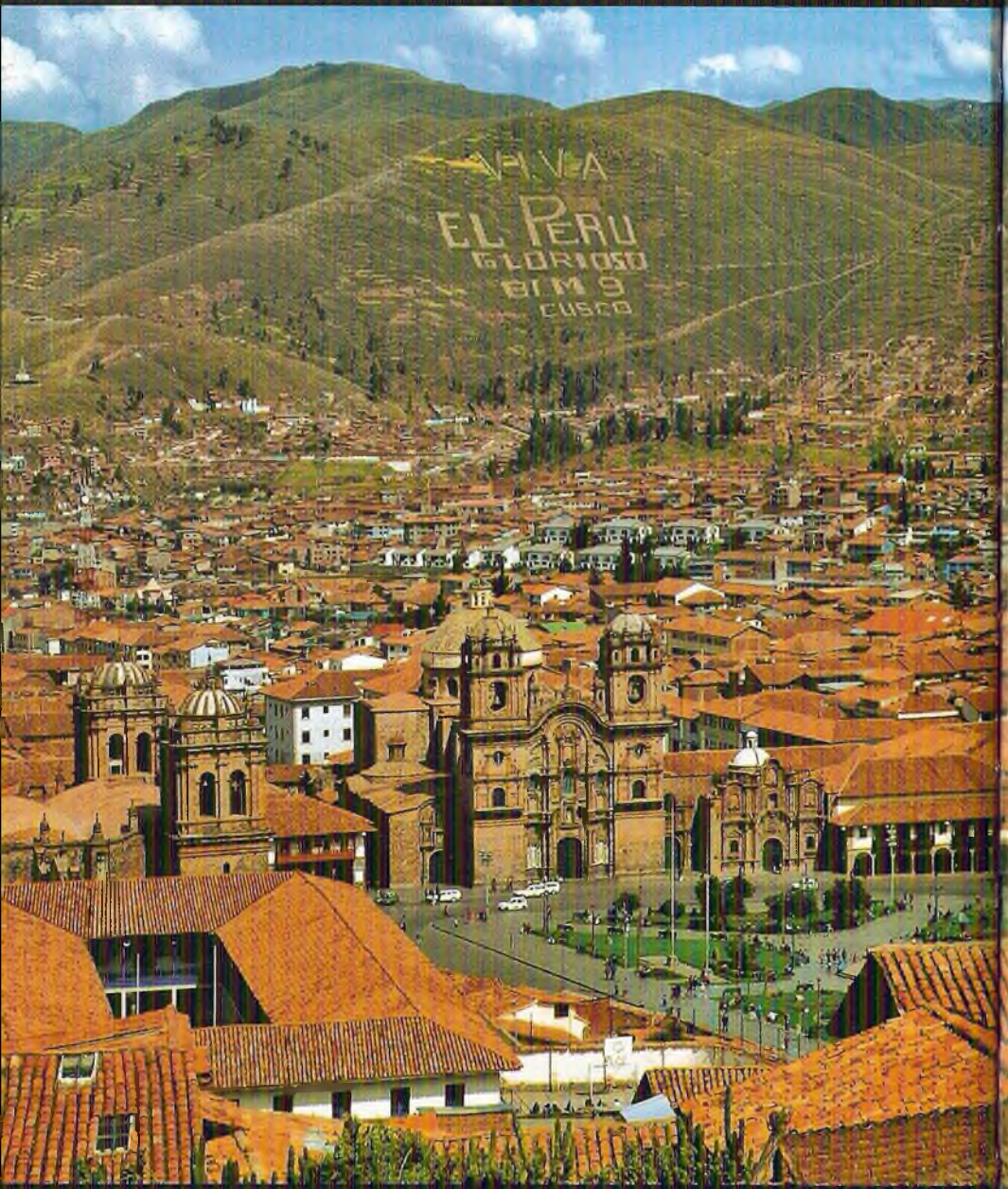

CUSCO

Choć wieki zmieniły panoramę tego regionu, Cusco wciąż ma w sobie coś z dawnej, dumnej stolicy. Mimo, iż jego polityczna potęga rozwiała się, nabiera znaczenia jako ośrodek światowej archeologii.

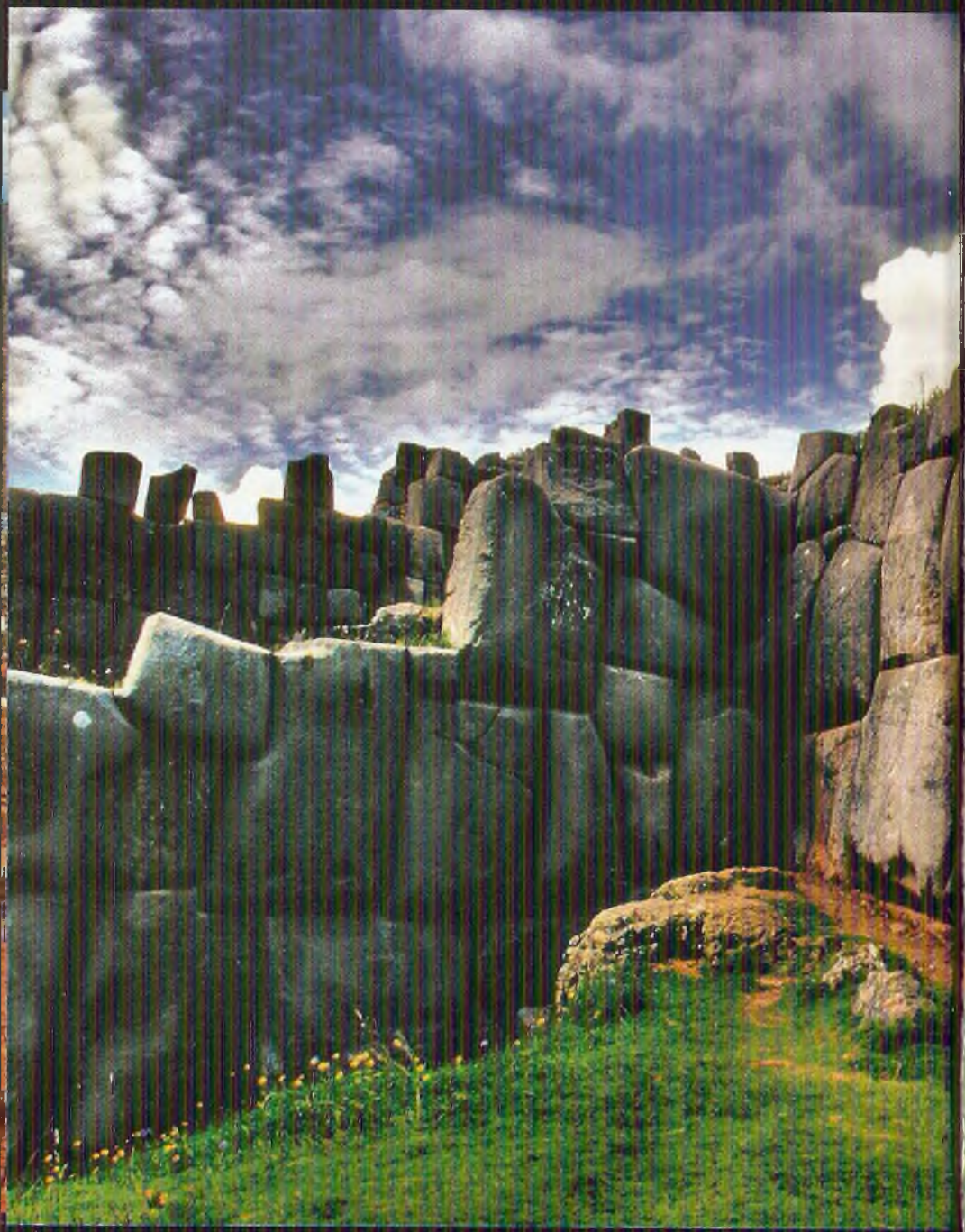

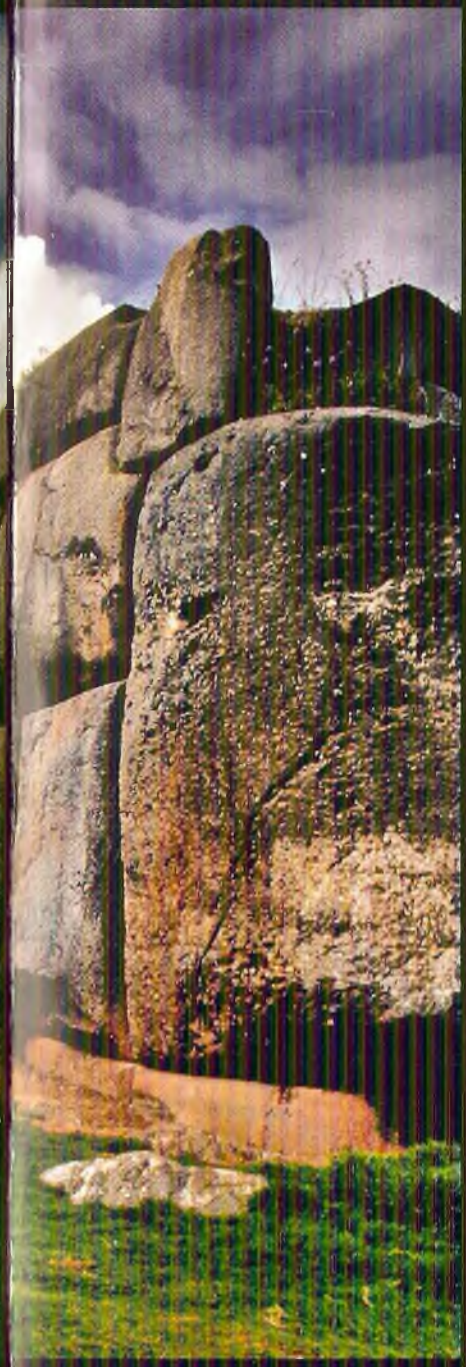

SACSAHUAMAN

W pobliżu Cusco wznosi się na wzórzu forteca Sacsahuaman. Jeden z najdoskonalszych okazów dawnego budownictwa fortyfikacyjnego. Zwiedzających zdumiewa widok ogromnych kamiennych bloków, spojonych ze sobą bez użycia zaprawy w sposób tak idealny, że w szpary między nimi nie da się zagłębić nawet ostrza noża. W fortecy tej przebywało niegdyś 25 000 żołnierzy. Bronili stolicy przed atakiem nieprzyjaciół. Żołnierze odbywali tu ćwiczenia przed każdą nową wyprawą. Niestety, forteca nie zachowała się w całości. Hiszpanie woleli użyć do swych budowli kamieni z jej murów, zamiast szukać ich na innych wzgórzach. Wiele z nich posłużyło później jako budulec domów, które przetrwały do dziś. Zniszczone przez Hiszpanów i przez czas Sacsahuaman nadal jednak wygląda imponująco.

NOC W MACCHU PICCHU

– A ty ją widziałeś?

Stary najpierw się przeżegnał, a dopiero potem odpowiedział na moje pytanie.

– Tak jak ciebie widzę. Wyszła z niszy bożków akurat, kiedy biła północ. Poszła ścinać kwiaty, tak jak zwykle.

– A co ty robiłeś w ruinach o tej porze?

Ale stary José nie chciał tego powiedzieć. Niegdyś „polował na huacos", szukał złotych przedmiotów w dawnych inkaskich grobach. Z obawy przed prawem, zabraniającym naruszania skarbów archeologicznych, zmienił zawód. Zbudował sobie dom i zajął się hodowlą owiec i lam w dolinie Vilcanota, najbliższej ruinom Macchu Picchu. Ale nocami, kiedy był pewny, że nikt go nie nakryje, nadal szukał skarbów. Być może całą tę historię z duchem inkaskiej księżniczki wymyślił tylko po to, aby mnie odciągnąć od ruin. Co do mnie, nie wierzę w duchy. Przybyłem tu razem z żoną, aby sfilmować słynny klejnot inkaskiej architektury – Macchu Picchu, odkryty w roku 1911 przez północnoamerykańskiego archeologa Hirama A. Binghama, profesora uniwersytetu w Yale.

Aby móc spokojnie pracować, ustawiliśmy wóz na wprost ruin, a pałac księżniczki wybraliśmy na miejsce obozowiska. Zawiesiliśmy tam nasze hamaki. Kiedyś docierało tu niewielu turystów. Przeważnie na jednodniowe wycieczki, z czego zwiedzanie zajmowało im tylko dwie godziny. Przyjeżdżali pociągiem z Cusco, docierającym tutaj tylko raz w tygodniu. Tak więc praktycznie byliśmy sami i mogliśmy się rozkoszować widokiem martwego miasta, ruin i ducha księżniczki uwięzionej przez synów Słońca.

W nocy ruiny Macchu Picchu pogrążyły się we mgle. Z rzadka rozświetlał je blask księżyca. Wydobywał z mroku zarysy świątyń, placów, pałaców, schodów... Kamienie, jeszcze rozgrzane od

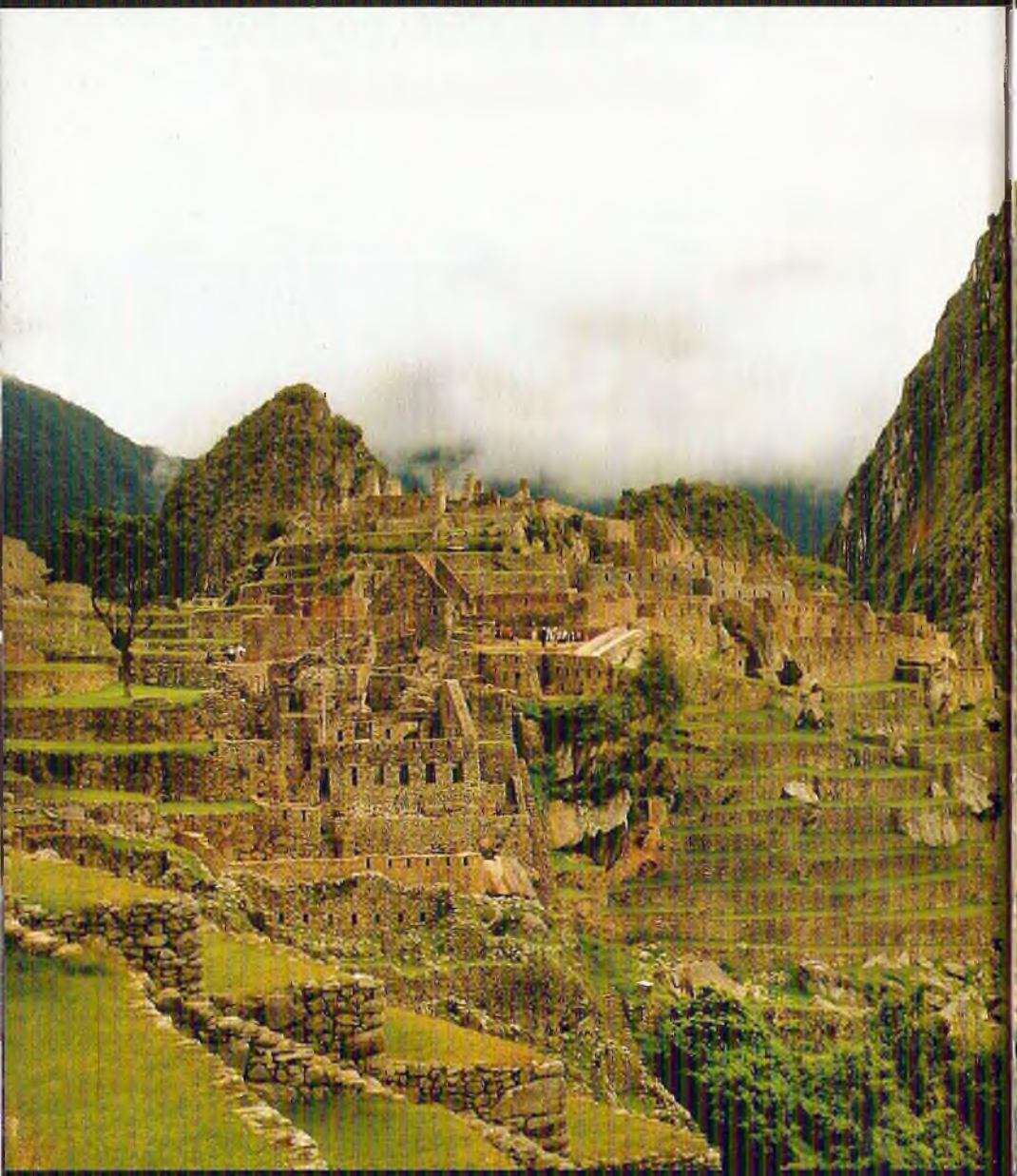

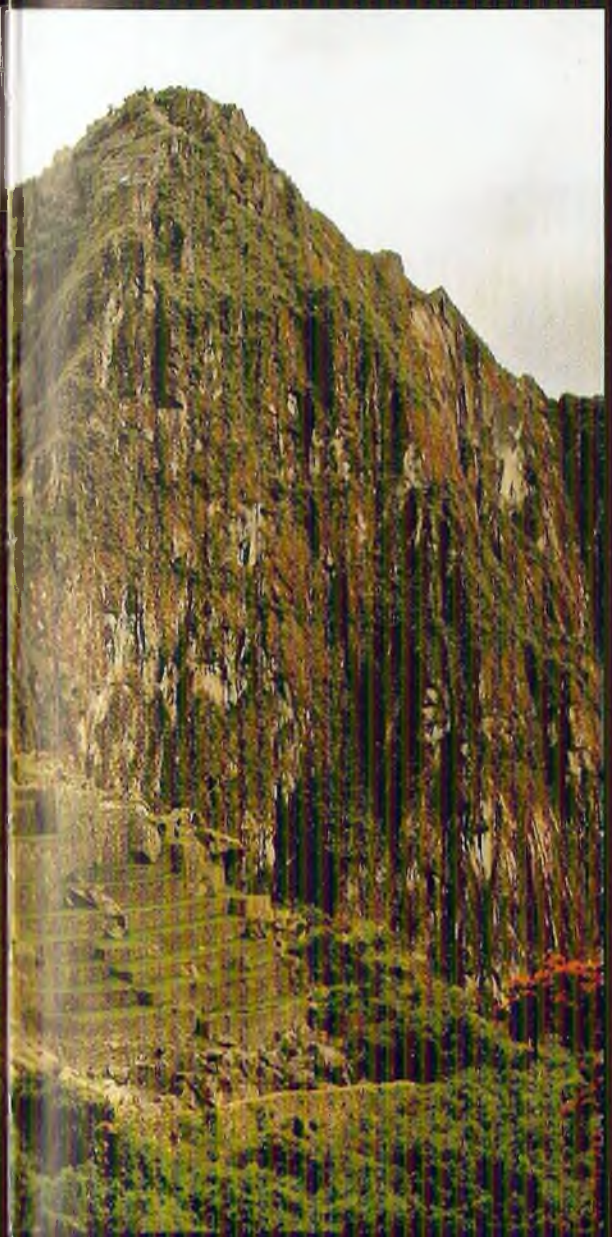

MACCHU PICCHU

Historia Macchu Picchu w dużej części jest legendą. Dwa tysiące lat temu, a może i dawniej, na szczytach stromych, niemal niedostępnych gór, żyli ludzie, których życiową koniecznością stało się panowanie nad innymi. Bowiem w tym miejscu nie mogli uprawiać ziemi ani hodować bydła. Wybrali te wysokie góry, aby być bliżej nieba, bliżej gwiazdy życia, Słońca, ich boga... a także ze względu na dogodną pozycję strategiczną.

prażącego w dzień słońca, zdawały się żyć własnym życiem. Jakby opowiadały o zamierzchłych czasach i wydarzeniach, których były milczącymi świadkami.

Historia Macchu Picchu w dużej części jest legendą. Dwa tysiące lat temu, a może i dawniej, na szczytach stromych, niemal niedostępnych gór, żyli ludzie, których życiową koniecznością stało się panowanie nad innymi. Bowiem w tym miejscu nie mogli uprawiać ziemi ani hodować bydła. Wybrali te wysokie góry, aby być bliżej nieba, bliżej gwiazdy życia, Słońca, ich boga... a także ze względu na dogodną pozycję strategiczną.

Mieszkali tutaj wyłącznie kapłani i arystokracja. Niewątpliwie przewyższali innych inteligencją, dlatego mogli nad nimi panować. Niewolnicy z dolin dostarczali im niezbędnego pożywienia. Setki lat budowali inkascy architekci swoje mistrzowskie dzieła – mury, świątynie, pałace, wieże wojskowe, akwedukty. Bloki białego granitu o najróżniejszych wymiarach były cierpliwie ociosywane przez rzemieślników, posiadających tylko prymitywne narzędzia z kamienia albo miedzi. Aż przybrały ów doskonały kształt, który wzbudza nasz podziw.

Księżyc oświetlił na chwilę Intihuatana. Obserwatorium słoneczne w wielkiej świątyni, stanowiącej główny punkt Macchu Picchu. Pośród tej białej nocnej poświaty wyobraźnia podsuwa nam widok kapłanów otaczających wielki kamień Słońca. Obserwując jego cień, określali pory roku i przepowiadali losy narodu. Tutaj składali ofiary gwieździe życia. W tym miejscu księżyc wiele razy odbijał się w kałużach krwi. Promień światła z zawrotną szybkością ześliznął się po 3200 schodach prowadzących na główny plac. Podczas dawnych wielkich dni Macchu Picchu na jego zielonych trawnikach pełno było żołnierzy, rolników i prostej ludności. Błyszczały ostre miecze i lance z miedzi, połyskiwały złote ozdoby na sukniach możnych i kapłanów. Radosne głosy mieszały się z krzykami rannych, którzy w torturach spłacali swoje długi wobec boga Słońca.

Straż postawiona w wieży wojskowej pilnowała jedynego wejścia do Macchu Picchu. Stromej ścieżki ze stopniami, po których ludzie wspinali się do świętego miasta. Na tarasach niewolnicy uprawiali ogrody swych panów tak, aby mieli oni świeże kwiaty i jarzyny.

Imperium Słońca

Organizacja imperium Słońca była bardzo sprawna, dlatego nie było tu głodu ani nędzy. Wszystko, co dawała ziemia, należało do bogów reprezentowanych w osobie Inki. Ten zaś hojną dłonią rozdzielał wszelkie dobra pomiędzy poddanych, ale bezlitośnie karał tych, którzy przeciwstawiali się jego woli. W wyprawach wojennych podbijano nowe tereny, aby powiększyć państwo i zaopatrzyć cesarstwo w niewolników. Rolnicy oddawali płody żyznych dolin na wyżywienie wojska, a górnicy dostarczali miedzi, złota i srebra. Topiono metale w prymitywnych piecach i robiono z nich broń, narzędzia i ozdoby. Artyści obrabiali kruszce, malowali ceramikę i rzeźbili złoto i kamienie robiąc z nich figurki bożków. W specjalnej dzielnicy miasta młodzi uczyli się zawodu i doskonalili w rzemiośle artystycznym. Tajemnice przemysłowe były pilnie strzeżone. Nawet dziś nie wiemy, w jaki sposób Inkowie obrabiali miedź, nadając jej twardość bliską niemal twardości żelaza. Legenda głosi, że po wykonaniu pracy niewolnikom ucinano języki i oślepiano ich, aby nie mogli zdradzić sekretu.

MIŁOŚĆ

Legenda inkaska powiada – i jak się przypuszcza, było to faktem – że jedna z córek Inki Pachacutec, piękna i młoda Cusi Coillur, zakochała się w jednym z generałów Anti Suya, o imieniu Ollanta. Ten, ponieważ nie był szlachcicem, nie uzyskał pozwolenia na małżeństwo z ukochaną. Owocem tego romansu była jednak córeczka, nazwana Imà Sumac. Ollanta zbuntował się przeciw Ince Pachacutec i zbudował twierdzę w świętej dolinie Vilcanota, aby w niej stawić czoło siłom królewskim. Musiał się na ten czas rozstać z ukochaną i córeczką. Obie zostały przekazane pod władzę wielkiego kapłana Huilca-Uma, który trzymał je zamknięte w Świątyni Żmij.

Gońcy, od dzieciństwa zaprawiani do biegów, przeżuwali swą dzienną rację koki. Zawsze gotowi wyruszyć z jakąś wieścią albo po owoce czy płody morza na stół Inki. Szybcy i bardzo wytrzymali, przebiegali w sztafecie setki kilometrów przez góry i doliny.

Znowu na chwilę rozsunęły się chmury i księżyc oświetlił drzwi Świątyni Żmij. Pierwsi eksploratorzy zabrali stąd złote głowy węży. Zostały tylko kamienne rowki, w których niegdyś tkwiły. Kult żmij, które przedstawiały złych bogów, miał wielkie znaczenie i prawdopodobnie pozwalał żyć całej grupie ludzi umiejących wykorzystać potęgę strachu. Oni też zarządzali więzieniem dla arystokratek, które z jakichś powodów musiały być odizolowane. Dla nich właśnie został zbudowany Pałac Księżniczki. Legenda inkaska powiada – i jak się przypuszcza, było to faktem – że jedna z córek Inki Pachacutec, piękna i młoda Cusi Coillur, zakochała się w jednym z generałów Anti Suya, o imieniu Ollanta. Ten, ponieważ nie był szlachcicem, nie uzyskał pozwolenia na małżeństwo z ukochaną. Owocem tego romansu była jednak córeczka, nazwana Imą Sumac. Ollanta zbuntował się przeciw Ince Pachacutec i zbudował twierdzę w świętej dolinie Vilcanota, aby w niej stawić czoło siłom królewskim. Musiał się na ten czas rozstać z ukochaną i córeczką. Obie zostały przekazane pod władzę wielkiego kapłana Huilca-Uma, który trzymał je zamknięte w Świątyni Żmij.

Według pewnej wersji tej legendy Cusi Coillur, uwięziona za to, że kochała Ollantę, dostała od niego podarunek, dostarczony przez kondora. Ptak przyniósł księżniczce kwiat begonii, jako symbol miłości. I wtedy pośród murów więzienia, okrytych złotymi ozdobami i drogimi tkaninami, urodziła się jej córka. Kapłani zabrali matce dziewczynkę i jako owoc zakazanej miłości, rzucili żmijom. Zrozpaczona matka przeklęła Macchu Picchu, a górscy bogowie wysłuchali jej błagań. Od tego czasu w okolicach miasta kwitnie begonia, która unieśmiertelnia miłość i dławi inne kwiaty, kiełkujące obok. Legenda dodaje, że zmarła Cusi Coillur co noc wraca na miejsce śmierci swego dziecka, aby przeklinać kapłanów i całować kwiaty begonii.

Kilka następnych nocy spędziliśmy w ruinach Macchu Picchu, przed samym Pałacem Księżniczki. Ale nigdy nie widziałem ducha pięknej więźniarki. Szkoda!

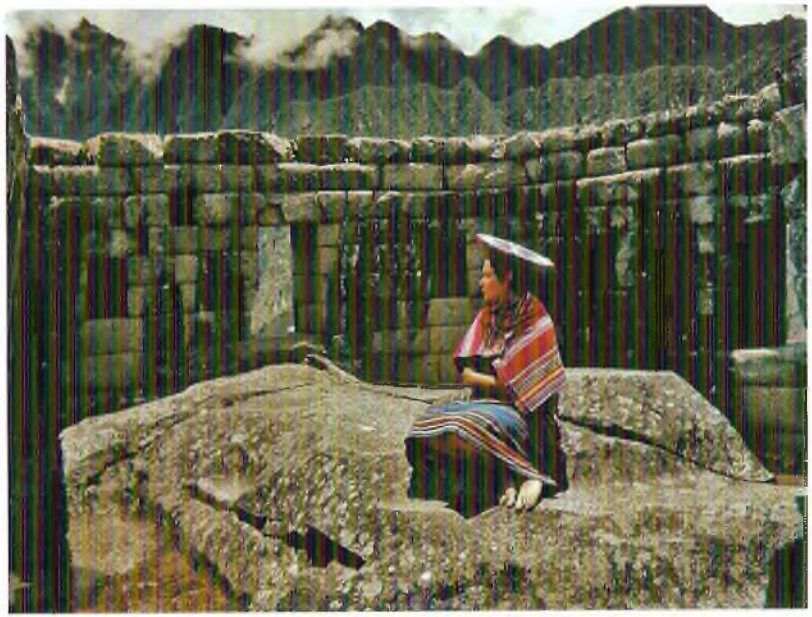

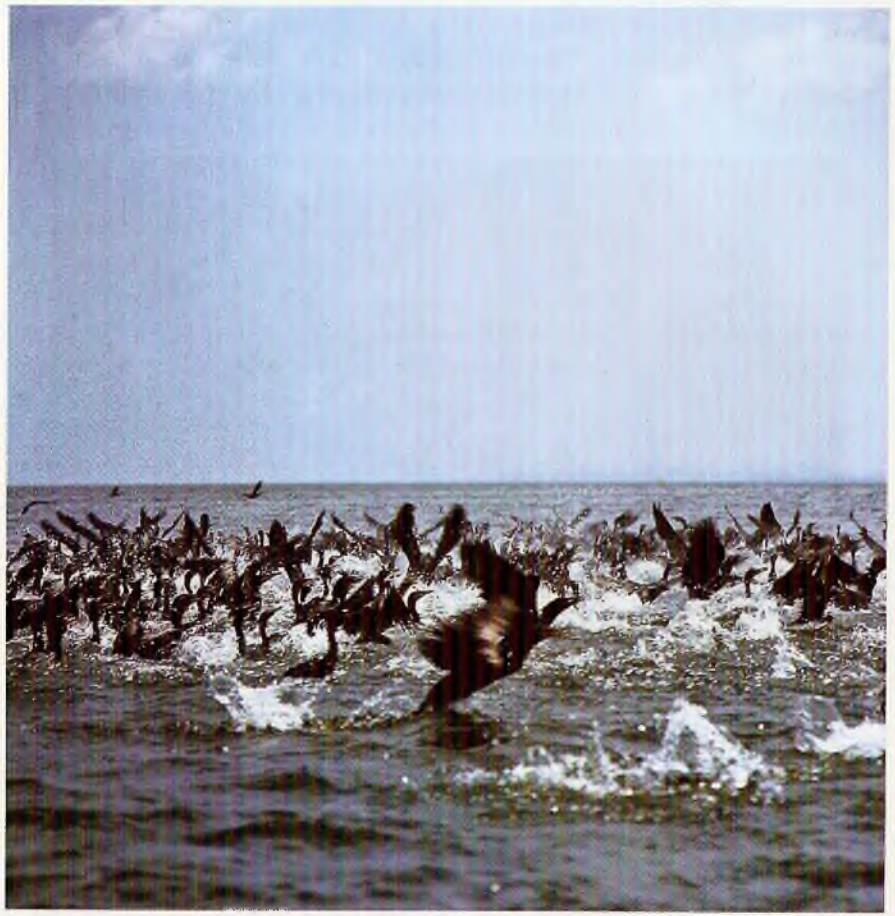

PTAKI DAJĄCE GUANO

Mały holownik tańczył na falach Pacyfiku jak łupinka orzecha. Na horyzoncie rysował się biały łańcuch peruwiańskich wysepek. Wydawały się pokryte śniegiem. Podpływaliśmy do wysp słynnych z guana, bo to one były celem naszej wycieczki. Towarzyszył nam inżynier Nuñez z Compañia Administradora del Guano, organizacji rządowej do spraw guana. Właśnie wyszedł ze swej kabiny, wyraźnie niezadowolony, że musi odbywać tę podróż, zamiast siedzieć spokojnie za swoim biurkiem w Limie. Wiele godzin morskiej żeglugi, jakie mieliśmy za sobą, nie poprawiło mu humoru. Starałem się w miarę możliwości nie dręczyć go pytaniami.

Nad naszymi głowami unosiły się tysiące ptaków, czarno upierzonych, z białą piersią. Kierowały się ku Prądowi Humboldta, aby zjeść swą codzienną porcję sardeli. Inne, już z wolem napełnionym rybami, wracały na wyspy. Większość z nich stanowiły kormorany guanay. Ptaki będące wielkim bogactwem Peru, ze względu na produkowany przez nie naturalny nawóz, bardzo ceniony w świecie. Przyrodnicy twierdzą, że kormorany potrafią dziennie zjeść masę ryb dwukrotnie przewyższającą ciężar ich własnego ciała. To dlatego zdolne są do wyprodukowania tak wielkiej ilości cennych odchodów. Ich naukowa nazwa brzmi *Phalacrocorax bougaainvillii*, ale potocznie nazywa się je guanay.

Wśród ptaków tych można odróżnić, choć z trudem, ich nieodłącznych towarzyszy lotu i łowów, piqueros. Widzi się tu także stada pelikanów, unoszące się w powietrzu swym charakterystycznym ciężkim lotem. Choć wyglądają o wiele dostojniej i są liczniejsze, nie ceni się ich tak jak tamtych, gdyż dają mniej guana i w gorszym gatunku.

Przy akompaniamencie ptasiego krzyku zbliżaliśmy się do jedej z wysepek Chinchas położonych na wysokości miasta Pisco. Byliśmy jedynymi zwiedzającymi, gdyż przybyliśmy tu w okresie

godów. W tym czasie peruwiańskie władze nie pozwalają okrętom ani samolotom zbliżać się do tego łańcucha wysp, aby nie płoszyć ptaków i zapewnić im możliwie największy spokój. Otacza się je tak wielką troską, bo przysparzają państwu rocznie dwieście milionów dolarów. Holownik przybił do samotnej przystani. Dopłynęliśmy do ptasiego raju na Pacyfiku.

Prawie wszystkie wyspy u wybrzeży Peru zamieszkane są przez miliony tych ptaków, które rocznie produkują 350 tysięcy ton guana. Tego naturalnego nawozu używali już Inkowie na wiele lat przed przybyciem Hiszpanów. W „Kronikach Królewskich" Garcilaso de la Vega, napisanych w roku 1604, spotykamy na ten temat taką wzmiankę:

„Na morskim wybrzeżu, poniżej Arequipa aż do Tarapata, co wynosi więcej niż 200 leguas, nie używa się innego nawozu jak tego, który dają morskie ptaki żyjące na całym peruwiańskim brzegu, duże i małe. Latają stadami tak licznymi, że trudno w to uwierzyć, jeśli się ich nie widziało. Lęgną się one na bezludnej wysepce niedaleko wybrzeży, a nawozu, który zostawiają, jest tyle, że i w to także trudno jest uwierzyć. Z daleka sterty nawozu wyglądają jak szczyty ośnieżonych gór. Za czasów inkaskich królów tak dbano o te ptaki, że w czasie lęgu nikomu, pod karą śmierci, nie wolno było stanąć na wyspach. By ich nie spłoszyć i by nie porzuciły gniazda. W żadnej porze roku nie wolno też było ich zabijać, ani na wyspach, ani w innych miejscach, a to również pod karą śmierci".

Choć obecnie nie karze się ludzi za zabicie któregoś z tych ptaków, rząd Peru, za pośrednictwem Compañia Administradora del Guano, otacza wyspy nieustanną opieką i chroni ptaki, aby mogły swobodnie żyć i rozmnażać się. Lisy i skrzydlate drapieżniki są wielkimi niszczycielami ptaków dających guano i uszczuplają w ten sposób zasoby cennego nawozu. Człowiek również spowodował ogromne straty, płosząc je w okresach godów. Inżynier Nuñez powiedział mi, że za każdym razem, gdy stado zrywa się do lotu, rząd traci około dwustu dolarów, bo wtedy część guana spada do morza.

Co roku na początku wiosny miliony ptaków przylatują na bezludne wysepki u wybrzeży Peru. Będą tu budować gniazda i składać jaja. Zaczyna się wtedy walka o przestrzeń życiową. W miejscach nawiedzanych przez łagodne wiatry powstają wtedy

oddzielne kolonie. Samce zajmują strategiczne pozycje, wybierając sobie przyszłe towarzyszki. Te zaś, ze swego rodzaju kokieterią, chcąc pokazać, że będą dobrymi matkami, zabierają się za budowanie gniazd. Lepią je z własnych odchodów i piór, bo na wyspach nie ma innego budulca. Gdy już pary się dobiorą, każda samiczka składa dwa do trzech jaj, podobnych do jaj kurzych. Podczas gdy ona wysiaduje, partner dostarcza jej pożywienia. Ptaki dające guano szukają jedzenia w zimnym Prądzie Humboldta, ze względu na obfitość sardeli, którymi głównie się żywią. Łowią ich więcej niż wszystkie rybackie statki pływające u peruwiańskich wybrzeży Pacyfiku, tysiące ton.

Zawsze jest pewna liczba młodych samców, którym nie udało się założyć rodziny. Tworzą osobne grupy. Inne ptaki wyrzucają je z terenu, na którym powstają gniazda. Wielu takich „kawalerów" pomaga „żonkosiom" w dostarczaniu pożywienia, zwłaszcza w okresie, kiedy lęgną się pisklęta, nienasycone w swej żarłoczności. Młode uczą się pływać już w pierwszych

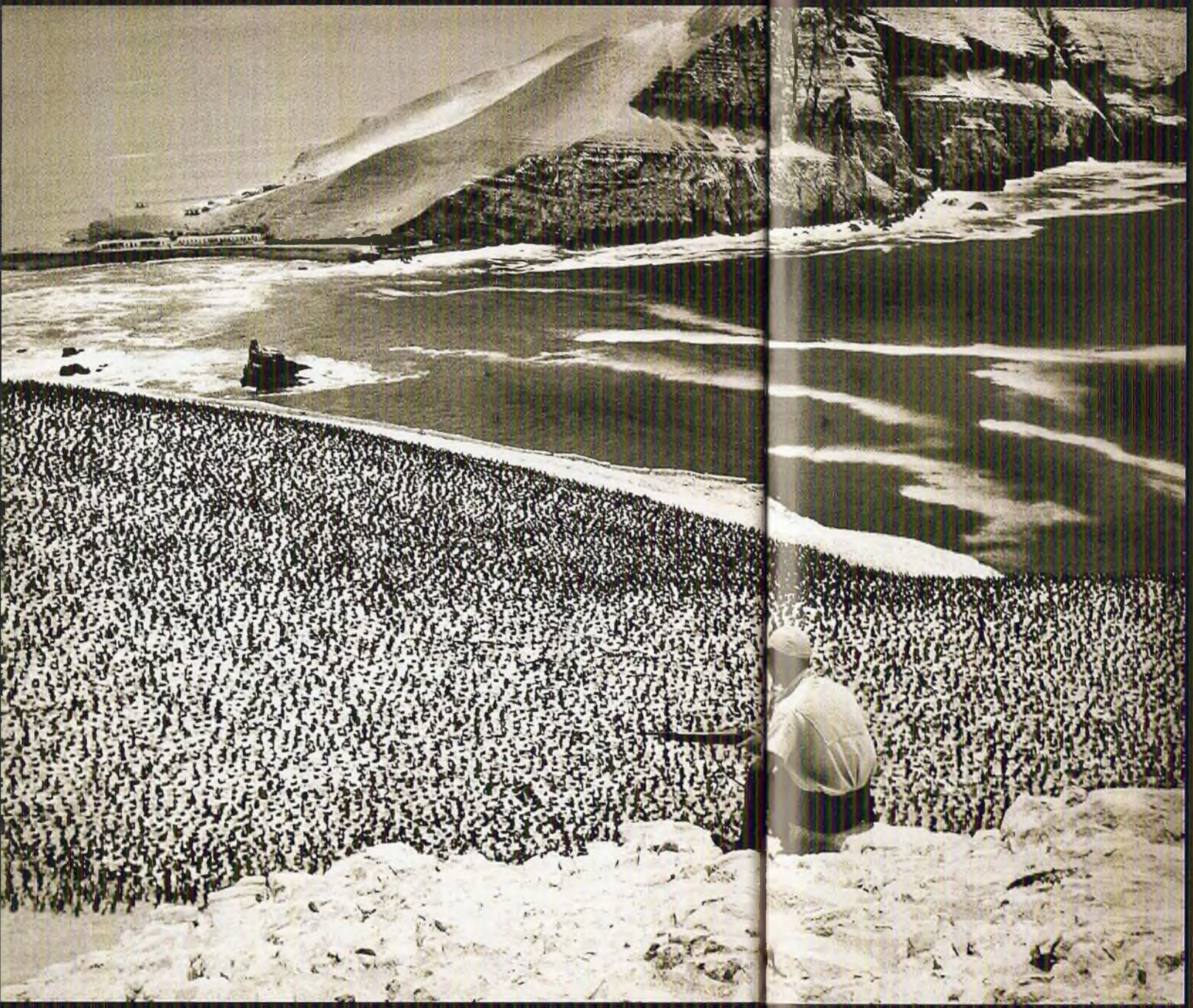

GUANO

Prawie wszystkie wyspy u wybrzeży Peru zamieszkane są przez miliony ptaków, które rocznie produkują 350 tysięcy ton guana. Tego naturalnego nawozu używali już Inkowie na wiele lat przed przybyciem Hiszpanów.

dniach życia, a gdy mają pięć miesięcy, samodzielnie wyruszają na połów. Z końcem jesieni ptaki opuszczają niemal wszystkie wyspy. Lecą łowić ryby w rzekach i jeziorach kontynentu. Odbywają wędrówkę wzdłuż wybrzeży, ale z wiosną znowu wracają na swe białe wysepki.

Powodem, dla którego ptaki dające guano wybrały sobie przed milionami lat to właśnie wybrzeże Pacyfiku, jest bliskość Prądu Humboldta, który przepływa koło wysp. Jego niska temperatura sprzyja rozwojowi fitoplanktonu i zooplanktonu, którym żywi się sardela, ta z kolei stanowi pokarm dużych ryb i kormoranów guanay. By istniał plankton, w wodzie musi powstać morski roztwór, na który składają się resztki martwych ryb, substancje naniesione do morza przez rzeki oraz działanie promieni słonecznych. Poza tym, potrzebna jest jeszcze pewna ilość odchodów morskiego ptactwa. W ten sposób cykl się zamyka. Ptaki jedzą sardele, te zaś żywią się planktonem, który z kolei żyje mieszaniną, mogącą powstać tylko przy udziale ptaków.

W roku 1957 ptaki dające guano spotkała wielka tragedia. Z nieznanych powodów Prąd Humboldta zmienił kierunek, a z nim odpłynęły też ławice sardeli. Prąd przepływał za daleko, aby ptaki mogły do niego dolecieć ze swych wysp. Miliony z nich padały z głodu. Bardzo liczne stada wyemigrowały na południe, ale nie zdołały natrafić na wystarczającą ilość pokarmu. Martwe ptaki znajdowano na całym wybrzeżu Peru i Chile. Szkody wywołane przez tę wędrówkę były tak duże, że poważnie naruszyły gospodarkę Peru. Na szczęście Prąd Humboldta wrócił na dawne miejsce, a z nim powróciły i ptaki.

Z nadejściem zimy Compañia Administradora del Guano kieruje całą ptasią produkcję do przemysłu. Zatrudnia wtedy około 4000 robotników, którzy odskrobują i zbierają guano na wyspach. Następnie jest ono przewożone do specjalnych młynów porozrzucanych na całym peruwiańskim wybrzeżu. Tam, usuwa się z guana nieczystości, oddzielając jego najróżniejsze cenne składniki. Otrzymuje się też substancje, które służą później jako surowiec w przemyśle farmaceutycznym i perfumeryjnym.

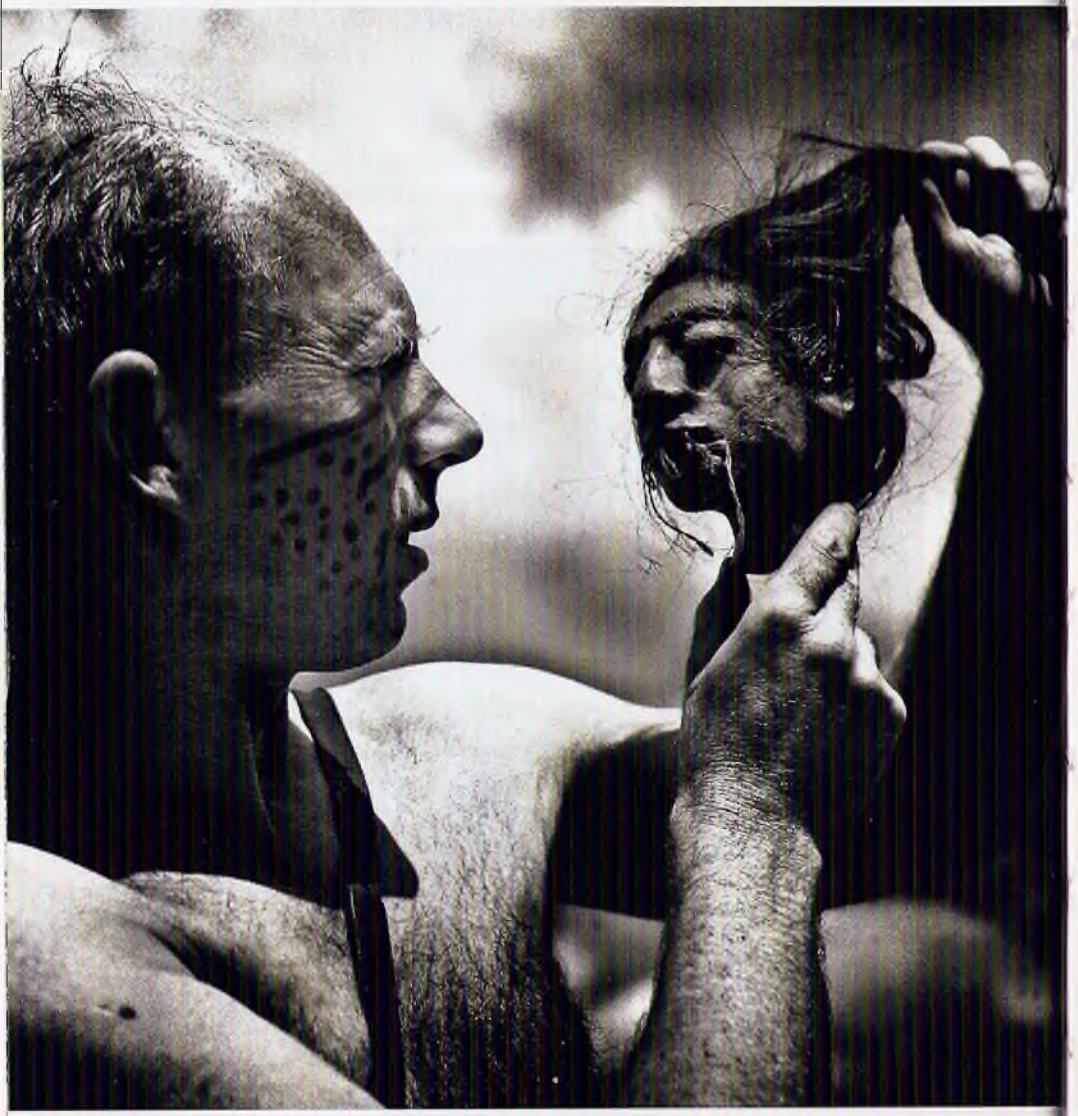

TAJEMNICA WULKANU SANGAY

– No i to wszystko – powiedział Alfredo, zapalając ostatniego papierosa, jaki nam został. – To wszystko – powtórzył, jakby chcąc samego siebie utwierdzić w przekonaniu, że nie ma już nic do dodania.

Wtedy wziąłem ją do ręki. Była wielkości pomarańczy. Pobrużdżona niezliczonymi zmarszczkami. Malował się na niej wyraz bólu. Usta miała zaszyte czterema nitkami taraguata, jak gdyby zmuszano ją przez to do wiecznego milczenia. Tylko długie włosy połyskiwały w świetle ogniska. Była to zmniejszona przez Jibarów głowa białego mężczyzny, która nigdy nie zdoła odpowiedzieć na pytanie, jakie w ciągu lat stawiał sobie na jej temat Alfredo.

Wszystko to zaczęło się jak w przygodowym filmie. Razem z Pierrette i dwoma tragarzami przemierzaliśmy pieszo górskie tereny na wschód od Loja w Ekwadorze, aby dotrzeć do miasta Santiago. Miałem zamiar filmować tam życie mieszkańców, którzy zaczynali kolonizować ten rejon. Aby skrócić sobie drogę, ruszyliśmy dość niebezpieczną ścieżką tuż nad przepaścią. Niewielu podróżników zapuszcza się na ten szlak, który można przebyć jedynie pieszo. Ale urody tego krajobrazu nie da się z niczym porównać. Zbliżała się noc, więc rozbiliśmy obóz wśród gór. Gdy przewodnicy budowali szałas do spania, ja wziąłem strzelbę i poszedłem w nadziei, że uda mi się zdobyć trochę świeżego mięsa. Po godzinie samotnej wędrówki, podczas której nie spotkałem najmniejszego zwierzaka, przyśpieszyłem kroku. Przechodząc w pobliżu jakiejś skały usłyszałem coś jakby krzyki. Początkowo nie zwróciłem na nie uwagi, ale po chwili poczułem wyrzuty sumienia. Może naprawdę ktoś potrzebował pomocy? Trochę zły, starając się przekonać samego siebie, że w tej niezamieszkanej okolicy na pewno nikogo nie spotkam, zawróciłem w tamtą stronę.

SPOTKANIE W GÓRACH

– Jest tam kto? – krzyknąłem, spodziewając się tylko echa. Zdumiony usłyszałem czyjś słaby głos. Spośród skał dobiegało wołanie o pomoc. Kilka sekund później ujrzałem brodatego mężczyznę w łachmanach, które kiedyś musiały być porządnym ubraniem. Leżał pod wielką skałą i usiłował wstać, klnąc przy tym we wszystkich językach Starego i Nowego Świata. Wieloletnie podróże nauczyły mnie ostrożności. Na wszelki wypadek wolałem nie podchodzić zbyt blisko. Mógł to być przecież jeden z podstępów, jakich używają bandyci napadający na podróżnych.

– Co jest? – spytałem, niespokojny, czy ktoś przypadkiem nie celuje do mnie z karabinu.

Mężczyzna przerwał popis swego międzynarodowego słownictwa i jęknął.

– Proszę mi pomóc, dwa dni temu skręciłem nogę i boli jak diabli.

Wyjaśnił, że szedł pieszo przez góry i wpadł w skalną szczelinę. Niewiele mogłem dla niego zrobić. Właśnie zapadała noc, a w ciemnościach ryzykowny był każdy krok. Można było nie tylko skręcić nogę, ale i stracić życie. Pomyślałem, że Pierrette będzie się niepokoić moją nieobecnością. Gęsta mgła zaczynała już opadać. Za kilka minut nie będzie nic widać na odległość jednego kroku. Zawsze noszę w chlebaku trochę soli i czekoladę jako „żelazną rezerwę", a także zastrzyk morfiny i bandaże. Zdecydowałem się w jednej chwili. Zostaję. Zebrałem tyle drewna na opał, ile tylko mogłem. Jednocześnie, idąc za wskazówkami rannego, przyniosłem mu starą torbę, którą zgubił, padając. Rozpaliłem ogień akurat w momencie, gdy dosięgała nas mgła. Dopiero wtedy, w świetle ognia, mogłem przyjrzeć się nodze nieznajomego. Owinął ją strzępami własnej koszuli. Wyglądała źle, była fioletowa i bardzo spuchnięta. Zmoczyłem kompres

wodą z manierki i przyłożyłem, ale widząc, że straszliwie cierpi, wstrzyknąłem mu pół ampułki morfiny. Potem okryłem go moją kurtką i ułożyłem możliwie najwygodniej. Dałem mu też wody i czekolady. W selwie obowiązuje niepisana zasada – nigdy nie pyta się podróżnego, kim jest, póki sam nie powie. Dlatego, mimo zżerającej mnie ciekowości, nie zadałem mu ani jednego pytania. Mężczyzna zjadł i wypił chciwie to, co mu dałem, po czym zapalił papierosa i opowiedział mi swoją historię. Wśród gór Ekwadoru okrytych gęstą mgłą, w świetle ogniska i w języku, którego nigdy nie spodziewałbym się tutaj usłyszeć – po polsku. Bo nieznajomy okazał się Polakiem.

W młodości nazywał się Zygmunt K. i mieszkał wraz z rodzicami na Huculszczyźnie, w drewnianym domu krytym gontami, pośród sosnowych lasów. Imię Alfredo przyjął dużo później, już po wojnie. Po wielu perypetiach dostał się do armii generała Andersa. Brał udział w bitwie pod Monte Cassino, gdzie został ranny. Stamtąd wyjechał do Anglii, a potem wyemigrował do Ameryki Południowej. Chwytał się różnych zawodów. Był tragarzem portowym i asystentem geologa. Ta ostatnia praca umożliwiła mu wyjazd z północnoamerykańskim towarzystwem naftowym do najniżej położonej części dorzecza rzeki Napo, we wschodnim Ekwadorze. Prawie dwa lata spędził w selwie, zbierając próbki minerałów. To właśnie wtedy po raz pierwszy zetknął się z Indianami Jibaro. Wielu spośród nich zostało ucywilizowanych przez misje salezjańskie. Teraz pracują przeważnie jako przewodnicy. Od jednego z nich dowiedział się, że przed laty w tych stronach zjawił się mężczyzna, z pochodzenia Niemiec albo Szwed. Poszukiwał legendarnego skarbu Złotego Żółwia. A potem nagle zniknął wraz z towarzyszącymi mu sześcioma tubylcami w okolicy wulkanu Sangay. Słuch po nim zaginął. A że podobne rzeczy dzieją się w selwie dość często, cała sprawa prędko poszła w zapomnienie. Alfredo chyba też by o niej zapomniał, gdyby nie pewne wydarzenie.

Raz kiedyś podczas poszukiwania minerałów spotkał tubylca, który zaoferował mu niecodzienny towar – zmniejszoną ludzką głowę. Zgodził się z ciekawości. Chciał zobaczyć tsantsa (tak nazywają je Jibaro). Został zaprowadzony do odległego miejsca

i tam przedstawiony Indianinowi, który był posiadaczem główki. W zamian za swoje trofeum zażądał strzelby, a przewodnik – dwustu sucres (moneta ekwadorska). Alfredo już miał się wycofać, bo sprzedawca uparł się, że nie pokaże mu towaru, zanim nie zobaczy strzelby. Potem sprzedawca i pośrednik pogrążyli się w długich negocjacjach. Z niewielu słów, jakie zdołał zrozumieć, Alfredo wywnioskował, że chodzi o coś specjalnego. W końcu Indianin dał za wygraną. Wyciągnął ze swojej pitaca (torebka, w której Indianie Jibaro chowają różne przedmioty) paczuszkę owiniętą w gałgany, po czym pokazał mu tsantsa. Zdumiony Alfredo stwierdził, że należała ona do białego człowieka. Ale jeszcze bardziej niż sama głowa zainteresowała go historia makabrycznego gadżetu. Tym bardziej że, jak podejrzewał, miała jakiś związek z zaginionym poszukiwaczem skarbu Złotego Żółwia. Obdarował więc Indianina prezentami i butelkami alkoholu, ale niewiele udało mu się z niego wyciągnąć. Dowiedział się tylko, że czaszka została zdobyta podczas walki między rodzinną wioską Indianina a plemieniem Ashuara, na wschód od rzeki Yacu, będącej dopływem Postaza albo Tigre. Nie było możliwości sprawdzenia, gdzie leżała ta wioska. Alfredo wiedział, że Ashuara wielokrotnie urządzali wojenne wypady nad rzekę Upan i w kierunku wulkanu Sangay (znanego jako miejsce święte, gdzie, jak przypuszczano, ukryta była świątynia dawnych Ashuara, od których pochodzą obecni Jibarowie). Rozpoczął poszukiwania razem z tubylcami. Korzystając z suchej pory roku, penetrował okolice wulkanu. Bez rezultatu. Jego oszczędności stopniały. Jakiś czas pracował, żeby zebrać trochę pieniędzy. Trzy miesiące później, kiedy wszystko wskazywało, że jest już blisko celu, jego towarzysze w tajemniczy sposób zniknęli. Został sam, bez środków do życia, a jednak nie przeląkł się. Kontynuował poszukiwania z niegasnącym zapałem. Aż padł podstępny strzał, oddany przez napastnika kryjącego się w leśnym gąszczu. Ranny w ramię Alfredo zdołał jakoś dotrzeć do misji salezjanów w Macas. Tam go wyleczono, dostał też ubranie, którego strzępy nosił do chwili, gdy go poznałem. Odzyskawszy siły, opuścił misję, nie zdradzając swych planów. Wyruszył w podróż, aby odnaleźć jednego ze swych dawnych przyjaciół, handlarza mułami w Zamora i prosić go o pomoc. Przeszedł trzysta kilometrów pieszo, ale jego

trud okazał się daremny. Przyjaciel niedawno zmarł. Musiał więc sprzedać pistolet, jedyną broń, jaka mu została. Dostał za nią trochę pieniędzy i właśnie zmierzał w stronę Loja, kiedy skręcił sobie kostkę w nodze. Gdyby miał jeszcze tę broń, na pewno palnąłby sobie w łeb, tak mi powiedział.

Zmęczenie zmogło Alfreda i zapadł w stan przypominający delirium. – Tibi, Tibi, Tibi!... – powtarzał, po czym bełkotał coś niezrozumiale. Widocznie Tibi było imieniem kogoś, kto niegdyś chciał go zabić.

Wstrzyknąłem mu resztę morfiny i wtedy trochę się ożywił. Korzystając z tego, zapytałem, kto to jest Tibi. Drgnął i nie chciał mówić więcej. Zamknął oczy, zdawał się usypiać. Ja nawet nie myślałem o śnie. Dokładałem tylko drewna na ogień. Nagle Alfredo znów otworzył oczy i przyglądał mi się przez dłuższą chwilę.

– Nie wydaje mi się, abyś mógł mi uratować życie. Nawet gdyby udało ci się wydostać mnie stąd. Ja umrę. Czuję to. Tak, jak czuję zapach huculskich sosen. Ty pewnie ich nie pamiętasz. Chciałbym znowu odpocząć w ich cieniu... Pomóż mi, pokażę ci coś – dodał po chwili, usiłując wydostać ze swej torby jakiś przedmiot owinięty w gałgany. – Widzisz – ciągnął – chciałem się dorobić, być bogaty. Znasz to nasze pieskie życie, bez domu, bez rodziny, bez ojczyzny... Chciałem mieć dużo pieniędzy, siedzieć sobie na balkonie z widokiem na Copacabanę w Rio de Janeiro i popijać orzeźwiające napoje, które by mi podawała piękna dziewczyna. Chciałem pojechać do Paryża, odwiedzać luksusowe lokale, pić szampana... Ale co to ciebie obchodzi. Znasz mnie dopiero od kilku godzin. Nie mam ci za złe, że mi nie wierzysz, ale spójrz...

Spośród gałganów wyjął tsantsa i popatrzył na nią tak, jakby ją widział pierwszy raz. – Tibi to pewien Indianin Jibaro, który mieszka w pobliżu wioski indiańskiej Taisha, na północ od rzeki Pastaza. Może tobie uda się coś od niego wydobyć. To wszystko.

Wyjął ostatniego papierosa, jaki nam pozostał, i zapalił go. Wziąłem tsantsa do ręki. Alfredo nosił ją ciągle ze sobą, schowaną w torbie, co nie wyszło jej na dobre. Poza tym, zmienny klimat i ciągła wilgoć też zrobiły swoje. Zdeformowana, spłaszczona i pomarszczona twarz była jakby wykrzywiona uśmiechem. Był to uśmiech pełen ironii, kryjący wiedzę o czymś, o czym lepiej nie

mówić. Głowa bez wątpienia należała do białego człowieka. Widać to było po jasnych włosach i resztkach brody. Czas i substancje używane przez Jibarów do zmniejszania głów przyciemniły jej skórę. Była jednak o wiele bledsza od główek tubylców, które już kiedyś widziałem.

– Coś ci powiem, Alfredo – odezwałem się – nie bój się, nie chcę ci wydrzeć twojej tajemnicy. Jeżeli pytałem o Tibiego, to tylko po to, żeby ci pomóc. Nawet gdybyś mi zaproponował współudział w tej przygodzie, nie zgodziłbym się tak łatwo. Znam życie Indian. Spędziłem wśród nich wiele lat i wiem, jak potrafią strzec swych świętych sekretów. Nie zdradzą ich nawet za cenę życia. Z drugiej strony, cała ta historia o legendarnym skarbie Złotego Żółwia nie wydaje mi się przekonująca. Jeszcze raz ci powtarzam, nie przejmuj się. To, co mi opowiedziałeś, zostanie między nami. Jutro zaś, kiedy się pożegnamy w Loja, dokąd cię zawiozę do szpitala, wszystko zostanie zapomniane. A teraz postaraj się zasnąć, już czwarta, przegadaliśmy przeszło dziesięć godzin.

Alfredo rzucił niedopałek i znowu utkwił we mnie spojrzenie swych niebieskich oczu. – Czy mi wierzysz, czy nie, to już twoja sprawa, ale ja ci powiedziałem prawdę. I coś ci poradzę, nie zajmuj się tym więcej. Cała ta sprawa zbyt wielu ludziom zabrała już życie. Zapomnij o niej – powiedział, biorąc do ręki tsantsa. – On umarł, umarł także pośrednik. Znaleziono go ze strzałą zatrutą kurarą. Prawdopodobnie umarł też Indianin, który mi sprzedał główkę i moi dwaj towarzysze wyprawy. A teraz ja umrę i pewno już nie zdążę zobaczyć Rio de Janeiro...

Znowu zaczął majaczyć, wracała gorączka. Nagle zdołał się trochę unieść, chwycił tsantsa i z wściekłością rzucił ją w ogień, mrucząc przy tym – Już nikomu nie zaszkodzisz, przeklęta!...

Poparzyłem sobie palce, wyciągając ją zaraz z płomieni, ale ogień znacznie ją uszkodził. Teraz, z osmalonymi włosami, wyglądała potwornie. Wciąż miała ten ironiczny uśmiech. W tym momencie podjąłem decyzję – zrobię wszystko, żeby poznać tajemnicę wulkanu Sangay. Nawet, gdyby miało mnie to kosztować życie. Skarb Złotego Żółwia nie ciągnął mnie, ale oczyma duszy widziałem już coś, co miało o wiele większą wartość – perspektywę wielkiej przygody.

ŁOWCY GŁÓW

Alfredo umarł. Nie chciał się zgodzić na amputację nogi. Chciałem wziąć na siebie odpowiedzialność za tę operację. Wiedziałem, że tylko ona może uratować mu życie, ale mój podpis nie miał znaczenia dla administracji szpitala, ponieważ nie byłem spokrewniony z chorym. Od czasu, gdy go spotkałem w górach i gdy przy świetle ogniska opowiedział mi swoją historię, połączyła nas szczera przyjaźń. Nie odstępowałem go dniem i nocą. Na próżno nalegałem, żeby walczył o swoje życie. Uśmiechał się i przecząco kręcił głową. Kiedy czuł się nieco lepiej, prosił, abym mu opowiadał o Rio de Janeiro, gdzie tak pragnął zamieszkać, albo o jego ukochanych polskich lasach. Nie mówiliśmy więcej o tajemnicy wulkanu Sangay ani o skarbie Złotego Żółwia. Poprosił tylko, żebym mu zwrócił resztki tsantsa nieszczęsnego białego podróżnika. Była to bowiem jedyna nić łącząca legendę z rzeczywistością. Nalegał, abym zaniechał pomysłu poszukiwania skarbu. Odpowiedziałem, że razem go poszukamy, ale on pokręcił głową, mówiąc:

– Bez nogi nie chcę żyć, a wątpię, czy mnie uratują samymi antybiotykami. Gangrena jest już zbyt zaawansowana. Na kilka godzin przed śmiercią powrócił do tej sprawy:

– Dlaczego tak się o mnie troszczysz? Opłaciłeś szpital, lekarstwa i lekarzy, przerwałeś podróż i cały czas jesteś ze mną. Nie myśl, że będę ci mógł coś jeszcze powiedzieć o skarbie Złotego Żółwia. Tamtej nocy usłyszałeś naprawdę wszystko, co wiem. Nie spodziewaj się, że ci podaruję szczątki tej przeklętej głowy. Kazałem ją spalić.

– Co zrobiłeś? – krzyknąłem.

– Tak, kazałem ją spalić... No więc wiesz już wszystko. Zostały mi najwyżej trzy, może cztery dni życia. Ruszaj więc w swoją drogę.

– Posłuchaj – odparłem. – Troszczyłem się o ciebie tylko z przyjaźni. Skarb mnie nie obchodzi, ale tajemnica wulkanu Sangay owszem. Będę się starał ją rozszyfrować, jak już wrócisz do zdrowia.

Kłamałem z litości, mówiąc o jego powrocie do zdrowia. Lekarz powiedział mi, że to już koniec. Wszyscy wiedzieliśmy, że Alfredo umrze. Odszedł z tego świata następnej nocy, słuchając mojej opowieści o Rio de Janeiro. Jego ostatnie słowa brzmiały:

– W końcu może będziesz miał trochę szczęścia. Spotkaj się z Tibim. Niedaleko niego mieszka pewien stary czarownik, nazywa się Hergamauca. Zdaje się, że to jego wróg. Może ta wiadomość na coś ci się przyda. Obaj chcą zostać kapłanami ukrytej świątyni. Tibi jest silniejszy. Indianie Jibaro słuchają go bardziej niż Hergamauki, ale tamten też ma swoich stronników. Nigdy nie widziałem Hergamauki, bo on nienawidzi białych, ale może ty się z nim dogadasz. A teraz mów dalej o Rio.

Umarł przed świtem. Pogrzebano go na cmentarzu, pod sosnami, które tak kochał. Przypominały mu Ojczyznę. Nieco później spytałem pielęgniarkę o paczkę, którą kazał spalić Alfredo. Zbladła. Zaproponowałem jej sporą sumę za zwrot. Ze strachem zwierzyła mi się, że z czystej ciekawości rozwinęła ją przed spaleniem. Widząc, co zawiera, bez wahania wrzuciła ją do ognia.

Trzy tygodnie później znaleźliśmy się z żoną na ścieżce schodzącej z Macas. Zamierzaliśmy zagubić się w tajemniczym rejonie wschodniego Ekwadoru. W kraju Jibarów, którzy potrafią zmniejszać ludzkie głowy. W kraju dzielnych plemion Ashuara i Auca, gdzie jeszcze niedawno straciło życie pięciu północnoamerykańskich misjonarzy. Indiańscy wojownicy zakłuli ich dzidami.

Krople rosy błyszczały na liściach. Mgła opadała na góry porośnięte dziewiczym lasem. Pięciu moich przewodników, na pół cywilizowanych Jibarów, dźwigało bagaże. Śpiewali starą plemienną pieśń, która miała nam przynieść szczęście w tej wyprawie – „myśliwskiej", jak im powiedziałem. Prawdę znaliśmy tylko my dwoje i byliśmy zdecydowani rozwiązać zagadkę wulkanu Sangay. Jakby odgadując nasze myśli, wulkan odsłonił swoje oblicze, niemal zawsze ukryte w chmurach. Prezentował się nam w całej okazałości. Wieczny śnieg okrywał jego zbocza, a z krateru wydobywała się

kolumna dymu. Imponujący i majestatyczny. Jeden z najbardziej aktywnych wulkanów na świecie. Wiele razy siał zniszczenie w tej części Ekwadoru. Wstrząsy powtarzają się bardzo często. Nocami można dojrzeć płonącą na jego zboczach lawę. Widząc go w pełnej chwale, rozumieliśmy, dlaczego prymitywne szczepy upatrują w nim boga i wiążą swoją religię z jego aktywnością.

Legenda Jibarów wyjaśnia pochodzenie ras ludzkich. Bóg Yus stworzył ziemię i lasy pełne zwierząt, ptaków i owadów. Wylał zawartość złotego dzbana – tak powstały rzeki i jeziora. Dmuchnął i zrobił niebo, na którym błyszczały gwiazdy i „rzeka Navanza biegnąca od krańca do krańca firmamentu". Kiedy ta rzeka wylewa, na ziemi pada deszcz. Bóg był bardzo zadowolony ze swego dzieła i chciał je komuś podarować, ale żadna z żywych istot stworzonych dotychczas nie wydawała mu się godna tak wspaniałego prezentu.

Pewnego dnia wszedł na wulkan Sangay i zapalił ogromny ogień. Z glinki przyniesionej z doliny Upano zrobił laleczkę w kształcie człowieka. Włożył ją do ognia i podczas gdy się wypalała, poszedł przejść się po selwie. Tak bardzo zachwyciła go uroda ptaków i motyli, że zupełnie zapomniał o laleczce. Kiedy sobie przypomniał następnego dnia i wyciągnął ją z ognia, była za bardzo spieczona, czarna i brzydka. Ponieważ nie chciał wyrzucać tworu swych rąk, więc tchnął w nią życie i tak powstała czarna rasa. Tego samego dnia zrobił drugą figurkę i włożył ją do ognia tak, jak pierwszą, ale wyjął ją za wcześnie, więc była blada, krucha i słaba, Mimo to, w nią także tchnął życie. W ten sposób powstała rasa białych, pogardzana przez tubylców. Trzeciego dnia bóg zrobił trzecią lalkę, ale tym razem zadbał o nią jak należy, wykorzystując swe doświadczenia z poprzednimi. Wypalał ją w ogniu akurat tyle, ile było trzeba. Z radością tchnął życie w swój nowy twór i tak oto powstała rasa Jibarów, której bóg podarował selwę ze wszystkimi jej skarbami.

Jibaro albo Ashuara, jak sami siebie nazywają, zamieszkują rozległe tereny między rzekami Napo i Pastaza, ciągnące się na południowy wschód aż do rzeki Marañón. Tam są już przemieszani ze szczepami brazylijskimi dorzecza górnej Amazonki. Należą do dość marginesowej grupy etnicznej. Antropolodzy nie są jeszcze zgodni co do ich pochodzenia. Jedni twierdzą, że wywodzą

się od Indian amazońskich, drudzy, że należą do grupy karaibskiej. Nie brak i takich, co kojarzą Tibarów z plemieniem Keczua, starszym od imperium Inków. Sami zaś Jibaro nie przejmują się zbytnio sprawą swego pochodzenia. Jedna z ich legend powiada, że przybyli tutaj podziemnym przejściem poprzez góry, prowadzeni przez jaguara. W przeważającej mierze poglądy na temat pochodzenia, jak i cała ich religia i życie, obracają się wokół wulkanu Sangay. W nim czczą swego najpotężniejszego boga. Kiedy zaczyna „dymić", oznacza to, że żąda świętej ofiary. Jakaś ludzka istota musi umrzeć i jej głowa musi zostać zmniejszona. W takich właśnie momentach poszczególne szczepy wypowiadają sobie świętą wojnę, mszcząc się przy okazji za dawne sprawy. Walczą, póki jeden lub więcej wrogów nie padnie na polu bitwy. Potem odbywa się ceremonia tsantsa, podczas której starzy czarownicy pomagają zwycięskiemu wojownikowi zmniejszyć głowę ofiary za pomocą tajemnych praktyk.

Indianie Jibaro zależą praktycznie od szczęk swych żon. Ich podstawowym pokarmem jest czicza albo masata, którą przygotowują kobiety, żując korzenie manioku i wypluwając przeżutą papkę do garnków. Po jednodniowej fermentacji czicza jest gotowa i służy jednocześnie jako napój i pożywienie. Jak twierdzą znawcy, czicza przeżuta przez kobiety stare i bezzębne ma lepszy smak niż ta, którą przygotowują młode. Dlatego „dobry" mąż stara się możliwie najprędzej usunąć zęby żonie. Cena kobiety bezzębnej jest dużo wyższa niż tej posiadającej piękne uzębienie. Natomiast mężczyźni, wojownicy, chronią swe zęby, żując liście pewnej leśnej rośliny. Zęby robią się od tego zupełnie czarne, ale powstaje na nich cienka pokrywa zabezpieczająca przed próchnicą. Nigdy nie widziałem, aby któregoś z Jibarów bolały zęby.

Cywilizacja nie przeniknęła jeszcze w głąb ekwadorskiej selwy, ale niektóre grupy Jibarów, żyjące w górach, wychodzą jej na spotkanie. Grupy Indian nawiedzają od czasu do czasu białą ludność z ciekawości i z chęci dokonania zakupów. Kupują broń palną, maczety, kolorowe materiały albo szklane paciorki do ozdoby. Jedyną rzeczą, jaką ofiarowują w zamian, jest ich okropny towar – tsantsa, zmniejszone ludzkie głowy. Prawo ekwadorskie zabrania handlu tsantsa, ale w praktyce jest to niemożliwe do skontrolowania. Toteż dzięki

JIBARO

Indianie Jibaro żyją w grupach liczących po kilka rodzin. Na czele takiej grupy stoi wódz – niemal zawsze jest to czarownik – któremu są ślepo posłuszni. Nigdy nie organizowali się jako naród. Każda grupa żyje własnym życiem, walcząc z sąsiadami albo zawierając z nimi mniej lub bardziej trwałą przyjaźń. Selwa, jak nieprzenikniony mur, strzeże ich od wpływów cywilizacji. Pozwala zachować dawne obyczaje i stare obrzędy. Rolnicy i myśliwi uprawiają wypalone przez siebie leśne polany, na których sadzą bananowce i maniok. Ponadto polują używając umi, to jest drewnianej rury długiej na trzy–cztery metry, z której wypuszczają małe strzały nasycone kurarą (trucizną powodującą śmierć przy najlżejszym draśnięciu). Jibaro żyją w poligamii i mają przeważnie trzy do pięciu żon. Zdobycie żony łączy się zawsze z kłopotami, bo dziewczynę po prostu wykrada się ojcu albo mężowi, jeśli nie jest tak silny jak napastnik i czujny. Naturalnie wywołuje to reklamacje i zdobywca musi wyrównać stratę, płacąc ustaloną cenę albo zwracając „przedmiot sporu". Ale zdarza się i tak, że nie można załatwić sprawy polubownie. Wtedy o przynależności kobiety decyduje dzida albo strzała z kurarą.

handlowi ludzkimi głowami w eksponaty zaopatrują się muzea świata i prywatni kolekcjonerzy. Ceny zostały dawno ustalone – jedna tsantsa za strzelbę, kobietę lub dobrego psa.

Ojcowie Salezjanie, którzy założyli swoje misje na granicach terenów zamieszkanych przez Jibarów, na próżno starają się zmienić ich obyczaje. Wielu młodych Indian chodzi do szkół misyjnych. Szybko przyzwyczaja się do noszenia spodni i przyswaja sobie dość dużo słów hiszpańskich. Jednak na ogół wraz z osiągnięciem dojrzałości uciekają oni do swych wiosek, aby tam obchodzić pogańskie obrzędy i tańczyć taniec tsantsa. Czasem wracają do osiedli białych, najmując się sezonowo na peonów* albo poganiaczy mułów. W ten sposób udaje im się poznać dużą część kraju. Jednak wcześniej czy później wracają znowu do rodzinnej selwy.

Starzy Indianie Jibaro też często zaglądają do misji. Z całkiem odmiennych powodów – nie chcą umierać wśród swoich. Zgodnie z ich zwyczajem zwłoki Indianina zostawia się w jego chacie, a cała rodzina odchodzi, szukając sobie innego miejsca zamieszkania. Zwłoki kobiet i dzieci wkładane są do pomieszczenia przypominającego klatkę, którą wiesza się na drzewie z gatunku zwanego pio. Jibaro boją się tego przykrego końca swych śmiertelnych szczątków i wolą misyjne cmentarze ozdobione kwiatami i krzyżami.

Kiedyś w pewnej misji byłem świadkiem ciekawej sceny. Stary Jibaro przyszedł do księdza razem ze swymi czterema żonami i poprosił o chrzest. Kapłan, młody człowiek, z wielką radością zabrał się do przygotowań poprzedzających ceremonię. Widząc, że za Indianinem stoi gromadka kobiet, spytał, czy one też chcą być ochrzczone.

– Nie, tylko nasz mąż, bo on czuje, że niedługo umrze – odpowiedziały.

– Która jest twoją żoną? – spytał kapłan Indianina.

– Wszystkie...

– Ale chyba wiesz, że nasza religia pozwala mieć tylko jedną żonę? Więc jeżeli chcesz być ochrzczony, musisz wybrać sobie spośród nich jedyną i prawdziwą żonę. A potem ochrzczę ją także i połączę was małżeństwem do końca waszego życia.

* Robotników rolnych.

Indianin wysłuchał tego dość stropiony i w końcu rzekł:

– Posłuchaj, ojcze, wiele lat żyłem z tymi czterema i wszystkie są dobrymi żonami. Żuły dla mnie cziczę i dały mi dzieci. Jak mogę wybrać spośród nich jedną, lepszą niż inne... I to teraz, kiedy wkrótce umrę. Chcę być pogrzebany wśród kwiatów, aby nie zjadły mnie sępy. No, ale jeśli ci na tym bardzo zależy, to weź je sobie wszystkie, będą ci robiły dobrą cziczę!

Po ośmiu dniach wędrówki dotarliśmy wreszcie do chaty Tibiego. Sposobem znanym tylko Jibarom dowiedział się, że do niego przyjdziemy. Poczęstował mnie cziczą w dowód przyjaźni i pokoju. Żadna z jego żon nie miała zębów, toteż czicza była doskonała. Pijąc zawartość glinianego naczynia zwanego maquira, miałem się przeobrazić ni mniej ni więcej, tylko... w łowcę głów ludzkich!

WULKAN ŻĄDA OFIARY

– China jua la Tibi, china! Jua... (Tibi wita cię). Leitam, vitein vinenarcan? (Kim jesteś i czego chcesz?).

– Viti ten... Jestem tym, który nazywa się Ony (imię, jakie nadali mi Indianie brazylijscy) i przychodzę cię pozdrowić. Przeszedłem wiele gór i rzek...

– Ah, ali, ali... nique visuerchan... A więc to prawda, że nazywasz się Ony i że przybywasz z tak daleka. Ah, ah, ah... i to prawda, że przechodząc przez rzekę, zabiłeś tapira. Ah, ah, ah... i że przychodzisz tu razem z twoją żoną niosąc mi pokój. Ah, ah, ah...

Dobre wychowanie nakazuje Jibarom powtarzać to samo co najmniej trzy razy. Dobrze, że mają tak dużo czasu, bo już zwykła prezentacja trwa niekiedy ponad dwie godziny. Znając ów zwyczaj, ścierpiałem – wprawdzie z powściąganą irytacją – wymogi savoir vivre'u. W końcu, kiedy wódz i słynny czarownik Tibi był już zupełnie pewny, że istotnie przybyłem z daleka, przemierzywszy góry, w towarzystwie najmłodszej z moich żon (przypuszczał, że muszę mieć ich więcej), że nazywam się Ony i zabiłem tapira – dopiero wtedy poprosił mnie, żebym usiadł. I zawołał swoje cztery żony, żeby nam przyniosły cziczę.

Napój ten podaje się w glinianych garnkach pomalowanych na czerwono. Każda kobieta przynosi jedno takie naczynie i nie wolno wymówić się od przyjęcia poczęstunku. Byłoby to poczytane za wielką obrazę. Nietrudno sobie wyobrazić, że po wypiciu pewnej ilości tego mętnego płynu o cierpkim smaku jest się jak najbardziej usposobionym do miłej rozmowy. Podczas ceremonii picia cziczy oczy wszystkich były utkwione w nas dwojgu. Wystarczyłoby jedno skrzywienie czy odruch wstrętu, aby nasza przyjaźń zmieniła się w coś całkiem przeciwnego i cała wyprawa mogłaby przybrać tragiczny obrót. Ale ja lubię cziczę, zwłaszcza jeśli została przeżuta przez bezzębne kobiety. Jest orzeźwiająca i bardzo odżywcza.

W tej chwili nie mogłem dopuścić, aby powstał choćby cień podejrzenia na temat prawdziwego powodu naszego przybycia. Odkrycia tajemnicy Złotego Żółwia, o którym przed śmiercią mówił mi Alfredo. Musiałem udawać, że interesuje mnie tylko handel i polowanie. Tak oto zaczął się nasz długi pobyt wśród Jibarów.

Wkrótce zadzierzgnięte zostały pierwsze więzy przyjaźni. Sungo, młodszy brat Tibiego, stał się mym nieodłącznym towarzyszem w myśliwskich wypadach. Poza tym, jego głęboka wiedza na temat leczniczych roślin pozwoliła mi zebrać cenną kolekcję okazów botanicznych. Pierrette zaś kompletowała zbiory entomologiczne i razem z tubylczymi kobietami przeżuwała cziczę. Wiele razy łowiliśmy ryby. Najpierw musieliśmy przegrodzić zaimprowizowaną tamą z kamieni bystry potok, a potem zatruć wodę rośliną barbasco. Nauczyłem się też używać umi i zatruwać strzały kurarą. W pobliskich grotach szukaliśmy piskląt ptaka tallo, które są ulubionym przysmakiem Jibarów. W księżycowe noce słuchałem opowieści i piosenek moich tutejszych towarzyszy. Wtórowała im melancholijna melodia grana na tumango, instrumencie zbliżonym do łuku. Wkrótce zacząłem rozumieć ich język, co pozwoliło mi dogadywać się z nimi bez tłumacza. Mijały tygodnie i miesiące i nic się nie działo. Nie nadarzała się żadna okazja do poznania wielkiego czarownika Hergamauki. Tibi wiele razy znikał na dwa albo trzy dni, mówiąc, że wyrusza na polowanie. Wracał bardzo zmęczony, bez żadnej zwierzyny, co już było podejrzane, zważywszy, że uchodził za najlepszego myśliwego tych rejonów. Podczas jego nieobecności jeden z jego poddanych pilnował nas, abyśmy za nim nie poszli. Dokąd wyprawiał się Tibi? Czy chodził do tajemniczej świątyni, gdzie ukryty był Złoty Żółw?

Na szczęście, a może raczej na nieszczęście, zdarzyły się dwie rzeczy, które przyspieszyły bieg wypadków: choroba syna Hergamauki i wybuch wulkanu Sangay. Któregoś popołudnia przybiegł do wioski młody chłopak, którego nigdy dotąd nie widziałem. Dość długo rozmawiał z Tibim, pokazując mu jakiś kamyk i kawałek skóry. Tibi był bardzo zakłopotany. Potem włożył na głowę pióropusz z piór tukana, którego używał w specjalnych okolicznościach. Zwołał wszystkich mężczyzn i mówił coś do nich, ale tak szybko, że z trudem go rozumiałem. Wywnioskowałem, że chodzi o jakąś chorobę wywołaną przez wrogów. Mężczyźni rozbiegli się po chatach i przynieśli broń. Zanosiło się na coś poważnego. Spytałem o to mego przyjaciela Sungę, ale był tak podniecony, że wcale mnie nie słuchał. W końcu Pierrette, której bardziej dopisało szczęście, dowiedziała się od kobiet, że syn Hergamauki jest ciężko chory z powodu jakichś czarów i że Hergamauca przypisuje winę Tibiemu. W takim wypadku wojna była nieunikniona. Sytuacja okazała się jeszcze poważniejsza, gdy przed wieczorem wróciły dwie kobiety, które wychodziły ze wsi po barbasco rosnące nad rzeką Upano. Przyniosły wiadomość, że... wulkan Sangay mocno dymi.

Tej nocy nikt we wsi nie spał. Tunduli, wielki rytualny bęben, rozbrzmiewał bez przerwy, wzywając Ibianchi, ducha lasów, który, jak głosi legenda, nauczył Jibarów zmniejszać ludzkie głowy. Wzywał także Etza (Słońce) i Nandu (Księżyc), aby przybyły i mogły być świadkami, jak bardzo obrażono dzielną wioskę Tibiego. W widocznym miejscu zawieszono tsantsa. Wszyscy wojownicy pomalowali się na znak wojny i z zapadnięciem nocy zebrali się

w chacie Tibiego, przystrojeni i z bronią. Przy wielkim ognisku zaczęła się narada wojenna. Ja wymalowałem się tak, jak inni. Mimo że niezaproszony, zająłem miejsce w kręgu wojowników. Byli tak podnieceni, że nawet nie zdawali sobie sprawy z mojej obecności.

Zaczęło się jedno z najbardziej widowiskowych zebrań, jakie oglądałem w życiu. Ogień rzucał dziwny blask na wiszące tsansa. Opromieniał surowe twarze pomalowane na purpurowo. Nagie ciała Indian lśniły od potu. Garnek z wyciągiem z korzeni malicua, wywołującym podniecenie nerwowe i wizje, krążył z rąk do rąk. Kiedy znalazł się w moich dłoniach, wypiłem zaledwie jeden łyk gorzkiego płynu i zaraz poczułem się zdolny do stawiania czoła całemu światu. Wszyscy mówili i krzyczeli jak szatany. Nic nie można było zrozumieć. W końcu Tibi uciszył swych wojowników, bijąc w mały bębenek, który trzymał w ręce, i powiedział:

– Posłuchajcie, bogowie Ibianchi i Cumbanama, duchy świętego wulkanu Sangay. Słuchajcie i wy, dzielni wojownicy noszący tendema (ozdoba, którą wolno nosić wojownikom dopiero po święcie dojrzałości płciowej), jest to najczystsza prawda, że przeklęty wróg Hergamauca obraził nas śmiertelnie i że ta zniewaga wymaga tsantsa.

– Tsantsa, tsantsa! – krzyknęli wszyscy chórem, potrząsając swymi umi. W tym momencie rozbrzmiały strzały ze starych strzelb, jakie mieli tubylcy. Na szczęście kule poszły w sufit. Tibi znowu uderzył w bębenek, nakazując ciszę i ciągnął dalej:

– Dobrze wiemy, jakie pretensje ma Hergamauca i jaką nienawiść żywi do mnie za Zungui-nua, moją trzecią żonę, chociaż zapłaciłem za nią wysoką cenę: dobrego psa myśliwskiego, dwie butelki prochu i sześć koszy juki. Pies zdechł, ale nie z mojej winy. Hergamauca chce także palić gundzi w naszej świątyni po każdej pełni księżyca, ale to inna sprawa. Teraz korzysta z okazji, żeby mnie oskarżyć o czary, mówiąc, że wprowadziłem Uvisin (złego ducha) do wątroby jego syna. Mógłbym go uzdrowić, ale wulkan Sangay dymi i daje odpowiedź w naszym imieniu. Widziałem go niedawno. Ibianchi powiedział mi, że musimy iść zabijać naszych wrogów, choćby byli silniejsi od nas. Mamy zrobić tsansa z ich głów. Kto chce wojny z Hergamauką i jego ludźmi? Niech się odezwie...

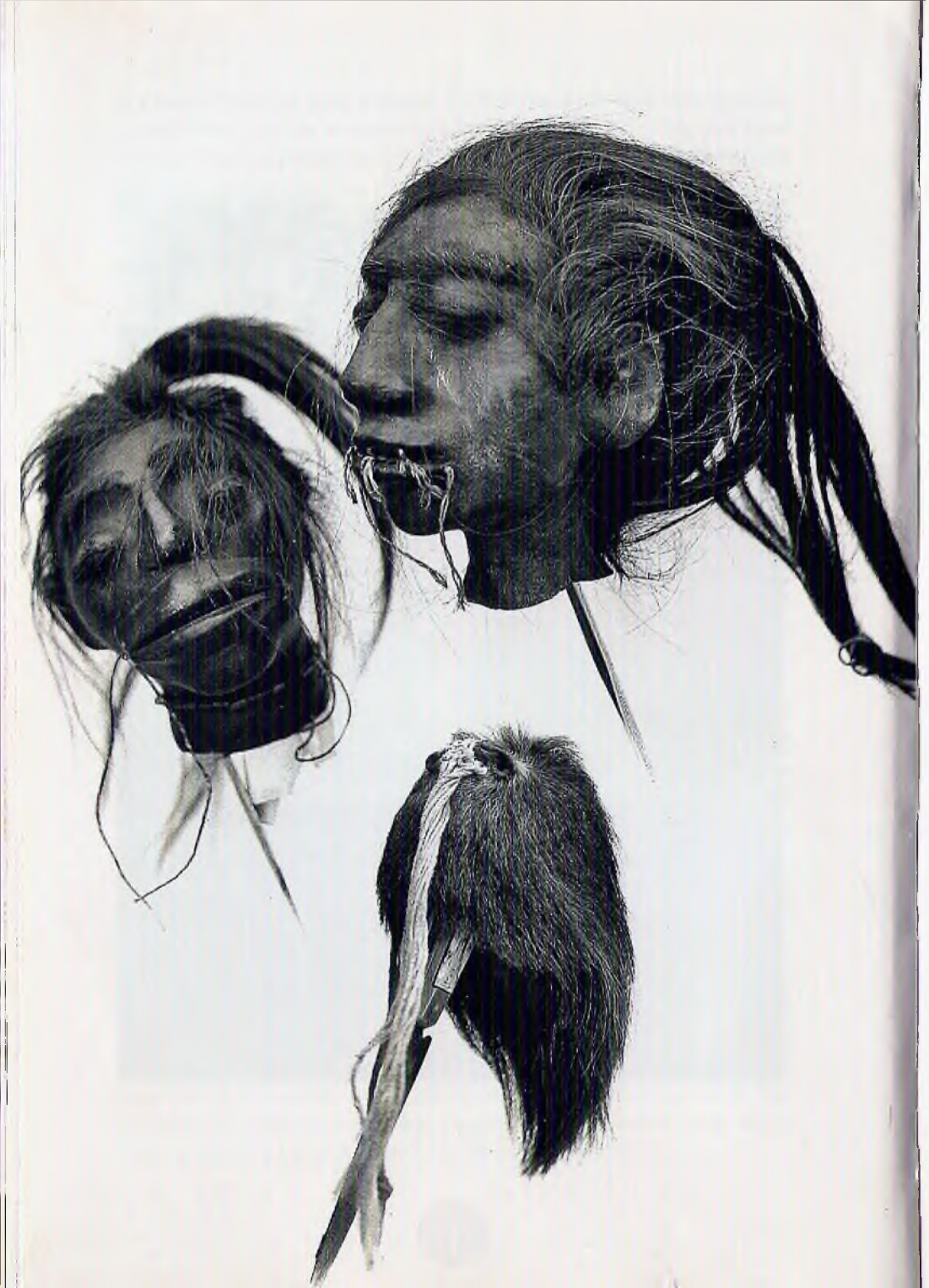

BIAŁY „CHAPEICU”

Znowu rozległy się krzyki mężczyzn i strzały. Naczynie z malicua znów krążyło z rąk do rąk. Kiedy doszło do mnie, chciałem tylko udawać, że piję, ale oczy wszystkich były utkwione we mnie. Musiałem wypić drugi łyk. Nie byłem przyzwyczajony do narkotyku... Potem bardzo mało rozumiałem z tego, co się działo. Słyszałem wrzaski, widziałem taniec... Pamiętam, że krzyczałem i tańczyłem razem z innymi dokoła ogniska. Kiedy oprzytomniałem, siedziałem obok Tibiego. Na mojej szyi zawieszona była tsantsa, a moją głowę zdobiła tendema. Wszyscy wojownicy składali mi jakąś przysięgę i deklarowali swą wierność i pomoc aż do śmierci. Dopiero potem zdołałem się dowiedzieć, że podczas tej ceremonii wszyscy wystąpili przeciw przeklętemu Hergamauce, przy czym każdy rościł sobie prawa do jego głowy. Być może malicua sprawiła, że stałem się bardzo elokwentny, gdy wszyscy żądali głowy wroga, wobec czego odstąpili mi ów wielki zaszczyt zostania chapeicu (tym, który musi zabić). Byłem nie na żarty przestraszony! W co też się wpakowałem! Nie miałem zamiaru nikogo zabijać, a poza tym, bynajmniej nie żywiłem nienawiści do Hergamauki... nawet go nie znałem! Ale teraz nie mogłem się wycofać – wzbudziłoby to podejrzenia i mogłoby kosztować życie Pierrette i mnie. Przyjmując zapewnienia o wierności od każdego z mych przyszłych pomocników w tym wymuszonym morderstwie, gorączkowo myślałem, co robić... ale nic nie przychodziło mi do głowy. Ucieczka była niemożliwa. Od najbliższego cywilizowanego osiedla dzieliło nas wiele dni podróży przez selwę. Musiałem radzić sobie sam, takimi sposobami, jakie były mi dostępne.

Rytuał w takich okolicznościach wymaga, aby wojownicy ukryli się na jedną dobę w selwie i tam przygotowali broń i omówili taktykę ataku. Pozostała ludność wioski, to znaczy kobiety, dzieci i starcy, muszą szybko opuścić swoje domy, zabierając ze sobą najcenniejsze przedmioty. Istnieje bowiem możliwość ataku ze strony wroga.

Pierrette, gdy się o tym dowiedziała, chciała iść ze mną, ale nie mogłem jej zabrać na wojenną wyprawę.

Tibi powierzył mi dowództwo nad wojownikami i zniknął. Jak sam powiedział, miał rzucić tak straszne przekleństwa, że wszyscy wrogowie już przed naszym przyjściem mieli poumierać ze strachu. Zabrałem broń, obiecując sobie użyć jej tylko w wypadku prawdziwego niebezpieczeństwa. Włożyłem do kieszeni trochę leków z naszej podręcznej apteczki, ufałem im bowiem nieco bardziej niż czarom rzucanym przez moich przyjaciół. Wyruszyliśmy przed świtem. Kierowaliśmy się do miejsca, które doradził mi Auimbu, najstarszy i najdzielniejszy z wojowników, pełniący rolę „porucznika". Zrobiliśmy postój nad małym strumieniem. Przygotowaliśmy broń i piliśmy wywar z liści tytoniu. Po wypiciu tego straszliwego płynu poczułem się tak niedobrze, że musiałem zażyć jakieś leki. Auimbu radził zaatakować w nocy, kiedy w chacie Hergamauki wszyscy będą spali, i wybić jej mieszkańców co do nogi. Wydawało mi się, że nie będzie dobrze walczyć nocą. Przekonałem moich towarzyszy, że dużo lepiej atakować za dnia, gdyż wrogowie z pewnością będą w nocy czuwać i trudno będzie ich zaskoczyć. Dla wzmocnienia argumentacji dodałem, że mojej strzelby nie można używać w ciemnościach. Chociaż większość wojowników nie popierała mojej taktyki, wszyscy usłuchali rozkazów.

Następnego ranka podeszliśmy pod samą wioskę Hergamauki. Zza krzaków można było dokładnie przyjrzeć się chatom wrogów. Wydawały się opuszczone. Kazałem wojownikom czekać na mnie wraz z Auimbu i nie ruszać się z miejsca, póki ich nie zawołam. Po czym, zupełnie sam, skierowałem się ku chatom. Byłem pewien, że wszystkie moje ruchy są śledzone, szedłem więc ostrożnie. Gdy już tylko sto metrów dzieliło mnie od wioski, zapowiedziałem moje przybycie krzykiem, ale nikt mi nie odpowiedział. Posuwałem się dalej. Ostatnie pięćdziesiąt metrów było najbardziej niebezpieczne. W każdej chwili mogłem zostać trafiony zatrutą strzałą. Chociaż nikt tego ode mnie nie żądał, położyłem broń na ziemi i ruszyłem wprost ku wejściu do największej chaty, którą moi wojownicy wskazywali mi jako chatę wodza. Ledwo pchnąłem drzwi, ze dwunastu mężczyzn rzuciło się na mnie. Zostałem unieruchomiony, zanim zdążyłem zrobić najmniejszy gest.

– China jua... więc tak mnie przyjmujesz, ty, wielki potężny Hergamauca, choć przychodzę, aby ci pomóc – powiedziałem, starając się zachować jak największy spokój.

– Puśćcie go – rozkazał stary Indianin siedzący na peac (łóżko z pni palmowych poprzecinanych na pół. – Czego chcesz? – zapytał mnie teraz, po czym rozpoczęła się długa prezentacja, podobna do tej, jaką odbyłem w dniu spotkania z Tibim.

– Ah, ah, ah... – zakończył po godzinnej rozmowie Hergamauca – a więc to prawda, że przybyłeś z dalekich krajów, gdzie jest potężny czarownik, który zna wszystkie zaklęcia, mocniejsze od naszych. Ah, ah, ah... więc to prawda, że przeklęci biali ludzie zabrali ci włosy – Hergamauca nigdy dotąd nie widział człowieka z łysiną – i że przyszedłeś wyleczyć mojego syna, który ma w wątrobie złego ducha, bo mu go tam wpuścił przeklęty Tibi. Ah, ah, ah... Ale powiedz mi, dlaczego mieszkałeś więcej niż trzy księżyce w domu Tibiego? – zapytał nagle.

– Bo chciałem się upewnić, że moja moc jest silniejsza od niego – odparłem zdecydowanie, wiedząc, że nie mam wiele do stracenia. W tej sytuacji mogłem właściwie w każdej chwili zostać nieboszczykiem.

– Bo widzisz, Uvisin (zły duch) pożarł mu już prawie całe wnętrzności – ciągnął Hergamauca wskazując na wstrząsanego wysoką gorączką chłopca. Leżał na drugim łóżku, oparłszy stopy na petache (coś w rodzaju drewnianego rusztu, pod którym rozpala się ogień). – W ciągu najbliższego księżyca mój syn miał wystrzelić dwie strzały (był to dzień, w którym chłopiec przeobrażał się w wojownika. Bardzo ważna uroczystość w życiu Jibarów i ważny moment dla ojca chłopca). Wiedziałem, że Tibi skorzysta z tej okazji, aby mi zaszkodzić, chociaż już przedtem ukradł mi żonę i oszukał mnie, dając mi za nią chorego psa.

W słowach jego była gorycz, ale nie dopatrzyłem się wielkiej nienawiści (później dowiedziałem się, że w młodości Tibi uratował mu życie). Szybkim spojrzeniem obrzuciłem chłopca. Żżerała go gorączka, zostało mu niewiele sił na to, by mógł przeżyć. Podejrzenie, że zjada go od środka zły duch Uvisin, dokonywało reszty. Zastrzyk penicyliny mógł go wprawdzie uratować, ale bardziej niż czegokolwiek innego potrzebował pewności, że będzie żył i że przekleństwo oraz czary zostały pokonane.

– Wyciągnę z niego Uvisina, żeby ci pokazać moją moc i dać dowód przyjaźni – powiedziałem do czarownika, chociaż wcale nie byłem pewny, czy zdołam wyleczyć chorego. Nie miałem innego wyjścia, musiałem postawić wszystko na jedną kartę. Wiedziałem, że śmierć chłopca położyłaby kres moim wędrówkom po selwie. Może jakaś inna ekspedycja natrafiłaby gdzieś na moją głowę. Zmniejszoną i wycenioną dość wysoko ze względu na jej oryginalność, to znaczy brak owłosienia. Przez chwilę myślałem z rozbawieniem, jak też wybrnęliby z całej sprawy podczas tańca tsantsa, kiedy rytuał wymagałby powieszenia za włosy mojej łysej głowy. Ten obraz tak mnie rozśmieszył, że zapomniałem o strachu i zacząłem przygotowywać się do odegrania roli czarownika. Zawiesiłem sobie na szyi wszystkie błyszczące przedmioty, jakie miałem pod ręką. Zrobiłem naszyjnik z nożyczek, kilku uchwytów od kamery filmowej, futerału od filtrów fotograficznych i innych w miarę malowniczych przedmiotów, nieznanych Jibarom. Potem uczerniłem się węglem i już byłem gotów do odprawienia ceremonii. Nic tak nie imponuje prymitywnym ludom jak ruchy i słowa, których nie mogą zrozumieć. Dlatego najpierw wypiłem parę kropel wody z mojej strzykawki, po czym udałem, że chwytają mnie straszne konwulsje. Zacząłem krzyczeć tak dzikim głosem, jakby wszystkie duchy selwy zawładnęły nagle moim żołądkiem. Ale najbardziej podziałał na tubylców śpiew i taniec. Była to zaimprowizowana mieszanina tanga i boogie-woogie. Potem sypnąłem do ognia trochę magnezji i gdy utworzyła się chmura dymu, rzuciłem się spoza niej ku choremu, robiąc szczękami takie ruchy, jakbym gryzł coś niewidzialnego (w Brazylii widziałem kiedyś podobną ceremonię uzdrawiania w plemieniu Karajów. Jednak ich czarownik nie dał nawet w połowie tak „mocnego" przedstawienia jak ja teraz). Jednocześnie śpiewając „oberek, obereczek", zacząłem przygotowywać zastrzyk, co starałem się robić jak najszybciej. Korzystną okolicznością był fakt, że łóżko chorego chłopca stało w zupełnie ciemnym kącie. W ciągu kilku sekund, niemal niedostrzegalnie, zdołałem przygotować strzykawkę. Chłopak krzyknął, gdy zagłębiłem mu igłę w ciało, ale zaraz się uspokoił. Wyczerpany, usiadłem znowu przy ognisku, aby zakończyć pokaz „czarów". Teraz pozostało mi już tylko oczekiwanie i nadzieja. Zauważyłem, że wszyscy

obecni przy tej scenie mężczyźni, nie wyłączając potężnego czarownika Hergamauki, patrzą na mnie z niekłamanym szacunkiem. Nawet ja sam poczułem w tej chwili podziw dla siebie, bo nigdy nie myślałem, że posiadam taki talent aktorski. Ale moją najmocniejszą stroną był ów zastrzyk, który dałem choremu. Zwłaszcza, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że wśród szczepów prymitywnych, nienawykłych do takiego leczenia, lekarstwa skutkują o wiele szybciej. Teraz bałem się tylko, że moi wojownicy, widząc, iż nie wychodzę z chaty, w końcu ruszą do ataku. Później dowiedziałem się, że uznając mnie za zmarłego, odeszli, odłożywszy zemstę na inną okazję.

Po południu młody Indianin poczuł się lepiej, gorączka spadła. Mimo to, następnego ranka powtórzyłem całą ceremonię, aby mieć pewność, że antybiotyk położy kres chorobie. Ponieważ jednak martwiłem się o to, co w tej chwili dzieje się z Pierrette, poprosiłem Hergamaukę, aby posłał do Tibiego wysłannika z wiadomością, że mu przebacza i uważa wojnę za skończoną. Stary Indianin usłuchał mnie bez wahania, choć jego poddani trochę protestowali. Musiałem wtedy jeszcze raz uciec się do mej czarodziejskiej władzy. Powiedziałem im, że poumierają, jeżeli nie będą mnie słuchali.

Caiap, chory chłopak, mógł w końcu wyjść na dwór, na słońce i świeże powietrze. Ja zaś coraz bardziej niepokoiłem się o Pierrette. Nie czekając na powrót wysłannika, postanowiłem wracać do wsi Tibiego, ale udało mi się wyjść dopiero po wypiciu ogromnej ilości cziczy, którą poczęstowali mnie moi gospodarze. Obiecałem im, że wkrótce do nich wrócę. Nowa przyjaźń mogła okazać się przydatna. Kto wie, może pomoże w wyjaśnienieniu tajemnicy skarbu Złotego Żółwia... W połowie drogi spotkałem Pierrette. Szła razem ze wszystkimi wojownikami, na czele których kroczył Tibi. Uszczęśliwiony opowiedziałem im, że właśnie zakończyła się wojna, ale poważne twarze Indian świadczyły o tym, że nie podzielają mojej radości.

– Przekleństwo zostało rzucone – odparł z całą powagą Tibi. – Ty zostałeś wybrany chapeicu, a wulkan Sangay ciągle dymi. Wszyscy nasi wojownicy przysięgli przed tsantsa zawieszoną na twojej szyi. Musisz zabić albo sam umrzeć. Takie jest nasze prawo...

„A niech to diabli! – pomyślałem. – I po co było narażać życie? Mam pecha, oni mnie teraz wpakują w następną awanturę". Moja wielka przygoda jeszcze się nie skończyła...

JAK STAŁEM SIĘ ŁOWCĄ GŁÓW

Noc okrywa płaszczem spokoju ekwadorską selwę. Cicho przelatują sowy i nietoperze szukające ofiar. Od czasu do czasu słychać krzyk ptaka-dzwonka. Jego przenikliwy głos odmierza nocne godziny. Śpi selwa, śpią jej mieszkańcy. Umilkły rozmowy pod dachami z palmowych liści. Mężczyźni i kobiety leżą razem ze swymi dziećmi na pryczach, opierając bose stopy na petache, aby ogrzały się ciepłem płynącym z na pół zgaszonego ogniska. Promień światła pada czasami na tsantsa zawieszone u stropu w chacie Tibiego, straszne pamiątki po ludziach zabitych z nakazu indiańskiego prawa. Tego samego prawa, które żąda, abym stał się zabójcą, gdyż moi przyjaciele wpadli na nieszczęsny pomysł wybrania mnie chapeicu. Mimo zmęczenia emocjami ubiegłych dni nie mogłem usnąć. Leżąca obok mnie Pierrette też nie spała. Udawała spokój, ale byłem pewien, że jest u kresu wytrzymałości nerwowej. Co robić? Czyżby naprawdę jakieś przekleństwo ciążyło nad zmniejszoną głową nabytą kiedyś przez Alfreda i nad tajemnicą skarbu Złotego Żółwia? Nie jestem przesądny, ale zacząłem już myśleć, że w całej tej sprawie jest coś dziwnego.

– Śpisz? – spytałem żonę.

– Nie – odparła.

– Możesz sobie wyobrazić, o czym myślę... Wierz mi, nie mogę z zimną krwią strzelać do Hergamauki ani do nikogo z jego ludzi. Tym bardziej teraz, kiedy są naszymi przyjaciółmi. Czy naprawdę muszę się stać mordercą, żeby uratować życie nam obojgu?

– Po cośmy się pchali w to wszystko? Dlaczego nie posłuchałeś rady Alfreda?

– Teraz już za późno, żeby się nad tym zastanawiać. Jeżeli chcemy się uratować, musimy szybko coś postanowić. Poczekaj, spróbuję wyjść sam. Jeśli nikt mnie nie będzie gonił, ty też wyjdź za jakiś czas. Spotkamy się nad strumykiem. Pójdę bez niczego.

Wyszedłem, starając się stąpać bezszelestnie, ale nie zrobiłem nawet dziesięciu kroków, kiedy usłyszałem, że ktoś cicho wymawia moje imię. Tuż obok mnie wynurzyła się z ciemności postać mego przyjaciela Sungi.

– Gdzie idziesz? – zapytał.

– Chciałem się trochę przejść... A ty? Czemu nie śpisz?

– Tibi kazał, żebym cię pilnował dziś w nocy – wyznał, jakby trochę zawstydzony.

Wiedziałem, że na próżno namawiałbym go, aby pozwolił mi uciec. Poza tym musiałem myśleć o Pierrette. Tak czy inaczej, rano ucieczka zostałaby odkryta. Nie, to nie był dobry pomysł.

– Posłuchaj, Sunga – powiedziałem – jesteś bratem Tibiego. Wiem doskonale, że wtajemniczył cię we wszystko, co musi umieć czarownik, tak abyś po jego śmierci mógł objąć władzę. Znasz dobrze święte prawo wulkanu Sangay i tsantsa. Powiedz, nie ma już na to rady? Czy naprawdę muszę zabić Hergamaukę, właśnie teraz, kiedy doprowadziłem do zawarcia zgody między waszymi wioskami i kiedy on śpi spokojnie? On nie wie, że Tibi zawiesił tsantsa i że ja zostałem wybrany na chapeicu. Sunga, wiesz, że teraz wybuchłaby nowa wojna i że przyjaciele Hergamauki zemściliby się na twoich ludziach. Nie będziecie mogli polować ani spokojnie pić cziczy, bo w każdej chwili możecie być zaatakowani i zabici. Kto wie, czy nie zabiją i ciebie, mój przyjacielu Sunga. Co do mnie, to mogę zabić kogoś i przy pomocy Tibiego zmniejszyć jego głowę, ale ja potem odejdę, a wy zostaniecie.

Tymi prostymi słowami starałem się wytłumaczyć Sundze to wszystko, o czym sam myślałem. Dobrze wiedziałem, że uczucie litości jest obce Indianinowi, który od dzieciństwa słyszy jedynie o zemście. Ale Sunga zaczął się zastanawiać.

– Jest jedna możliwość, ale ty jesteś naszym przyjacielem i nikt się nie ośmieli powiedzieć ci tego... Tibi mówił mi, że biali zabijają Ibianchi i że się go nie boją, ale żaden z nas się na to nie odważy. – I patrząc na mnie uważnie, dorzucił: – Ty się nie boisz Ibianchi. Odważyłbyś się strzelać do niego?

Jak błyskawica przemknęło mi przez głowę wszystko, co słyszałem o Ibianchi, bogu, który według wierzeń Jibarów żyje w ciele pewnego gatunku małp. Małpy te zamieszkują selwę otaczającą

wulkan Sangay i dlatego są tabu. Żaden z Jibarów, nawet najdzielniejszy, nie ośmieli się strzelać do nich. Wierzą, że gdyby ktoś to zrobił, Ibianchi wskoczyłby w ciało takiego śmiałka i zamienił go w małpę. To był nasz ratunek.

– Sam wiesz, Sunga, że jestem waszym przyiacielem. Wiesz także, jak dumni byliby wszyscy z naszej wsi, gdyby mogli powiedzieć, że jeden z naszych wojowników zabił Ibianchi i zmniejszył jego głowę. To jest bardzo niebezpieczne, ale ja jestem dzielny i zabiję Ibianchi. Jutro wyruszymy, pójdziesz razem ze mną.

Zadowolony z takiego obrotu rzeczy wróciłem na moją pryczę w chacie Tibiego. Pierrette nie spała, trzymała rękę na rewolwerze, gotowa na wszystko.

– W porządku – szepnąłem jej. – Śpij spokojnie. Jutro ci wytłumaczę...

– Tak, ale obiecaj mi, że jeżeli z tego wyjdziesz, to...

– Obiecuję, słowo!

Usnąłem prawie natychmiast. Tak mocno, że nie obudził mnie nawet poranny gwar. Dopiero dwa dni później ruszyliśmy na polowanie na Ibianchi. Tibi nie bardzo wierzył, aby udało mi się pomyślnie wypełnić zadanie tak niebezpieczne, dlatego przydzielił mi eskortę złożoną z Auimbu i czterech innych wojowników. Ale od Sungi dowiedziałem się, że w razie gdyby mi się nie udało, mieli mnie sprowadzić z powrotem do wsi albo zabić.

Zgodnie ze zwyczajem przez cały dzień pościliśmy, pijąc tylko ten straszny napój z liści tytoniu i przygotowując się do świętej wojny tak, jakby szło o wielką bitwę z wszystkimi jibaroskimi wsiami w rejonie rzeki Pastaza, a nie o zwykłe polowanie na małpę.

Pierrette miała oczywiście zostać we wsi i czekać do mojego powrotu. Tibi z całą powagą zapewnił mnie, że będzie pilnował, aby mi jej nie ukradli. O to się wprawdzie nie bałem, wiedząc, że biała kobieta nie jest atrakcyjna dla Indian. Jednak na wszelki wypadek doradziłem żonie, żeby nie oddalała się od chaty.

Dzień był piękny. Na tle błękitnego nieba rysował się wyraźnie wulkan Sangay, kurząc swą fajkę białego dymu. Selwa oddychała wilgocią i zapachem kwiatów. Śpiewały ptaki, jak gdyby zapowiadając

nasz wymarsz. Wszyscy szukaliśmy Ibianchi, ale nie było łatwo go znaleźć. Dopiero następnego dnia po południu Apunga przyniósł mi wiadomość, że Ibianchi prawdopodobnie śpi na wierzchołku wysokiej sucupiry, gdyż poczuł stamtąd „jego zapach". Szybko podeszliśmy do tego drzewa, ale gęste listowie nie pozwalało dostrzec małpy. W żadnym razie nie mogłem teraz ryzykować strzału, bo oznaczałoby to klęskę. Przez teleskopowy celownik mojej strzelby obejrzałem dokładnie drzewo i nic nie zobaczyłem. Dopiero po kilkunastu minutach zdołałem dostrzec wśród gałęzi fragment ciała małpy. Wycelowałem jak najdokładniej, używając teleskopu, tak jakby chodziło o jakąś o wiele grubszą zwierzynę, a nie zwykłą małpę. Nacisnąłem spust i zwierzę spadło na ziemię jak ogromny dojrzały owoc. Wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem zupełnie sam. Wszyscy moi towarzysze zniknęli. Nie zastanawiając się dłużej, ująłem maczetę i jednym ciosem obciąłem głowę zwierzęcia. Po czym, na znak zwycięstwa, wydałem wojenny okrzyk Jibarów.

Po chwili zjawił się Sunga. Z całą powagą wręczył mi tandarę (drewnianą tarczę) i umieścił na niej głowę małpy. Potem poszliśmy nad brzeg przepaści, skąd widać było Sangay. Tutaj Sunga pełnym głosem odśpiewał starą pieśń przodków, której słów nawet on sam nie rozumiał. Przypadek sprawił, że właśnie wtedy, na krótko, wulkan przestał dymić. Ofiara została przyjęta.

W dużym garnku gotowały się kawałki kory drzewa quebracho, korzenie różnych roślin, dwie namacas (ryby o potworkowatym wyglądzie) i różne rodzaje żywicy. Wszystko to wrzucał do garnka Tibi, śpiewając monotonną obrzędową pieśń tsantsa. Prosił bogów jezior, rzek i deszczów, aby przyszli napełnić obrzędowe naczynie czystą wodą. Wzywał bogów wulkanu Sangay, a także bogów gór i lasów, aby przyszli zobaczyć ceremonię tsantsaborrego. Kobiety bez przerwy przeżuwały łyko, przygotowując ogromne ilości cziczy. Poza tym robiły wspaniałe timiu, przysmak, na który, oprócz innych dodatków, składa się miód i orzechy babassu. Za trzy dni mieli się zjawić wszyscy przyjaciele szczepu, aby uczestniczyć w wielkim święcie. Tunduli rozbrzmiewał nieustannie, ogłaszając dobrą nowinę, że oto dobiegają końca przygotowania do świętego obrzędu.

TAJEMNICA POZOSTAJE NIEWYKRYTA

Proces zmniejszania głowy człowieka jest interesujący z naukowego punktu widzenia, a także ze względu na towarzyszące mu tańce i obrzędy. Indianie Jibaro od niepamiętnych czasów zmniejszają głowy swych zabitych wrogów. Ceremonia ta stanowi podstawę ich religii. Stara legenda głosi:

„Przed wieloma, wieloma chontas (wieloma laty albo wieloma zbiorami) żył pewien wojownik imieniem Tandami. Polował na sanguinos (dzikie świnie) i tindiques (tapiry) i miał osiem pięknych żon, które robiły mu doskonałą cziczę. Wszyscy mu zazdrościli, a najbardziej jego brat Natum. Pewnej księżycowej nocy Natum napił się wywaru z malicua i zapadł w sen. Ujrzał Ibianchi, który kazał mu zabić brata i obiecał, że odda mu wszystkie jego żony. Natum zgodził się i zabił Tandamiego, gdy ten odpoczywał. W tym momencie wulkan Sangay wyrzucił z siebie olbrzymie ilości lawy, wzniecając w selwie pożar i zabijając wszystkie ryby w rzekach. Ptaki i inne zwierzęta przerażone uciekły z tych okolic. Wtedy znowu pojawił się Ibianchi i nauczył Natuma, jak zrobić tsantsa z głowy zamordowanego brata. Przez trzy dni i trzy noce pracował Natum. Dopiero gdy gotowa tsantsa zawisła nad tandarą, wulkan Sangay uspokoił się i wszystko powróciło do dawnego porządku".

Tsantsa świadczy o wypełnieniu obrządku, ale po całej uroczystości traci swą uświęconą wartość. Staje się zwykłą pamiątką i to niezbyt cenną. Jednakże są też tsantsa święte, stanowiące tabu, i te właśnie zawiesza się na szyi przyszłego chapeicu.

Dopiero po trzech dniach od zabicia małpy zdołałem uporać się z tą robotą i to tylko dzięki pomocy Tibiego. Teraz wreszcie mogłem zawiesić tsantsa nad tandarą. Byłem dość wyczerpany. Tibi powiedział, że nigdy nie będę prawdziwym fachowcem od zmniejszania głów. I tak dobrze, że obiektem moich zabiegów była

tylko głowa małpy, której nie trzeba modelować twarzy. W innym wypadku (czego na szczęście udało mi się uniknąć) z pewnością poniósłbym sromotną klęskę. Mimo śmiertelnego zmęczenia musiałem odtańczyć z kobietami taniec tsantsa. Należy przy tym podskakiwać, trzymając za włosy zmniejszoną głowę. Trzy kobiety uwiesiły się na mnie, a były dość tęgie i trudno mi było ciągnąć je z sobą. Poza tym musiałem wobec wszystkich uczestników ceremonii odtworzyć ze szczegółami scenę zabicia małpy, a następnie pić cziczę i pozdrawiać każdego wojownika z osobna.

Obrzędy trwały przeszło tydzień, ale ostatnie cztery dni przespałem jak kłoda. Moi towarzysze ani na chwilę nie przestali grać na bębenkach i pambiles (fletach), których muzyka poderwałaby nawet umarłego. Indian oburzało moje zachowanie nielicujące z postawą bohatera, ale ja miałem już dość. Kiedy się obudziłem, było po wszystkim. Nie zostało ani odrobiny cziczy ani jedzenia. Dotrzymałem słowa danego Pierrette owej nocy, kiedy rozpaczliwie szukałem wyjścia z opałów. Przyrzekłem jej wtedy, że na razie porzucę zamiar odkrycia tajemnicy Złotego Żółwia. Trochę było mi żal, zważywszy, że byłem już tak blisko celu. Być może na moją decyzję wpłynęły rady Alfreda i los jego poprzedników. Byłem teraz tak wyczerpany, że kto wie, czy nie stałem się przesądny. Jako jedyne trofeum zabrałem ze sobą tsantsa Ibianchi. Skarby Złotego Żółwia pozostały w głębi selwy. Może kiedyś pojadę tam jeszcze, aby ich poszukać.

Postanowiliśmy natychmiast wracać w bardziej cywilizowane okolice, zwłaszcza że wulkan Sangay mógł w każdej chwili znów zacząć dymić. Pierrette bała się, że ponownie wybrano by mnie jako chapeicu. Pożegnałem się z wszystkimi przyjaciółmi, a szczególnie serdecznie z Hergamauką, który razem z całą swoją wioską przyszedł na uroczystość do Tibiego.

Technika zmniejszania jest dość prosta i łatwiej jest zmniejszyć głowę niż na przykład rękę. Głowę, odciętą od ciała, gotuje się w garnku razem z korzeniami różnych roślin. Kiedy jest już wystarczająco miękka, doświadczony czarownik oddziela ciało od kości czaszki, tak jakby ściągał rękawiczkę. Następnie zaszywa otwory: usta, nozdrza i oczy. włóknem caraguata. W ten sposób powstaje rodzaj torebki, do której przez otwór w szyi wkłada się małe, ostre kamyki.Teraz rozpoczyna się nieprzerwany taniec trwający całą noc. Zaczyna go chapeicu, który tańcząc, potrząsa energicznie głową ofiary, po czym oddaje ją wojownikowi, który prowadzi taniec dalej. Ten z kolei po pewnym czasie wręcza ją innemu. Przez długie godziny tańczą wszyscy, podając sobie głowę i mocno nią potrząsając. Ruch ten sprawia, że kamyki czyszczą wnętrze głowy z resztek tłuszczu i mięsa. Nad ranem głowę napełnia się miałkim suchym piaskiem i wkłada do garnka z wyciągiem z quebracho i palo blanco, drzew, których kora zawiera duży procent taniny, używanej do garbowania skór, i tak zaczyna się proces zmniejszania. Teraz po trochu wybiera się ze środka głowy piasek, co sprawia, że zmniejsza się ona, nie tracąc dawnych proporcji. Pod koniec ceremonii tsantsa osiąga rozmiary pomarańczy i nabiera ciemnej barwy. Wyjmuje się ją z garnka jeszcze przed świtem, aby poranne słońce nie przypiekło zbyt gwałtownie delikatnej skóry. Po czym doświadczone ręce modelują twarz, nadając jej ostateczny kształt. Mimo tych zabiegów rysy twarzy zachowują znaczne podobieństwo do twarzy ofiary. Tsantsa napełnia się włóknami roślinnymi i liśćmi zawierającymi substancje konserwujące. Gdy wyschnie, można ją uznać za gotową.

JIBAROS

Wielu Indian chodzi do szkół misyjnych. Szybko przyzwyczaja się do noszenia spodni i przyswaja sobie dość dużo słów hiszpańskich. Jednak wraz z osiągnięciem dojrzałości uciekają do swych wiosek, aby tam obchodzić pogańskie obrzędy i tańczyć taniec tsantsa.

Indianie Jibaro zależą od szczęk swych żon. Ich podstawowym pokarmem jest czicza albo masata, którą przygotowują kobiety żując korzenie manioku i wypluwając przeżutą papkę do garnków. Jak twierdzą znawcy, czicza przeżuta przez kobiety stare i bezzębne ma lepszy smak niż ta, którą przygotowują młode.

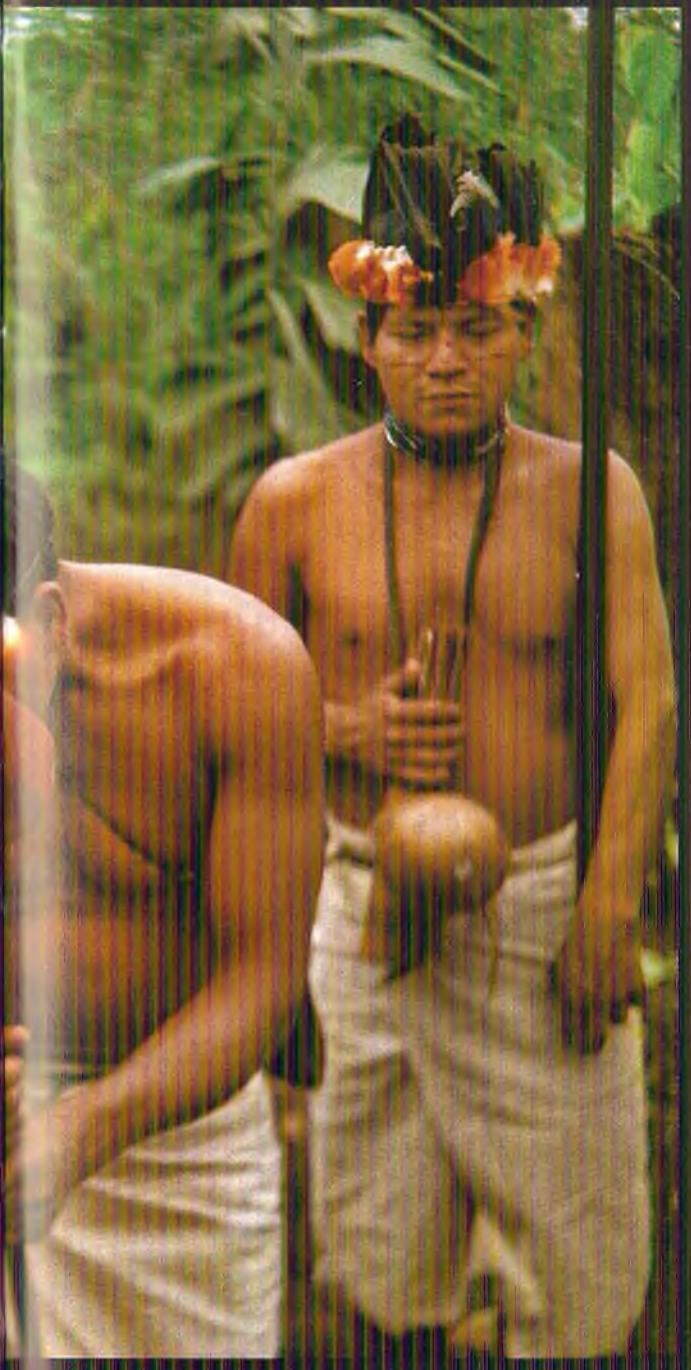

Cziczę podaje się w glinianych garnkach pomalowanych na czerwono. Każda kobieta przynosi jedno takie naczynie i nie wolno wymówić się od przyjęcia poczęstunku.

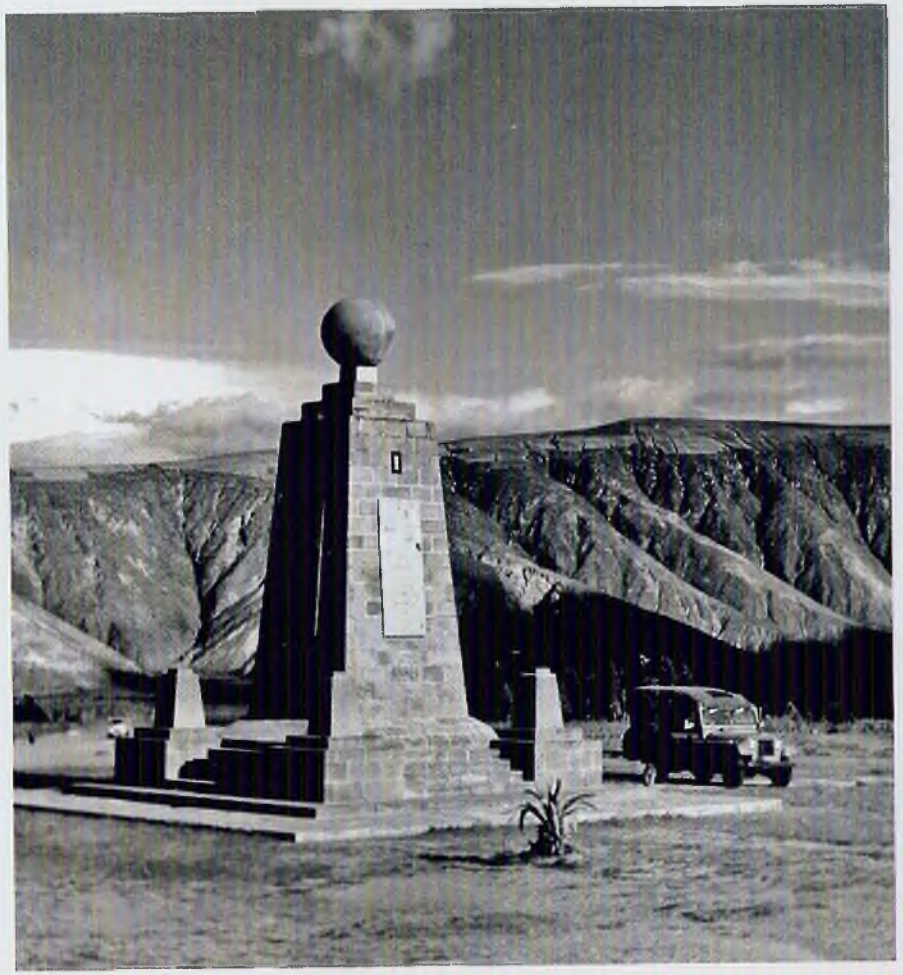

W GEOGRAFICZNYM ŚRODKU AMERYKI

Jeep, okryty kurzem, zatrzymał się na rynku w Riobamba. Kończyły się właśnie lekcje i ze szkół wybiegały gromadki chłopców i dziewcząt. Otoczyli gwarną grupą nasz wóz, patrząc nań ciekawie i komentując mapę z zaznaczoną trasą przejazdu, wymalowaną na jednym z boków. Myjąc ręce pod fontanną, usłyszałem, jak sprzeczają się na nasz temat. W końcu jakiś dziesięciolatek zapytał, zwracając się do mnie:

– Prawda, że jedziesz z Buenos Aires? Z Argentyny?

– A ty skąd wiesz?

– Przeczytałem na tabliczce rejestracyjnej. A dokąd jedziesz?

– Do Alaski! Wiesz, gdzie jest Alaska?

– Tak, nasza pani w Domu Kultury opowiadała nam, że to jeszcze dalej niż Stany Zjednoczone i że tam jest dużo psów i dużo śniegu. Twój pies jest z Alaski, prawda? – dodał wskazując na naszego owczarka alzackiego.

Chciałem dać chłopcu parę groszy na cukierki, ale odmówił.

Bardzo szybko przekonałem się, że chłopiec z Riobamba nie był w Ekwadorze wyjątkiem. Nawet w najbardziej odległych miejscowościach można tu spotkać środowiska o dużej kulturze. Jest to niewątpliwa zasługa organizacji o nazwie Casa de la Cultura Ecuatoriana, która obejmuje swą opieką nauczycieli, biblioteki, kina i radio we wszystkich zakątkach tego kraju. Wprawdzie Ekwador nie jest dużym państwem, ale zawsze przywiązywał wielką wagę do działalności kulturalnej.

Słynni uczeni z paryskiej Akademii, Godin i La Condamine, mieli w XVII wieku poważny problem z wymierzeniem łuku jednego stopnia geograficznego na równiku. Linia ta przebiegała przez różne kraje Afryki, Oceanii i Ameryki. W owych czasach jeszcze zupełnie

nieznane. Poprosili więc króla Hiszpanii o pozwolenie odwiedzenia Presidencii* Quito. Była ona kolonią hiszpańską i jedynym krajem cywilizowanym, gdzie można było dokonać pomiaru. Gorąca linia równika nie zdołała jednak zharmonizować dwóch części Ekwadoru, wybrzeża i gór, które przeciwstawiają się sobie i zarazem uzupełniają, jak dwie strony złotej monety. Wybrzeże, o klimacie gorącym i wilgotnym, posiada warunki korzystne dla rolnictwa. Ciągną się tu rozległe plantacje bananów i trzciny cukrowej, założone na ziemiach dzień po dniu wydzieranych selwie. Ekwador jest uważany za największego producenta i eksportera bananów na świecie. Góry, o pokrytych śniegiem szczytach wulkanów Chimborazo (6310 m), Pichincha, Cotopaxi i ciągle aktywnego Sangay, panują nad wschodnią częścią Ekwadoru, która posiada także obfitujące w drewno lasy i żyzne ziemie stanowiące rezerwę na przyszłość. W lasach tych mieszkają liczne plemiona Jibarów. Duże żeglowne rzeki, jak Guayas, spowity w tropikalne mgły, niosą do portu Guayaquil ciężkie ładunki cennego drewna. Półnadzy mężczyźni płynący w swoich czółnach ich wodami dostarczają do miast bogactwa przeznaczone na eksport. U stóp wulkanu Pichincha, na wysokości 2852 metrów nad poziomem morza, leży prawie półmilionowe miasto Quito, stolica Ekwadoru. Posiada 57 kościołów, labirynt wspinających się i opadających ulic, starą kolonialną architekturę, a także nowoczesne dzielnice, szpitale, banki... W dolinie Otavalo zachowała się jeszcze czysta rasa indiańska, która nigdy nie podlegała białym. Utrzymuje się dzięki własnemu przemysłowi i tworzy rodzaj wspólnoty o wiele wyżej postawionej niż inne prymitywne plemiona na całym świecie. Pierwsi mieszkańcy z Ekwadoru (plemię Shiris) zostali podbici przez inkaskiego władcę Huayna Capac pod koniec XV wieku. Zwycięzca ożenił się z piękną księżniczką Toa pochodzącą z Quito. Wcielił jej ziemie do swego cesarstwa i kazał zbudować słynną drogę łączącą Quito z Cusco, która w późniejszych czasach tak zdumiała białych konkwistadorów. Walka między dwoma synami cesarza, Atahualpą z Quito i Huascarem z Cusco, ułatwiła Pizarrowi zdobycie imperium. Panowanie Hiszpanów trwało prawie trzy wieki, kiedy to

* Audiencia, presidencia – okręgi sądownicze i administracyjne formalnie podlegające wicekrólowi.

narodziła się architektura kolonialna Quito. Można w niej dostrzec wpływ sztuki indiańskiej, nadający jej odrębny charakter. Ekwador był jednym z pierwszych krajów południowoamerykańskich, gdzie zakwitły idee emancypacji. 10 sierpnia 1809 roku grupa patriotów z Quito obaliła władzę Hiszpanów i powołała Rewolucyjną Juntę Quito, która była pierwszym niezależnym rządem w Ameryce Łacińskiej. Hiszpanie przemocą zdławili ten ruch, ale działalność patriotów z Quito obudziła w całym narodzie ideę wolności. 11 października 1810 Junta Superior znowu proklamowała w Quito niepodległość. Dwa lata później Kongres Konstytucyjny ogłosił konstytucję. Jednak zwycięstwo sił rojalistycznych 1 grudnia 1812 ponownie przywróciło Audiencia de Quito. Ale w Guayaquil i w innych miastach rewolucja triumfowała. Generał Sucre, zaproszony przez Bolivara, przybył do Guayaquil na czele licznych batalionów. 24 maja 1822, wraz ze zwycięstwem patriotów w Pichincha, władza Hiszpanów upadła definitywnie. Terytorium Ekwadoru zostało wcielone do krajów, które już tworzyły Wielką Kolumbię, podstawę Konfederacji Republik, o jakiej marzył Bolivar. Zaś 13 maja 1830 dawna Audiencia de Quito, idąc w ślady Wenezueli, ogłosiła swą niezależność od Kolumbii, przybierając nazwę Republiki Ekwadoru.

RYBAK I JEGO BONGO

Brakowało całej godziny do świtu. Nad Pacyfikiem dopiero zaczynała się rysować fioletowa linia horyzontu. Tropikalne niebo Ekwadoru było jeszcze ciemne, kiedy na plażach w pobliżu miejscowości Posorja pojawili się mężczyźni. Nieśli maszty, żagle, sieci i harpuny ułożone na długich podporach. Jak co dzień przez cały rok, zaczęli przygotowywać swoje bongos (czółna), aby wypłynąć na połów na rozległe wody oceanu. Pochylali się nad łodziami, zręcznie przymocowując pnie drzew balsa. Z pierwszym brzaskiem spychali je na wodę. Flotylla czółen rozwinęła żagle i ruszyła w morze.

Siedząc w bongo, sterowanym przez młodego rybaka Francisca Jaguara, i kołysząc się na słonych falach, mogłem zaobserwować sposób manewrowania jedną z najprymitywniejszych łodzi.

Bongo buduje się z trzech pni drzewa balsa, podtrzymywanych poprzecznie kawałkiem drewna wyciętym w formie półksiężyca. Pnie przywiązane są do niego powrozami. Dzięki temu mają one dostateczny luz. Można je łatwo rozdzielić i wysuszyć na słońcu. Krótki maszt podtrzymuje żagiel zrobiony przeważnie ze starych worków po cukrze. Bongo nie ma steru. Kieruje się nim za pomocą krótkiego wiosła, a zwykła deska umieszczona pomiędzy pniami pełni rolę orczyka i zapobiega skrętom. Ten typ łodzi był używany już przez dawnych „Synów Słońca", Inków, którzy nie umieli budować statków. W takich czółnach dotarli aż na wyspy Polinezji, wioząc ze sobą brodatego boga Kon-Tiki. Tratwy te natchnęły Thora Heyerdahla pomysłem dokonania wielkiej próby. Wypłynął na swojej „Kon-Tiki", aby potwierdzić teorię, że kolebką Polinezyjczyków był kontynent amerykański.

Rybacy łowiący u wybrzeży Ekwadoru i Peru podtrzymują tradycje przodków. Uważają bongo za najpewniejszy typ łodzi. I do pewnego stopnia mają rację, bo pnie balsa nie toną. Mogłem zaobserwować, że nawet kiedy silne fale pozrywają liny i czółna rozpadają się na części, ludzie wychodzą cało i dopływają do brzegu, trzymając się pni balsa.

– Bongo to wszystko, co posiadamy – mówił mi Francisco. – Na tych trzech pniach wypływamy łowić siecią sardynki albo sardele. Od listopada do marca jest w tych wodach obfitość wielkich ryb, jak: verugales, corviny, robalos, rekiny i inne. Polujemy na nie z harpunem. Czasami zdobycz jest większa niż cała łódź. Wtedy musimy ją holować, walcząc z rekinami, które starają się ją nam wyrwać. Na ogół ryby nie czują obawy przed bongo i ufnie podpływają na odległość niecałego metra. Możemy je więc łatwo złowić. Za uzyskane pieniądze kupujemy chleb i trochę niezbędnych ubrań. Naszych synów uczymy manewrować czółnem już od najmłodszych lat. Aby poznali życie na morzu, które w przyszłości stanie się pewnie naszym grobem, bo żyjemy i umieramy na tratwach. Prawie wszyscy z mojej rodziny spędzili ostatnie chwile na morzu. Mój dziadek, kiedy się już poczuł bardzo chory i wiedział, że umrze, poprosił, żebyśmy go ułożyli w bongo i rozwinęli żagiel. Chciał umrzeć sam, na oceanie. I tak wypłynął, aby więcej nie wrócić. Teraz na pewno jest w niebie, bo my wierzymy, że święty Piotr wpuszcza tam nawet największych grzeszników, jeśli umarli na morzu.

Nasze bongo odpłynęło daleko od brzegu i mogliśmy dojrzeć pod powierzchnią wody ławice sardeli. Francisco bardzo zręcznie zaczął zarzucać sieć, jednocześnie sterując czółnem, które może unieść tylko dwuosobową załogę. Dziwiła mnie lekkość czółna i jego podatność na najlżejsze uderzenie wiosłem. Wkrótce nasz „statek" zaczął się napełniać żywym srebrem wyciągniętym z morza. Po południu zerwał się silny wiatr południowowschodni, wznosząc spore fale. Każda inna łódź rozleciałaby się w kawałki albo napełniła wodą. Nasze bongo tańczyło na morzu jak korek, bez trudu wspinając się na pieniste grzbiety. Na zwiniętym do połowy żaglu dopłynęliśmy do brzegu.

Znajomi rybacy opowiadali mi, że często prądy morskie i wiatry rzucają ich daleko od wybrzeża. Muszą wtedy stawić czoło burzy, trwającej nieraz dwa dni albo i więcej. Jednak ich „koniki" (tak zwykli nazywać czółna) znoszą to doskonale.

Było już prawie ciemno i tylko słabe światła wioski wskazywały nam drogę powrotną na plażę. Zrobiło się zimno, byliśmy przemoczeni i dygotaliśmy. Tak oto kończył się długi dzień pracy rybaków, którzy codziennie stają do walki z nieokiełznanym żywiołem, ufni w odporność swych prymitywnych czółen...

BONGO

Znajomi rybacy opowiadali mi, że często prądy morskie i wiatry rzucają ich daleko od wybrzeża. Muszą wtedy stawić czoło burzy, trwającej nieraz dwa dni albo i więcej. Jednak ich „koniki" (tak zwykli nazywać czółna) znoszą to doskonale.

PANAMSKIE KAPELUSZE ROBI SIĘ W EKWADORZE

– Czterysta dolarów? To chyba on jest ze złota?
– Nie, ze słomy...
– Więc czemu taka wysoka cena?
– A bo tyle się należy za zręczne palce i za cierpliwość tych artystów, co wyplatają kapelusze...

Taką rozmowę prowadziłem na Wystawie Sztuki Ekwadorskiej w Quito z jednym z kupców prezentujących tutaj swoje towary. A że chciałem osobiście poznać owych artystów o zręcznych palcach, musiałem przejechać jeepem prawie tysiąc kilometrów dzielących nas od Montecristi, małej miejscowości na wybrzeżu oceanu. To właśnie tutaj wyrabiane są najelegantsze słomkowe kapelusze. Nie zobaczyłem ani nowoczesnych budynków, ani też wysokiego standardu życiowego. Za to spotkałem gościnnych, wesołych ludzi, którzy znają sekrety słomki i potrafią cierpliwie wiązać tysiące idealnie równych węzełków. To z nich powstają te wytworne nakrycia głowy kupowane przez milionerów na całym świecie. Wyplatacze kapeluszy mieszkają w ubogich chatach zbudowanych na palach. To zawieszenie nad ziemią chroni ich od węży i wilgoci. Całe pokolenia rodzą się i umierają przy tym rzemiośle, a kapelusze znane są w świecie jako kapelusze panamskie, które jednak powstają nie w Panamie, a w Ekwadorze...

Według legendy, jaką opowiadają niektórzy handlarze kapeluszami, wyplata się je pod wodą. Trzeba przyjrzeć się pracy pięknych, czarnowłosych i czarnookich dziewcząt, aby zrozumieć, skąd bierze się doskonałość dzieła ich rąk. Uprzyjemniają sobie one robotę, nucąc łagodne i melancholijne piosenki miłosne. Na pół skończony kapelusz wręcza się kupcom. Ci z kolei całymi godzinami przeglądają towar, szukając usterek. Na setki kapeluszy tylko kilka jest absolutnie doskonałych. Osiągnięcie żądanej

grubości, doskonałości węzłów, połączenia włókien i koloru jest niemal niemożliwe, głównie z powodu warunków klimatycznych. To tak jak z malarstwem. Wielcy mistrzowie nie robili samych arcydzieł. Zdarzały im się także „buble".

Niektóre z tych kapeluszy zdołają osiągnąć cenę czterystu dolarów, ale na ogół dobrej jakości panama nie kosztuje więcej niż pięćdziesiąt. Wyplataczka otrzymuje tylko połowę. Jedynie w miejscowościach, gdzie żyje bardzo uboga ludność, możliwe jest wyciśnięcie tak ciężkiej pracy za tak małe pieniądze. Kupiec wykańcza kapelusz na własny rachunek. Musi wykończyć brzegi, „uprasować" kapelusz specjalnym drewnianym młotkiem, zmiękczyć go ręcznie i zdezynfekować za pomocą siarki, aby nadawał się do sprzedaży.

Podczas budowy Kanału Panamskiego potrzebna była wielka liczba słomkowych kapeluszy dla robotników i techników pracujących w upalnym, tropikalnym słońcu. Zakupiono cały ładunek ekwadorskiego statku wiozącego kapelusze. Były w tak dobrym gatunku, tak lekkie i mocne, że kupcy z całego świata zaczęli zamawiać „panamy". Panamczycy nie zdradzili nikomu pochodzenia tego nakrycia głowy i tak kapelusz wyprodukowany w Ekwadorze stał się sławny na całym świecie jako panamski.

W pierwszych latach naszego wieku panama była bardzo modna, zarówno na kontynencie amerykańskim, jak i w Europie. Każdy elegant musiał mieć taki kapelusz. A podczas spotkania prezydentów krajów amerykańskich, które miało miejsce w Panamie, każdy z uczestników dostał w prezencie panamski kapelusz, który wyszedł spod zręcznych palców ekwadorskiej wyplataczki...

Historia popularnej panamy zaczyna się w głębi ekwadorskiej selwy, gdzie występuje toquilla. Roślina podobna do palmy, o liściach w kształcie wachlarza. Mężczyźni znający selwę robią wielotygodniowe wyprawy w poszukiwaniu jej świeżych pędów i kiełków. Przemierzają przy tym tereny nawiedzane malarią i innymi niebezpiecznymi chorobami. Poszukiwany pęd rośliny ma w swoim wnętrzu słomkę, którą tworzą delikatne liście, już uformowane, ale jeszcze nie wyrośnięte. Właśnie od wyboru tych pędów zależy jakość surowca i jakość kapelusza.„Słomka" dociera na grzbietach mułów albo plecach ludzi aż do Montecristi. Stare

kobiety z ogromną cierpliwością segregują i oddzielają od siebie delikatne włókna. Układają je w cieniu pod dachami, aby tam schły i nabierały jasnej barwy. Warunki klimatyczne mają wielki wpływ na ostateczny rezultat tych zabiegów. Jeżeli nadejdzie gorący wiatr, słomka staje się łamliwa i nie nadaje się do wyplatania.

Każda z faz produkcji kapeluszy ma swego specjalistę. Gdy słomka zostaje przyniesiona z selwy, zabierają się do niej stare doświadczone kapeluszniczki. Po wysuszeniu tylko niewielki procent surowca nadaje się na najelegantsze panamy. Przygotowana już słomka dostaje się następnie w ręce najważniejszej grupy produkcyjnej - w ręce wyplataczek, umiejących wiązać cieniutkie włókna. Kobiety te pracują tylko we wczesnych godzinach poprzedzających świt i o zmierzchu, kiedy powietrze jest chłodne i wilgotne. To znaczy, kiedy słomka ma odpowiednią elastyczność. Naprawdę elegancki kapelusz wymaga około dziewięćdziesięciu godzin pracy i posiada tysiące niemal niewidocznych węzełków, które muszą być zrobione w sposób doskonały. To prawdziwa loteria wyplatać taki kapelusz, bo nigdy nie wiadomo, czy wyjdzie idealnie. Wystarczy jeden błąd, aby stracił poważną część swej wartości. Największa trudność polega na dokładnym łączeniu włókien. Trzeba na to cierpliwości i artyzmu.

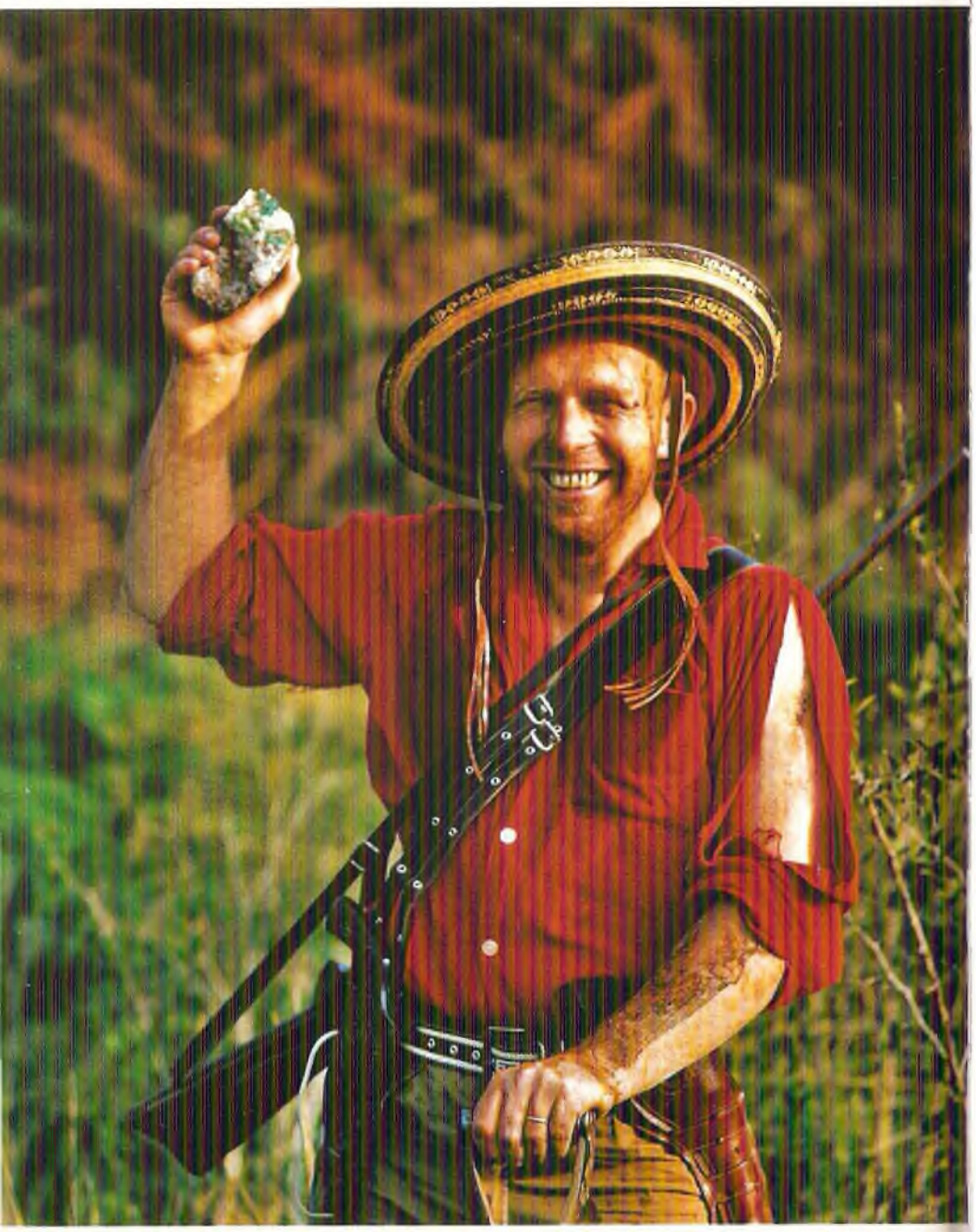

ZIELONA GORĄCZKA

– Marco, uważaj!

Ostrzegawczy krzyk Antonia Lopeza rozległ się jak strzał w spokojnej kolumbijskiej selwie. Jego brat skoczył jak kot, uciekając przed niebezpieczeństwem. Szelest poruszających się liści mógł oznaczać wiele, tu, wśród gęstej roślinności Pena Blanca. Może była to żmija... albo coś jeszcze gorszego. Obaj instynktownie chwycili w ręce maczety i czekali. Szelest stawał się coraz głośniejszy... Aż w końcu ukazał się niewinny pancernik, tysiąc razy bardziej przestraszony niż ludzie.

– Łap go, Antonio! Szybko!... – krzyknął Marco. – Nie trafiło się nic dużego, to przynajmniej zjemy sobie na obiad tego zwierzaka!

I obaj ruszyli w pościg. Wyszli z domu ze swoimi starymi strzelbami, mając zamiar wytropić jelenia i zdobyć zapas mięsa, ale los bywa kapryśny. Pancernik podbiegł do jakiegoś głazu i zniknął pod nim. Dotarł do swojej jamy. Antonio włożył tam rękę i złapał zwierzaka za ogon wykrzykując radośnie:

– No chodź, mały, nic ci nie zrobimy, tylko cię zjemy!

Jego wysiłki zostały nagrodzone. Pancernik, który nie mógł się dłużej opierać, został wyciągnięty z jamy. Rozpaczliwie wierzgał przystosowanymi do kopania łapami, w których tkwił kamyk wygrzebany z ziemi. Był to dziwny kamyk o jaskrawozielonej barwie.

– Do diabła! Marco! – krzyknął Antonio. – Spójrz na te kamienie!

Słabe popołudniowe światło przefiltrowane przez liście zapalało nieoczekiwane błyski na zielonych okruchach...

– Tak jakby...

– Rany boskie, a może to szmaragdy?...

Zapomnieli o pancerniku, który uciekł przerażony, nie podejrzewając nawet, jaką cenę zapłacił za wolność.

Tego lutowego wieczora Marco i Antonio zjawili się w wioskowej gospodzie weselsi niż zwykle. Oczy mieli dumnie błyszczące i chociaż po piwie powieki zaczęły im trochę opadać, to jednak ich niezwykłe ożywienie i gadatliwość nie uszły uwagi właściciela lokalu. Kiedy przyszło do płacenia, Marco odpiął kieszeń i rzucił na sfatygowany stół wspaniały zielony kamień.

– Starczy, sze...szefie? – spytał chichocząc i czkając.

Właściciel natychmiast zrozumiał, w czym rzecz. W jego źrenicach zabłysły iskierki chciwości. Szybko podszedł do stołu, wycierając kieliszek swym długim fartuchem. Wziął szmaragd w palce...

– Może być... Zostaw to. Jak nie starczy, to ci powiem. À propos... masz więcej tych błyskotek?

Bracia Lopezowie wiedzieli, że znaleźli coś cennego, ale nie zdawali sobie sprawy z bajecznej wartości znaleziska. Antonio wybuchnął śmiechem i teatralnym gestem wysypał całą garść kamyków. Wiele z nich upadło na podłogę. Właściciel gospody panował nad sobą.

– Ciekawe... Bardzo ładne. No, masz szczęście, że ja je akurat tak lubię. Kupię je od ciebie za tysiąc pesos!

Tysiąc pesos! Każdy z tych kamieni wart był dziesięć razy więcej, ale Marco i Antonio nie mogli sobie nawet wyobrazić, jak wygląda tysiąc pesos. Popatrzyli na siebie i nie dotykając kamieni, wstali od stołu.

– W porządku – powiedział Antonio. I obaj wyszli zadowoleni, przeliczając pomięte banknoty, a właściciel tawerny, drżąc z emocji, na czworakach szukał rozsypanych po podłodze szmaragdów.

Świeże powietrze trochę otrzeźwiło obydwu braci i wkrótce zaczęli podejrzewać, że zostali okpieni. Ich wątpliwości rozproszył pewien stary górnik, toteż następnego dnia ruszyli do znanego miejsca, aby przystąpić do eksploatacji złoża. Ale niestety! Piwo jest złym doradcą. Zamroczeni alkoholem powiedzieli więcej, niż należało... i przybywszy na miejsce, gdzie natrafili na jamę pancernika, zastali tam ze trzysta albo czterysta osób kopiących gorączkowo w poszukiwaniu skarbu. Wiadomość rozeszła się błyskawicznie. Ludzie rzucali wszystko, aby biec na spotkanie z fortuną. Robotnicy zostawiali maszyny, przemysłowcy biura, kupcy klientów, studenci książki. Ze wszystkich zakątków Kolumbii długie karawany ciągnęły nad Pena Blanca. Powtarzała się historia El Dorado. Odradzała

się wielka przygoda Alaski. Znowu chciwość podjudzała ludzi. Po miesiącu pięć tysięcy poszukiwaczy tłoczyło się i mrowiło w małej dolinie. Rozbijano namioty, tworzyły się spółki. W tej nowej, pełnej gorączki przygodzie mężczyznom towarzyszyło absurdalne zbiorowisko kobiet, dzieci, mułów, słomkowych kapeluszy, maczet, puszek od konserw, łopat i kilofów.

Odkąd Antonio i Marco przynieśli pierwsze kamienie, upłynęło zaledwie kilka tygodni. A już w niegdyś odludnej Pena Blanca powstała cała osada. Rozprzestrzeniała się pośród selwy, w gorącym i wilgotnym klimacie, gdzie nawet tubylcom ciężko jest wytrzymać. Tysiące ludzi – wyczerpanych upałem i przebytymi kilometrami – zjawiły się tu, szukając fortuny, a znalazły przede wszystkim samotność. Tak, samotność, bo każdy widział w swym sąsiedzie potencjalnego wroga, który mógł mu wydrzeć bogactwo – nagrodę za upór i wysiłek, zesłaną przez dobrą gwiazdę. W zaimprowizowanym obozowisku nie mówiono o niczym innym, tylko o szmaragdach.

– To, co dotąd znalazłem, to mało – upierał się pewien krzepki mężczyzna o ciemnej cerze i szczeciniastych włosach. – Jeżeli się zorganizujemy, zbierzemy o wiele więcej. To musi być to miejsce, gdzie żyła Fura-Tena.

– Kim była Fura-Tena?

– To indiańska bogini z okolic Muzo, gdzie leżą kopalnie państwowe. Podobno zakochała się nieszczęśliwie w królu Zipa Tisquesusa. Kiedy odchodziła, płacząc, jej łzy zamieniły się w szmaragdy, które zaraz pochłonęła chciwie ziemia. Więc to pewno właśnie w tym miejscu płakała...

– Piękna legenda – zauważył profesorskim tonem jakiś niski i chudy młodzieniec – ale tylko legenda. Zorganizujmy się w grupy i przygotujmy się do obrony, bo rząd nie zostawi nas w spokoju. Szmaragdy podlegają monopolowi. Rządowi spodobało się położyć łapę na pięćdziesięciu pięciu tysiącach hektarów Muzo, to i tutaj zechce nam zabrać to, co zdobędziemy.

Słowa te wywarły natychmiastowy skutek. Obóz zorganizował się w grupy. Przeważnie według sąsiedztwa, według tego, kiedy kto tu przybył. Poza tym, pomiędzy ludźmi o podobnym pochodzeniu, między znajomymi mającymi do siebie jakie takie zaufanie. Bywały zarówno grupy czterdziestoosobowe, jak i liczące zaledwie dwóch członków. Robocze dni nie dla wszystkich okazały się jednakowo owocne. Nie brakło niecierpliwych, którzy uważali, że lepiej ukraść i wykorzystać wysiłek innych. Wtedy przemówiła palna broń. Doraźny i natychmiastowy wymiar sprawiedliwości odebrał nierozsądnym chętkę na cudze szmaragdy.

Pewnego popołudnia, kiedy poszukiwacze biwakowali na swych zwykłych miejscach, przybyli nowi ludzie. Ich wyposażenie i broń wskazywały na to, że przybywają z polecenia władz, i tak było w istocie.

– Jesteśmy przedstawicielami Banku Republiki – powiedział przywódca. – Macie oddawać szmaragdy na sprzedaż do banku. Podpowierzchniowe warstwy ziemi należą do państwa i złoża szmaragdów są własnością skarbu państwa. Jeszcze nie skończył mówić, kiedy przed wysłannikami rządu wyrósł mur karabinów i pistoletów. Na próżno protestowali, twierdząc, że nie przyszli z zamiarem wywołania wojny, lecz aby zalegalizować sytuację samozwańczych górników. Odebrano im broń i pozostawiono tylko kilka maczet niezbędnych w drodze przez selwę. Musieli wrócić, skąd przyszli. Od tego czasu nikt nie nachodził poszukiwaczy szmaragdów z Pena Blanca.

WE WŁADZY ZIELONEJ GORĄCZKI

Kiedy przyjechałem do Bogoty, stolicy Kolumbii, nie mówiono już o Pena Blanca, ale cała ta historia spędzała mi sen z powiek. Koniecznie chciałem się tam dostać, ale oczywiście nie jako dziennikarz, bo dziennikarze nie wracali z Pena Blanca... Mógłbym udawać poszukiwacza szmaragdów, jednego z tych ludzi opętanych „zieloną gorączką". Kupiłem potrzebny ekwipunek i kilka mułów, a kamery ukryłem wśród bagaży. Rafael, stary przemytnik, znający doskonale drogę do kopalni, zgodził się mi towarzyszyć. Dzięki niemu zdołałem pokonać trudności podróży i przeszkody w postaci posterunków żandarmerii. W połowie drogi dwa muły spadły nam w przepaść i omal nie pociągnęły nas za sobą... Kawałek dalej ledwo zdążyliśmy umknąć przed lawiną... W końcu, kompletnie wyczerpani, dotarliśmy do Pena Blanca. Rafael znał faceta z głównego komitetu, niejakiego Juana Mendozę, który wypytawszy nas, pozwolił wejść do kopalni. Wskazał miejsca, gdzie mogliśmy kopać. Niepisane prawo przyznawało każdemu przybyszowi dziesięć metrów kwadratowych na drążenie tunelu w kruchej skale. Obecność pirytów świadczyła o tym, że można w niej znaleźć szmaragdy.

Podobnie jak inni, mieliśmy prymitywne narzędzia, gdyż kopać należało ręcznie. Brak nam było całej masy rzeczy. Połowa dynamitu, niezbędnego do wysadzania twardych skał, jak również część żywności spadły w przepaść razem z mułami. A po dziesięciu dniach wyczerpującej pracy ciągle jeszcze nic nie znajdowaliśmy. Ludzie z mojej grupy zaczęli się zniechęcać i próbowali przyłączyć się do innych, którym bardziej sprzyjało szczęście. Ja też tak zrobiłem. Przyjęto mnie do grupy pracowników uniwersyteckich, którzy niedawno przyjechali. Właściwie nie miałem w planie poszukiwania drogich kamieni. Chciałem jedynie zetknąć się z poszukiwaczami, poznać ich obyczaje i poglądy, aby móc to wszystko

opisać. Bardzo przydały mi się doświadczenia nabyte w Brazylii, gdzie pisałem o garimpeiros, poszukiwaczach diamentów, a także w Boliwii, w kopalniach złota. Wiedziałem teraz, jak pozyskać przyjaźń ludzi opętanych przez „zieloną gorączkę". Aby nie budzić podejrzeń, wielokrotnie zmieniałem grupy i po trochu, bardzo ostrożnie, zacząłem tu i ówdzie robić zdjęcia. Zaprzyjaźniłem się z pewnym wieśniakiem, który zjechał do Pena Blanca z całą rodziną. Sprzedał, co miał: gospodarstwo, chatę, bydło, aby w niedługim czasie stracić wszystko w kopalni. Sytuacja tych ludzi była tak rozpaczliwa, że śmierć wydawała się w tym wypadku jedynym wyjściem. Był tam także pewien młody Wenezuelczyk. Temu naprawdę się poszczęściło. Znalazł wspaniały szmaragd wartości prawie 100 000 dolarów, ale kopał dalej. Praca w grupach, choć mniej rentowna ze względu na konieczność podziału zysków, była jednak wygodniejsza. W Pena Blanca widziałem najróżniejsze typy ludzi, od analfabetów aż do profesorów wyższych uczelni. Celem tych ostatnich było nie tyle wzbogacenie się, ile możność zdobycia w ten sposób np. funduszy na zakup nowoczesnego wyposażenia laboratorium. Był tam nawet pewien ksiądz. Chrzcił noworodki, grzebał zmarłych i usiłował ratować dusze tych ludzi, które zdawały się być zaprzedane diabłu. On także od czasu do czasu drążył skałę, ale zbiórka pieniędzy wśród poszukiwaczy okazała się skuteczniejszym środkiem uzyskania finansów dla jego kościoła. Spotkałem też w Pena Blanca kobietę, doñę Magdalenę, która choć nie zbierała szmaragdów, zbiła jednak niezły majątek. Miała dobrą klientelę, bo wszystkim smakowało jej jedzenie. Broniła swych pieniędzy rewolwerem, który dzień i noc nosiła przy sobie, na pasku. Nikomu, nawet żartem, nie przychodziło do głowy zakwestionować jakość czy obfitość podawanych posiłków. Doña Magdalena była nie tylko dobrą kucharką. Równie dobrze jak z garnkami potrafiła obchodzić się z bronią.

Osobną grupę stanowiły „sępy", ludzie, którzy korzystali z pracy innych. Byli tam także handlarze szmaragdami, sprzedawcy broni, kul, dynamitu i żywności. W tym tak oddalonym od cywilizacji zakątku, do którego wstępu broniło wojsko, można było kupić wszystko - od suszonego mięsa aż do francuskiego szampana. Oczywiście, za nie byle jaką cenę.

Wartość szmaragdu, podobnie jak innych drogich kamieni, zależy od wielu czynników: od koloru, czystości, rozmiarów, ale przede wszystkim, od szpecących go plam. Cena jednego karata może się wahać od 25 do 1500 dolarów. Ignorancja poszukiwaczy sprawiała, że byli bezczelnie wyzyskiwani przez „sępy". Przechodziłem z grupy do grupy i pracując, starałem się zarazem słuchać i obserwować. Muszę wyznać, że i mnie zaczęła się udzielać „zielona gorączka". Pragnienie znalezienia szmaragdu, choćby maleńkiego, coraz bardziej mąciło mi w głowie. Raz i drugi znalazłem mały kamyk niewielkiej wartości, ale pozbyłem się ich, płacąc za obiad doñi Magdalenie. Pewnego dnia zawarłem znajomość z bardzo sympatycznymi młodymi ludźmi, którzy prosili, żebym pracował razem z nimi. Nie miałem wielkiego zaufania do ich umiejętności, ale w końcu zgodziłem się. Wkrótce po rozpoczęciu pracy jeden z nich, Roberto, drążąc skałę, krzyknął zdumiony: - Patrzcie, tu jest cały pokład!

Wszyscy tłoczyliśmy się wokół niego. Naszym oczom ukazały się szmaragdy, jaśniejące iskierkami nadziei. Na pewien czas odjęło nam mowę. Juan zaczął wyjmować kamienie drżącymi z emocji palcami. Przeżyliśmy chwilę niespokojnego oczekiwania, gdyż widoczny był tylko początek „pokładu". Reszta, jeżeli była, kryła się jeszcze w skale. Juan potrząsał dłonią. Ostry kant jednego z kamieni rozciął mu skórę na palcu. Krople krwi spadały na szmaragdy. Wyglądały symbolicznie, jak krwawy pot wyciśnięty z poszukiwaczy. Ktoś przyniósł butelkę zawierającą jedynie trochę niewiele wartych śmieci. Ta butelka była ogniotrwałą kasą poszukiwaczy, do tego przezroczystą. Nie trzeba było jej otwierać, żeby wiedzieć, co zawiera. Juan i Roberto z najwyższą ostrożnością zaczęli oddzielać od siebie kamienie, aby je włożyć do środka. Właśnie w tym momencie poczułem, że opanowuje mnie „zielona gorączka". Nawet ja, który przybyłem tu z całkiem innymi zamiarami, zapomniałem o całym świecie, myśląc tylko o szmaragdach. Zacząłem gorączkowo drążyć skałę, nie pamiętając o jedzeniu i spaniu. Wieczorem zapaliliśmy pochodnie i pracowaliśmy dalej, nie ustając ani na chwilę. Ożywiała nas nadzieja natrafienia na następne złoże. Dopiero zmęczenie kazało nam przerwać robotę.

Tej nocy, siedząc w szałasie przy słabym blasku świecy, po przyjacielsku dzieliliśmy się zdobytymi skarbami.

Odtąd, tak jak i inni, nosiłem na szyi pod koszulą małą torebkę z jeleniej skóry. Miałem tam szmaragdy, które przypadły mi w udziale. Poznałem też, co to strach, który w każdym momencie każe człowiekowi zrywać się z miejsca i chwytać za broń. Prawie nie spałem, nie mogłem. Budziłem się co chwilę, myśląc, że ktoś chce zrabować moje kamienie. Nie ufałem nikomu. Na równi z innymi dostałem się we władanie „zielonej gorączki". I opanowywała mnie ona coraz mocniej. Jednakże, dzięki Bogu, w jakimś momencie trzeźwości jasno ujrzałem to, co może się stać ze mną, jeżeli natychmiast nie opuszczę tego piekła. Nie chciałem kończyć tak jak inni, którzy zebrawszy nawet spory majątek, zostawali tutaj, w niewoli „zielonej gorączki".

Już dwa miesiące przebywałem w Pena Blanca... Postanowiłem uciekać, i to jak najprędzej! Ale odejść nie było tak łatwo. Na drodze czyhali bandyci, którzy napadali na poszukiwaczy. Poza tym dla policji każdy człowiek złapany ze szmaragdami był przestępcą, gdyż wchodził w kolizję z prawem. Na szczęście miałem okazję przyłączyć się do grupy przemytników dostarczających żywność i jeszcze tej nocy na zawsze pożegnałem się z Pena Blanca. Szedłem pieszo, bo muły zostały zjedzone w okresie głodu, kiedy brakowało żywności. Całą drogę przebyłem z radością. Czułem się bezpieczny, wyrwałem się spod władzy żarłocznej „zielonej gorączki".

Przybywszy do Bogoty, poszedłem do dyrektora Banku Republiki, aby zalegalizować moją zdobycz. Dowiedziałem się, że podczas gdy byłem w kopalni, zaszły spore zmiany. Rząd, chcąc rozprawić się z „czarnym rynkiem" szmaragdów, a jednocześnie ochronić monopol państwowy, wystąpił z projektem otwarcia biura skupu kamieni w Burbur, miejscowości leżącej w pobliżu Pena Blanca. Według mnie, było to najlepsze rozwiązanie. A wraz z podziękowaniem za informacje, jakich dostarczyłem w tej sprawie Bankowi Republiki, udzielono mi pozwolenia na zwiedzenie państwowej kopalni w Muzo.

Byłem pierwszym dziennikarzem, który miał się znaleźć w tym słynnym miejscu!

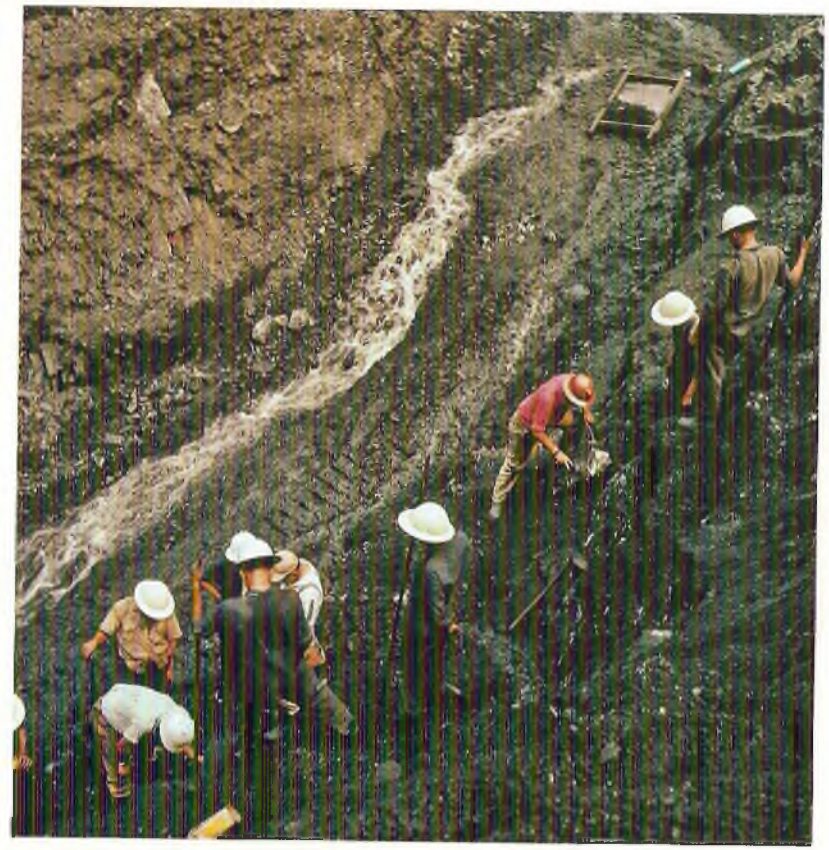

KOPALNIA W MUZO

Ten piękny kamień, najbardziej ceniony i jeden z najdroższych na świecie, był człowiekowi znany na długo przed narodzeniem Chrystusa. Egipscy faraonowie przypisywali szmaragdowi boskie właściwości. Był dla nich symbolem władzy, szczęścia i nadziei. Fakt, że nigdzie indziej na kontynencie afrykańskim ani w rejonie Morza Śródziemnego nie ma pokładów szmaragdów, posłużył jako argument potwierdzający istnienie Atlantydy (zaginionego kontynentu, który niegdyś znajdował się, być może, między Starym a Nowym Światem). Biblia wspomina o wielkim szmaragdzie zdobiącym pektorał najwyższego kapłana Aarona. Neron obserwował igrzyska w cyrku przez oszlifowany szmaragd. A najwyższy kapłan w Watykanie ma w swej koronie antyczny szmaragd o rozmiarach 27 na 33 milimetry. Wysoka cena szmaragdu bierze się głównie z jego rzadkości. Niewielkie złoża tych kamieni spotyka się w Związku Radzieckim, w Indiach i w Afryce, ale naprawdę liczą się tylko ich pokłady w Kolumbii, w rejonie Muzo i w Pena Blanca.

W górskiej okolicy Muzo, na północny wschód od Bogoty, mieszkali przed konkwistą Indianie Muzo. Wierzyli oni, że szmaragdy, nazywane przez nich tap-y-car, są łzami bogini Fura-Tena. Padając na ziemię stały się świętymi kamieniami. Indianie używali ich jako monet, wymieniając je z innymi plemionami na potrzebną im sól. Szmaragdy przechodziły z rąk do rąk. W ten sposób w końcu stały się ozdobą świętych szat Azteków, Majów i Inków. Po konkwiście Hiszpanie zaczęli dociekać, skąd pochodzą te kamienie. W roku 1539 pewien hiszpański rycerz znalazł maleńki szmaragd w żołądku kurczaka przeznaczonego na stół. Był to początek „zielonej gorączki". Indianie z Muzo tak ostro opierali się konkwistadorom, że ci, chcąc położyć kres ich zawziętym atakom, posłali w ten rejon liczne oddziały wojska mające ujarzmić tubylców. Złamanie oporu

kosztowało Hiszpanów dwadzieścia lat walk, podczas których nieustannie byli rozgramiani przez kacyków Itoco i Quirimaca. W końcu kopalnie szmaragdów przeszły w ręce konkwistadorów, którzy dokonywali eksploatacji złóż rękami tych samych Indian, zamienionych w niewolników. „Zielona gorączka" zbierała pierwsze ofiary. W Muzo można jeszcze dziś oglądać galerie z czasów panowania Hiszpanów. W jednej z nich zostało żywcem pogrzebanych trzystu Indian. Szmaragdy uzyskane z batem w ręku, za cenę śmierci, miały potem zdobić wnętrza kościołów, wzbogacać skarbiec króla Hiszpanii albo upiększać stroje urodziwych dam.

W roku 1646 kopalnie Muzo ogłoszono własnością korony i pozwolenie na eksploatację stało się udziałem nielicznych uprzywilejowanych. Aż do roku 1947 kopalnie były pod zarządem różnych kompanii, które dzierżawiły je od państwa. Począwszy od wymienionej daty eksploatacją zajmuje się Bank Republiki. W szmaragdach małych wartość jednego karata nie przekracza 250 dolarów. W dużych sięga ona dwóch tysięcy dolarów. Największy znaleziony szmaragd waży 1795,85 karata, a jego wartość wynosi milion dolarów.

Ziemie otaczające kopalnię Muzo są nieustannie strzeżone przez wojsko. Wstęp na te tereny jest zabroniony. Kopalnia jest odkrywkowa, oświetlają ją potężne reflektory. Grupa robocza składa się z szesnastu osób: geologa, delegata rządu, trzech majstrów i jedenastu górników. Nie można używać dynamitu, ponieważ uszkadza on kamienie. Wisząc na zboczu wąwozu, ludzie drążą ziemię w poszukiwaniu szmaragdów. Dla uzyskania jednego karata muszą przerzucić 25 metrów sześciennych ziemi. Cały personel bez wyjątku pracuje pod czujnym okiem uzbrojonych strażników. Poza tym każdy pracownik kopalni poddaje się pewnego rodzaju dobrowolnej niewoli. Raz znalazłszy się w Muzo, musi tu pozostać, dopóki nie wygaśnie mu umowa o pracę.

Trzy rzeczy są rygorystycznie zakazane w kopalni: alkohol, hazard i kobiety. Personel mieszka w wygodnych barakach. Jedzenie jest dobre, urozmaicone i obfite. Pensje wyższe niż gdzie indziej. Jednak, mimo straży i dobrych warunków, nie udało się całkowicie wyeliminować kradzieży szmaragdów. Wielu górników przyjęło pracę tutaj jedynie dlatego, że podniecała ich nadzieja wyniesienia z kopalni drogocennego kamienia.

Aby utrzymać cenę na rynku światowym, rząd Kolumbii przeznacza na sprzedaż jedynie pewną ograniczoną liczbę szmaragdów. Jeszcze przed odkryciem w Pena Blanca nielegalne poszukiwania przybierały znaczne rozmiary. Poszukiwacze zjawiali się w okolicy Muzo uzbrojeni po zęby i całe dnie spędzali w selwie, gdzie czasami znajdowali majątek, ale częściej śmierć. W ciągu ostatnich dziesięciu lat kopalnie Muzo dały Bankowi Republiki 430 000 karatów szmaragdów pierwszej jakości. Od czasu do czasu, w ścisłej tajemnicy, opancerzony wóz pod zbrojną eskortą przyjeżdża do Muzo po szmaragdy i odwozi je do banku, gdzie zostają oszlifowane i wycenione.

STRAŻNICZKA SKARBU

Na ósmym piętrze Banku Republiki w Bogocie jest specjalny pokój - prawdziwa mała twierdza, w której przechowywane są szmaragdy. Mogą tu wejść jedynie bardzo znani kupcy, jubilerzy albo wysłannicy koronowanych głów czy milionerów. Potrzebne jest do tego specjalne upoważnienie. Nigdy nie wpuszcza się do środka więcej niż dwóch interesantów naraz. Przed drzwiami tego pokoju stoją uzbrojeni strażnicy. Każdy z nich zna tylko połowę kombinacji cyfr otwierających zamek ogromnej kasy pancernej przechowującej kamienie. Z boku znajduje się stół, a przy nim siada człowiek, którego zadaniem jest uważne śledzenie ruchów wszystkich znajdujących się tu osób. Pośrodku, naprzeciwko drzwi, stoi drugi stół, pokryty cienkim zielonym suknem. Siedzi tu śliczna młoda dziewczyna. To urzędniczka banku. Jej praca polega na sprzedawaniu szmaragdów. Należy do uprzywilejowanych, gdyż to ona jest bezpośrednią strażniczką wielomilionowego skarbu. Tylko ona może dotykać kamieni i pokazywać je kupującym - najwyżej po dwa, nigdy więcej. Rozmawiając w trzech językach, uśmiechnięta dwudziestoparolatka sprzedaje kamienie warte ogromny majątek. Żaden z tych szmaragdów, nawet najmniejszy, nigdy nie będzie do niej należał. Przy jej stole zasiadają starzy jubilerzy, milionerzy, wysłannicy maharadżów... Clara Arevalo Rubio, córka urzędnika państwowego, lubi proste życie, a oferty, które otrzymała od bogatych mężczyzn, nie zdołały przewrócić jej w głowie.

Po dłuższych zabiegach i dzięki mojej przyjaźni z dyrektorem kopalni w Muzo osiągnąłem coś, co praktycznie jest uważane za niemożliwe i na co nikt wcześniej nie dostał pozwolenia.

Mogłem sfotografować dwa miliony dolarów w szmaragdach! Panna Clara, jak zwykle z uroczym uśmiechem, układała przede mną cudowne kamienie. Tego dnia do „twierdzy" nie wpuszczano żadnego kupca.

– Podobają się pani szmaragdy? – spytałem.

– Ponieważ nie jest pan kupcem, powiem panu prawdę – odparła. – Dla mnie te kamienie są niczym. Wiele kobiet dałoby wszystko, żeby je mieć. Podobno szmaragdy przynoszą szczęście... Ja, mam kochającą rodzinę i narzeczonego, czegóż mogę chcieć jeszcze?

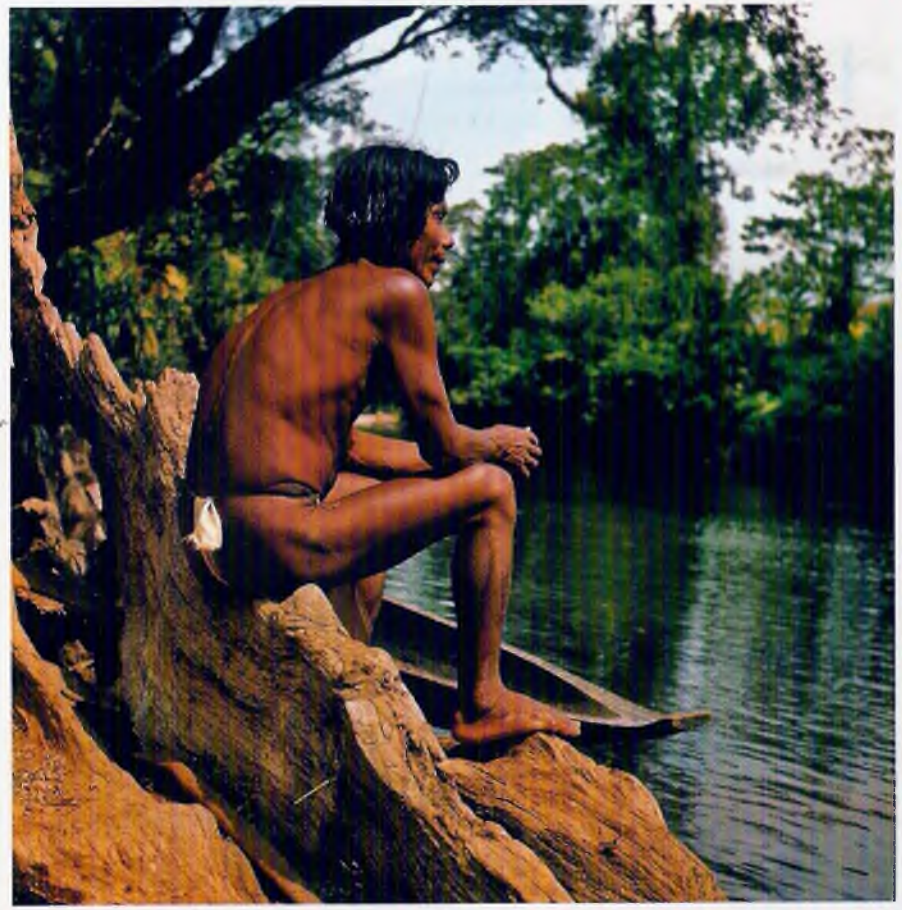

ZAŚLUBINY W SELWIE

W północnej Kolumbii jest kraina całkowicie odizolowana od cywilizowanego świata. Kraina, gdzie zegar czasu zatrzymał się przed wieloma wiekami. Rzeki Esmeralda i Alto Sinu przecinają tutaj ogromne zielone morze dziewiczej puszczy.

Rozciąga się ona u stóp gór nieprzeniknionym murem, broniąc wstępu do tego ziemskiego raju. Śpiew ptaków, zapach leśnych kwiatów, piękno krajobrazu i obfitość pożywienia ułatwiają i uprzyjemniają życie tubylcom mieszkającym tutaj od niepamiętnych czasów.

W rejonie tym osiedliły się dwa plemiona – Embara i Sinu. Selwa, góry i nieżeglowne rzeki broniły ich przed nadejściem białych, którzy zwykle przynoszą tubylcom w darze przede wszystkim występek i choroby.

Plemiona te mieszkają na brzegach rzeki Esmeralda. Życie ich płynie spokojnie i bez wstrząsów. Rybołówstwo i polowanie dostarczają zawsze dużej ilości mięsa, ogromne lasy owoców i orzechów, małe pólka uprawne – kukurydzy, juki i bananów. Nie ma tu wojen ani wielkich zawiści, ludziom wystarcza wyciągnąć rękę, aby zdobyć pokarm zesłany przez hojną naturę. Plemiona indiańskie żyją na pokojowej stopie. Trzymają się wprawdzie osobno, ale mają zwyczaj spotykać się nad rzeką. Dokonują wymiany towarów albo wspólnie zjednują bogów, paląc żywicę drzewa copal. W takich spotkaniach uczestniczą tylko mężczyźni, bo dawny przesąd, równie mocny jak święte prawa, zabrania im żenić się z kobietami innego plemienia. Małżeństwa zawierane są między członkami tego samego szczepu, a przyszłych małżonków przeznacza się sobie jeszcze w dzieciństwie.

Przedarłszy się w głąb kolumbijskiej selwy, znalazłem się wśród Embarów i przez sześć miesięcy dzieliłem ich życie z zamiarem zbadania tamtejszych obyczajów. Właśnie podczas mojego pobytu zdarzyło się coś, co po raz pierwszy zrobiło wyłom w starych przesądach dotyczących małżeństwa.

A oto jak potoczyły się wypadki.

W wiosce Indian Sinu, odległej o jeden dzień marszu, mieszkał młody wojownik imieniem Batimba. Mniej więcej na dwa lata przed opisanym wydarzeniem, ścigając podczas polowania rannego jelenia, znalazł się w pobliżu wsi Embarów. Wyczerpany odpoczywał nad małym jeziorkiem, kiedy nagle ujrzał piękną dziewczynę, pływającą pośród wodnych lilii. Długie czarne włosy spływały jak welon na jej nagie ciało. Była jak otwierający się pąk kwiatu. Tak ładna, że Batimba, zapominając o swoich obowiązkach, wyszedł z ukrycia, aby ją podziwiać. Ale w tym momencie czar prysnął. Dziewczyna, zaskoczona widokiem nieznajomego, uciekła i znikła wśród zieleni. Na gałęzi krzewu zostało itipi, kawałek płótna, którym Indianki okrywają swą nagość. Batimba, wzruszony, wziął itipi i ucałował je, przysięgając wieczną miłość nieznajomej, która w ciągu zaledwie kilku chwil podbiła jego serce.

Minęło parę miesięcy, chonta wydała owoce, ale Batimba nie zapomniał o pięknej dziewczynie. Jednakże prawo jego plemienia nie pozwalało wchodzić do wioski Embarów. Często wracał więc do miejsca, gdzie widział ukochaną, albo błądził po lesie w nadziei, że ją znowu spotka.

Nie znał nawet jej imienia.

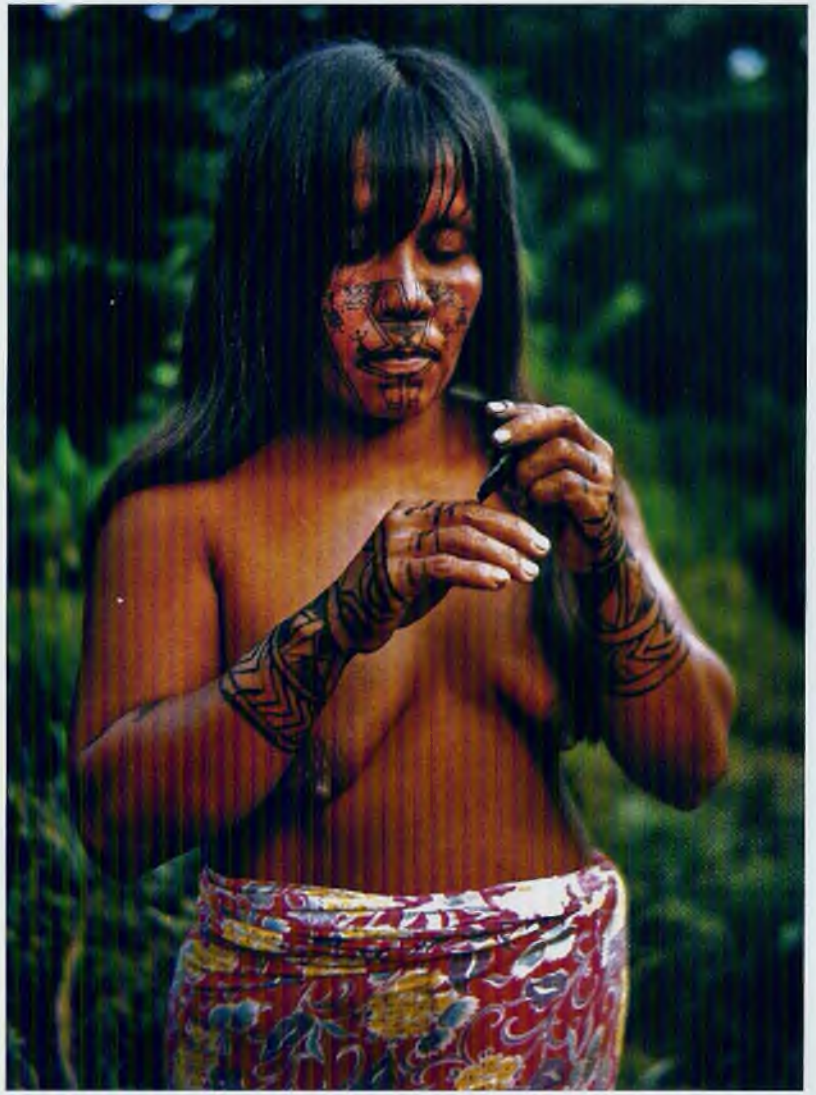

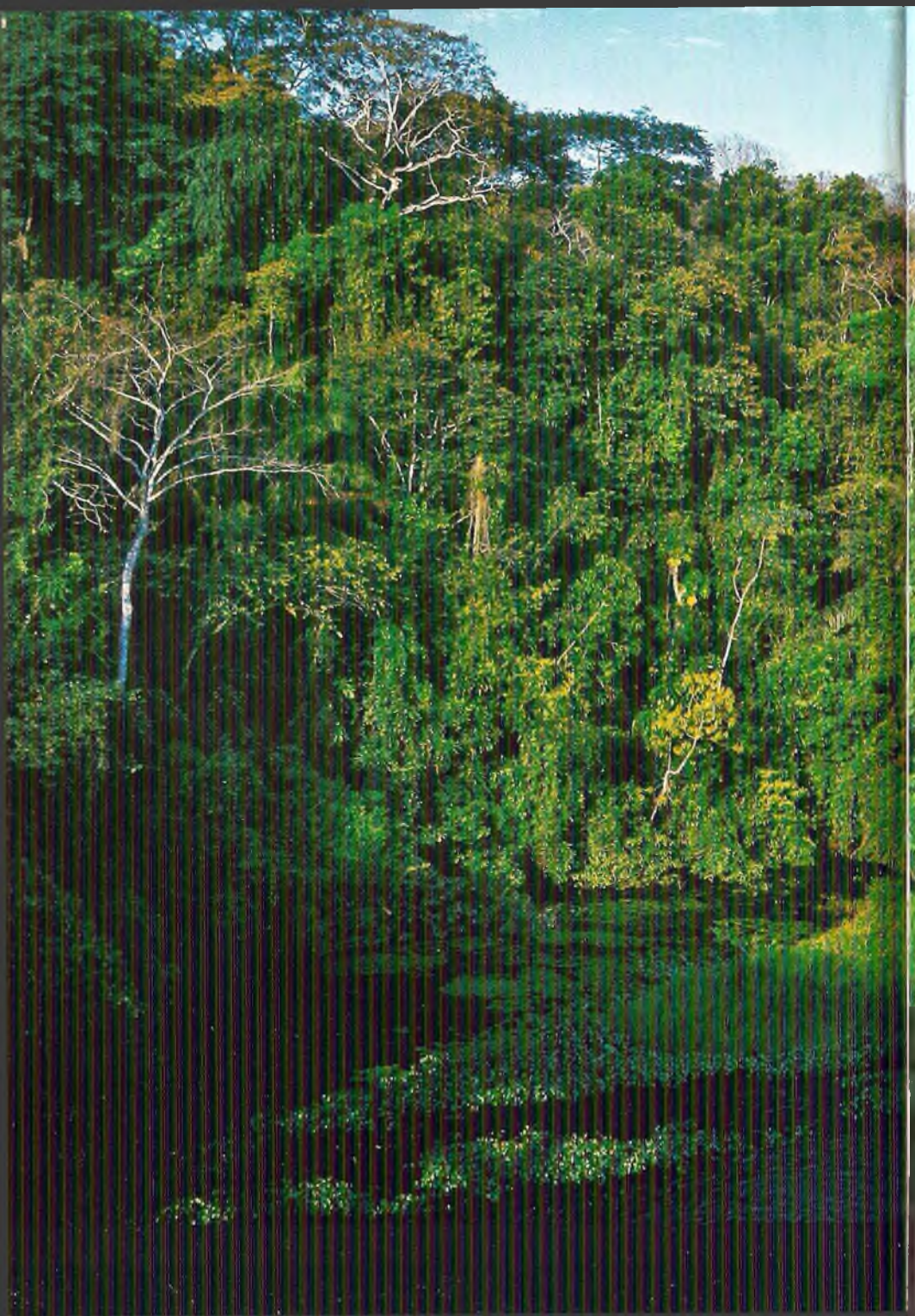

SELWA

Przybyliśmy na miejsce, gdzie miał się odbyć obrządek. Na powalonym w czasie jakiejś burzy pniu siedziała narzeczona. Wokół niej wznosiła się ogromna katedra selwy, tej tajemniczej selwy, w której uparcie utrzymywało się okrutne prawo chcące oddzielić ją od ukochanego.Ta sama selwa udzieliła jej teraz oparcia, chroniąc ją przed zawiścią i przesądami. Batumba była wzruszona, tak jak wszystkie panny młode na całym świecie, gdy wchodzą do kościoła pełnego świateł i muzyki organów. Radosne i melodyjne trele ptaków rozbrzmiewały w lesie niczym marsz weselny.

KIEDY OGIEŃ ZAKOCHA SIĘ W WODZIE

Podczas jednej z moich częstych wizyt we wsi Sinów poznałem młodego, sympatycznego Batimbę. Zaprzyjaźniliśmy się. Razem polowaliśmy w selwie i wiele nocy przesiedzieliśmy razem przy ognisku. I właśnie pewnej księżycowej nocy opowiedział mi o swym zmartwieniu i o miłości do dziewczyny z plemienia Embarów. Obiecałem mu pomóc. Wracając do moich gospodarzy, zabrałem go ze sobą jako przewodnika. W ten sposób mógł po raz pierwszy ujrzeć z bliska swoją wybrankę. Nazywała się jak kwiat, Batumba. Była córką czarownika, starego Megnui, strażnika wiary przodków i znawcy plemiennych obrzędów. Dziewczyna nie pozostawała nieczuła na miłosne sygnały Batimby. I ona go kochała, być może również od pierwszego wejrzenia. Kto wie? Ale od miłosnych spojrzeń do małżeństwa droga daleka. Młodzi wiedzieli, że wodzowie nigdy nie zgodziliby się na ich ślub. Chłopiec prosił mnie, żebym porozmawiał z wodzem jego plemienia, ale małe miał nadzieje na pomyślny wynik tych pertraktacji. Aby być bliżej ukochanej, zranił się głęboko i prosił Megnuiego, by go leczył.

Podczas jednej z wizyt u Sinów napomknąłem o całej sprawie wodzowi i ojcu chłopaka, Urutinu, ale nie zdołałem uzyskać jego aprobaty. Przesąd był mocno zakorzeniony. Wszyscy wierzyli, że z takich mieszanych małżeństw rodzą się potwory, które zmieniwszy się w zwierzęta, będą usiłowały zabić innych Indian. Przede wszystkim własnych dziadków. Matka chłopca była zrozpaczona. Całymi nocami odczyniała uroki, aby wygnać miłość z serca syna. Uciekła się nawet do usług Sucandili, plemiennego czarownika. Wszystko okazało się daremne. Młodzi kochali się i żadne czary nie mogły temu przeszkodzić. Żadne niebezpieczeństwo nie skłoniłoby ich do odstąpienia od małżeńskich planów. Pewnego dnia Batimba zniknął. Wszyscy szukaliśmy go na próżno. Tylko piękna Batumba była pewna, że wróci... I tak się stało. Pojawił się wyczerpany, poraniony,

z gorączkowo błyszczącymi oczyma. Przynosił skarby, dla Indian wprost nieocenione: dwie ostre maczety, czerwone płótno i szklane paciorki na naszyjniki. Poszedł wprost do chaty Megnuiego prosić go o rękę córki. Jak tego wymagał rytuał, pokazał mu własną pierś wymalowaną liniami, które świadczyły o jego zamiarach. Po czym ofiarował mu swe skarby w zamian za przyjęcie go na zięcia. Ojcowskie uczucia są jednakowe na całym świecie, niezależnie od rasy i religii, a Megnui nie mógł patrzeć na łzy córki. Wobec takiej miłości groźba przesądów nic nie znaczyła. Zakochani byli pewni, że z ich czystego uczucia nie może narodzić się potwór, który pożre własnych dziadków. Chcieli założyć rodzinę. Należało jednak wziąć pod uwagę, że inni członkowie plemienia nie tak łatwo zerwą ze starym obyczajem. Dlatego ceremonia zaślubin miała się odbyć w wielkiej tajemnicy.

Zgodnie z tradycją narzeczona, której towarzyszyli ojciec i siostra, ukryła się z dala od wsi, w miejscu znanym tylko jej przyszłemu mężowi. Pozostała tam przez całą dobę, przygotowując się do obrzędu. Batumba wykąpała się w jeziorze, po czym ojciec i siostra wymalowali jej ciało substancją z oleju palmowego i różnego

rodzaju nasion. Następnie starannie uczesali jej czarne włosy grzebieniem z kolców, a na twarz nałożyli rysunek oznaczający radość i pragnienie posiadania licznego potomstwa. W końcu przystroili ją kwiatami i dali do wypicia niesmaczny wyciąg z tytoniowych liści, aby zdawała sobie sprawę ze wszystkich kłopotów, jakie przyniesie jej przyszłość.

Batimba nie miał przy sobie nikogo ze swej wioski. Ze względu na grożący mu sprzeciw przyjaciół i rodziny musiał utrzymać całą sprawę w tajemnicy. Dlatego poprosił mnie, abym reprezentował plemię, którego byłem członkiem (wyróżnienie to spotkało mnie niedawno, mimo mojej białej skóry). Nie mogłem odmówić takiej prośbie. Jednocześnie doskonale wiedziałem, na jakie niebezpieczeństwo się narażam. Mogłem zostać posądzony o zdradę.

Noc spędziliśmy razem z moim przyjacielem nad tym samym jeziorem, nad którym po raz pierwszy ujrzał Batumbę. Zwierzał mi się ze swych niepokojów, z obawy o przyszłość. Wiedział, że nigdy nie będzie mógł wrócić do rodzinnej wsi. Gdyby to zrobił, spotkałaby go tam śmierć. Musiał dla swej miłości poświęcić wszystko, ale nie wahał się. Przez cały następny dzień pościł. Przed świtem drugiego dnia umył się dokładnie i wymalował sobie na ciele znaki odpowiednie dla młodego małżonka. Gdy był już gotów, podniósł changuina (kosz, w którym Indianie przenoszą swoje rzeczy) i razem poszliśmy na spotkanie z jego przyszłą żoną.

Gdy zbliżaliśmy się, chłopak zapowiedział swoje przybycie okrzykiem. Był to rodzaj śpiewu, pełnego tęsknoty i smutku, który w tym odległym zakątku selwy zabrzmiał jak zew miłości. Z daleka odpowiedział mu czyjś głos. Przybyliśmy na miejsce, gdzie miał się odbyć obrządek. Na powalonym w czasie jakiejś burzy pniu siedziała narzeczona. Wokół niej wznosiła się ogromna katedra selwy, tej tajemniczej selwy, w której uparcie utrzymywało się okrutne prawo chcące oddzielić ją od ukochanego. Ta sama selwa udzieliła jej teraz oparcia, chroniąc ją przed zawiścią i przesądami. Batumba była wzruszona, tak jak wszystkie panny młode na całym świecie, gdy wchodzą do kościoła pełnego świateł i muzyki organów. Radosne i melodyjne trele ptaków rozbrzmiewały w lesie niczym marsz weselny. Batimba podszedł do swojej dziewczyny i widząc ją tak piękną, zatrzymał się zachwycony, wykrzykując:

– Kocham cię bardziej niż własne życie!

Po czym zaczął wyjmować z kosza prezenty dla niej i jej rodziny. Były to szklane paciorki, płótno na itipi i skarb doprawdy bezcenny dla młodej pary: dwie łyżki i aluminiowy garnek. Zgodnie z obyczajem najważniejszy podarunek zachował na sam koniec. Był to ślubny pierścień zrobiony przez niego własnoręcznie z łyka palmowego. Biorąc wszystkich na świadków ślubu, ujął rękę ukochanej i włożył jej tę „obrączkę" na palec.

„Pierścień" ten, w kształcie stożkowatej torebki, spleciony jest w taki sposób, że zaciśnięty nie daje się już zdjąć. W ten sposób narzeczeni z plemienia Sinu dają swoim wybrankom ostatnią okazję odmowy. Jeżeli panna młoda naprawdę nie chce wstąpić w związek małżeński, może starać się uciec i pozbyć się pierścienia, zanim zostanie do końca zaciśnięty. Ale Batumba bardzo kochała swego narzeczonego. Nie chciała uciekać. Sama mocno zacisnęła obrączkę i w ten sposób, bez słów, dała wyraz swemu pragnieniu. Następnie Megnui dał młodej parze do wypicia leśny miód zmieszany z sokiem pewnych korzeni, znanych tylko jemu, i podarował im amulet mający oddalać wszelkie zło. Zostaliśmy razem z nowożeńcami, póki słońce nie wskazało południa. To był moment wyznaczony na pożegnanie. Szczęśliwi młodzi ruszyli na spotkanie swego miodowego miesiąca.

Teraz ona miała nieść cały ich dobytek, a poza tym musiała we wszystkim słuchać męża. Nigdy już nie mieli wrócić do swych plemion. Ale Batumba zdawała się tym zbytnio nie przejmować. Zamierzali iść w dół rzeki, póki nie znajdą odpowiednio oddalonego i dogodnego miejsca, gdzie będą mogli zbudować sobie chatę. Mieli zacząć nowe życie, scementowane prawdziwą miłością, która zwyciężyła wszystkie przeszkody.

Dwa lata później miałem okazję ujrzeć znowu te strony. Spotkałem znajomą parę, która już się doskonale zagospodarowała w nowym miejscu. Batumba nosiła w koszu pierwszego syna, który oczywiście bynajmniej nie był potworem, lecz pięknym dzieckiem, owocem miłości.

NA ZIEMIACH KARAIBÓW

„Xtabay, Xtabay sprowadzi na ciebie śmierć..." – śpiewał czyjś głos przy dźwiękach gitary. Mężczyźni, siedząc wokół wielkiego ogniska, z uwagą słuchali legendy. Było to w obozowisku drwali w Hondurasie. W kraju, którego dziewicze lasy dostarczają światu najlepszych gatunków drewna.

Byłem tam z nimi i słuchałem tej pieśni. Żaden z Metysów zamieszkujących głębie tajemniczej tropikalnej selwy nie wątpił, że legenda mówi prawdę. Czy tak było w istocie? Któż to wie! Tyle niewytłumaczalnych rzeczy dzieje się w tym zielonym piekle. Nieraz nawet człowiek cywilizowany zaczyna tracić rozeznanie w realnym świecie i wkracza w królestwo fantazji.

Legenda powiada, że Xtabay to kobieta-jaguar. Nocami, podczas księżycowej pełni, krąży po lasach, szukając ofiary. Napotkawszy samotnego wędrowca albo myśliwego, ukazuje mu się jako uwodzicielska kobieta. A gdy mężczyzna, niczego nie podejrzewając, zbliża się do niej, kobieta zamienia się w jaguara i potężnymi pazurami rozdziera ofiarę na strzępy, aby napić się ludzkiej krwi. Xtabay przybiera też często postać staruszki, żałosnym głosem prosząc o pomoc. Gdy litościwy wędrowiec podchodzi dostatecznie blisko, następuje straszliwa przemiana. „Kiedy pokazuje się księżyc i zjawia się biała jak gołąb czarownica, kiedy jej różane usta rzucają na ciebie urok śmierci..." – Głos starego śpiewaka miesza się z rechotem żab i graniem świerszczy, conocną symfonią selwy.

Nagle gdzieś blisko rozległ się głośny ryk.

– To ona! – krzyknęła jedna z kobiet. Tykwa napełniona pozolem (polewką kukurydzianą) wysunęła się jej z rąk sparaliżowanych strachem.

Dwoje małych dzieci z płaczem ukryło głowy w fałdach matczynej spódnicy. Gitara zamilkła. Przestraszeni mężczyźni jeszcze bardziej przybliżyli się do ognia.

JAGUAR

Pewnego dnia intuicja kazała mi zawrócić w pół drogi do naszego obozu. Dobiegając na miejsce, ujrzałem scenę, która zmroziła mi krew w żyłach. O parę metrów od mojego synka, bawiącego się beztrosko na trawie, czaił się jaguar. Rytmicznie wachlował ogonem, szykując się do skoku na tę pewną zdobycz. Nie miałem ani sekundy do namysłu i nie mogłem chybić...

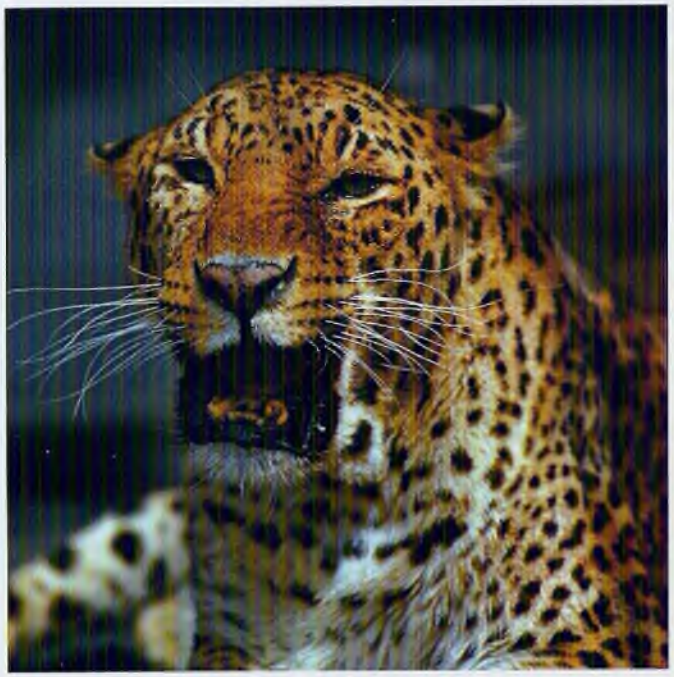

- Xtabay szuka nowej ofiary - powiedział któryś - biedny będzie ten, kto ją teraz spotka sam i bezbronny!

- Tydzień temu zabiła Juana Moralesa z sąsiedniego obozu - dorzucił inny.

- Teraz my ją zabijemy - oświadczyłem, biorąc strzelbę.

- Nie, nie rób tego, bo nie ujdziesz z życiem- ostrzegł Alberto, który zawsze towarzyszył mi w polowaniu.

- Ona jest duchem i żaden pocisk nie może jej zabić. Chyba że to będzie kula oznaczona krzyżem i poświęcona w kościele w niedzielę wielkanocną. Ale nawet w takim wypadku będzie cię dręczyła niepewność, bo nie zdołasz się dowiedzieć, czy masz do czynienia z kobietą, czy z jaguarem.

- Dzikie zwierzę czy zły duch, wszystko jedno, i tak ją zabiję! - powiedziałem, wstając. Biorąc strzelbę i latarkę, dodałem: - Chodźmy, Alberto!

- Poszedłbym z tobą na każdą wyprawę, nawet najbardziej niebezpieczną, ale nigdy nie pójdę polować na zaczarowanego jaguara. Zastanów się i nie idź, to szaleństwo - usiłował mnie powstrzymać Alberto.

- Pójdę sam. Mam wielką ochotę na skórę zaczarowanego jaguara... A ty zostań w obozie, skoro się tak boisz.

Wiedziałem, że zarzut tchórzostwa skierowany pod adresem mężczyzny zahartowanego życiem w selwie to najboleśniejsza i niewybaczalna obelga. Ci ludzie urodzili się i dorastali właśnie tutaj, pośród nieustannych i najróżniejszych niebezpieczeństw. Praktycznie nie wiedzą, co to strach. A jednak Alberto był w tej chwili naprawdę przerażony i nie ruszył się z miejsca.

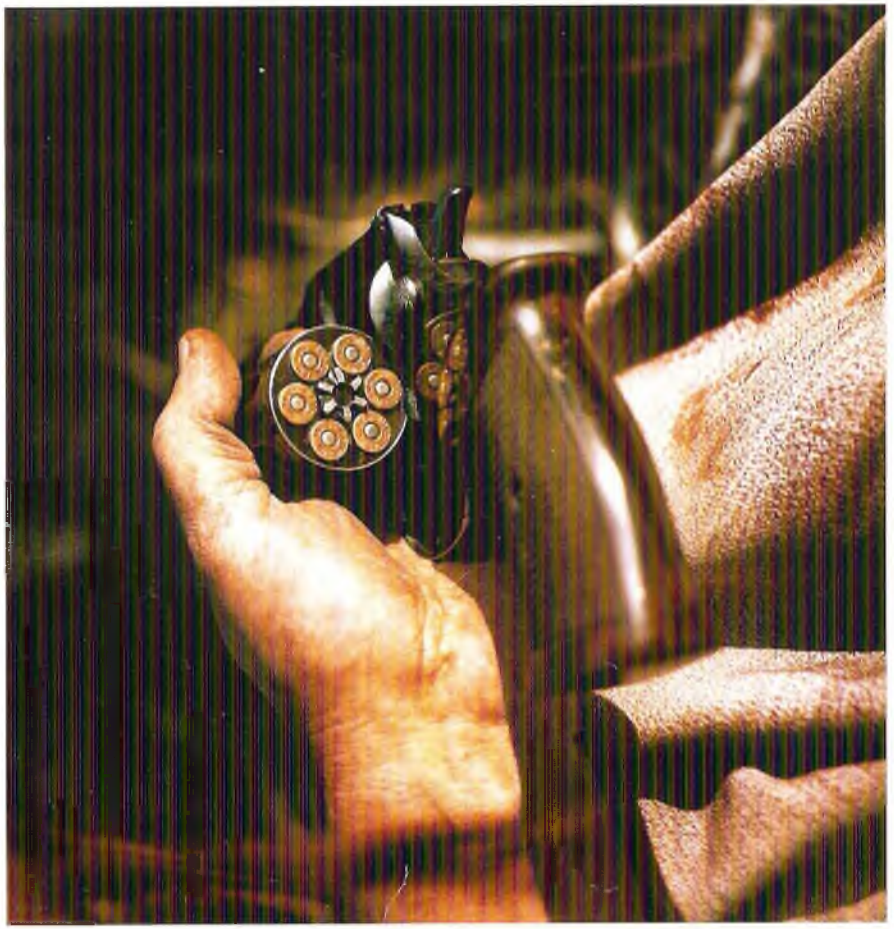

POLOWANIE NA DUCHA ŚMIERCI

Blask mojej latarki przeszywał ciemność i ślizgał się po gęstym listowiu lian i krzaków. Posuwałem się naprzód ostrożnie, z uwagą wsłuchując się w każdy najlżejszy szmer. Raz po raz odwracałem się, aby nie być zaskoczonym od tyłu. Jaguary są bardzo podstępne i często w ten sposób atakują myśliwych. Nagle w odległości kilku metrów usłyszałem ryk. W ułamku sekundy zdołałem dojrzeć potężnych rozmiarów kota, który z szybkością błyskawicy ukrył się w krzakach. Ruszyłem w tę stronę, ale pech chciał, że przeskakując przez zwalony pień, upadłem na ziemię, gubiąc latarkę. Poczułem, że jakiś cień unosi się nade mną. Nie wahając się dłużej, strzeliłem do niego, leżąc jeszcze na ziemi. Przenikliwy ryk niemal mnie ogłuszył. Po czym – absolutna cisza. Zacząłem macać dokoła i wreszcie odnalazłem latarkę.

Wprawdzie nic nie mogłem widzieć, ale wydarzenia musiały potoczyć się następująco. Bestia skoczyła w moją stronę, ale właśnie w tym momencie ja upadłem na ziemię, a leżący pień zasłonił mnie przed jej pazurami. Mój strzał spłoszył ją potem i uciekła przerażona, nie próbując atakować na nowo. O świcie napotkaliśmy w tym miejscu ogromne ślady. Jednak nasze zamiary ruszenia za zwierzęciem spełzły na niczym, bo zaczął siąpić deszcz, który wkrótce zupełnie pozacierał wszystkie tropy. Ten zbieg okoliczności umocnił jeszcze wierzenia tubylców. Przypisywali jaguarowi nadnaturalne właściwości i utrzymywali, że człowiek nigdy nie zdoła go zabić.

Dwa tygodnie potem filmowałem sceny z życia Indian, kilka kilometrów od obozu drwali. Byli ze mną Pierrette i mój syn Ozana, który miał wtedy zaledwie dziesięć miesięcy. Alberto wyruszył do najbliższej wsi po żywność, co oznaczało jego wielodniową nieobecność. Co rano chodziłem na pobliską polanę, gdzie zwykle pasły się jelenie, i zaopatrywałem całą rodzinę w świeże mięso.

Pewnego dnia intuicja kazała mi zawrócić w pół drogi do naszego obozu. Dobiegając na miejsce, ujrzałem scenę, która zmroziła mi krew w żyłach. O parę metrów od mojego synka, bawiącego się beztrosko na trawie, czaił się jaguar. Rytmicznie wachlował ogonem, szykując się do skoku na tę pewną zdobycz. Nie miałem ani sekundy do namysłu i nie mogłem chybić...

Strzał rozniósł się po lesie, kilkakrotnie powtórzony przez echo. I był to strzał celny. Odetchnąłem. Na zielonym trawniku leżał jaguar - nieżywy. Kula trafiła w samo serce. Było to ogromne zwierzę, o potężnych kłach i pazurach. Na pierwszy rzut oka było widać, że zdołałby w jednej chwili zabić byka, a potem pociągnąć go setki metrów. Ciało miał giętkie, same mięśnie, a futro przepiękne, o wielkiej wartości. Wziąłem w ramiona mego synka, ciesząc się, że nie został nawet zadraśnięty. Podbiegła żona, zaalarmowana odgłosem strzału, a kiedy zdała sobie sprawę z tego, co zaszło, wypuściła z rąk drewno, które zbierała na ogień. We trójkę, objąwszy się mocno, staliśmy nad pokonanym jaguarem, legendarną Xtabay.

Po południu wrócił Alberto razem z dwoma tubylcami. Natychmiast zaczęli oglądać wielkiego kota.

- To na pewno ona - powiedział jeden z nich. - Te same ślady.

Wiadomość szybko obiegła okolicę. Wieczorem odwiedzili nas mieszkańcy sąsiedniego obozu. Prosili, żebym nie dotykał zwierzęcia aż do następnego ranka, bo zgodnie z ich wierzeniami o północy miało się ono zamienić w kobietę. Wszyscy czekali w napięciu i obawie, ale o wyznaczonej godzinie jaguar pozostał nieruchomy i nie zaszła w nim żadna zmiana.

Dziś jego piękna skóra zdobi mój gabinet. Dla mnie stanowi tylko myśliwskie trofeum. Dla mieszkańców honduraskiej selwy było to zakończenie starej i fantastycznej legendy.

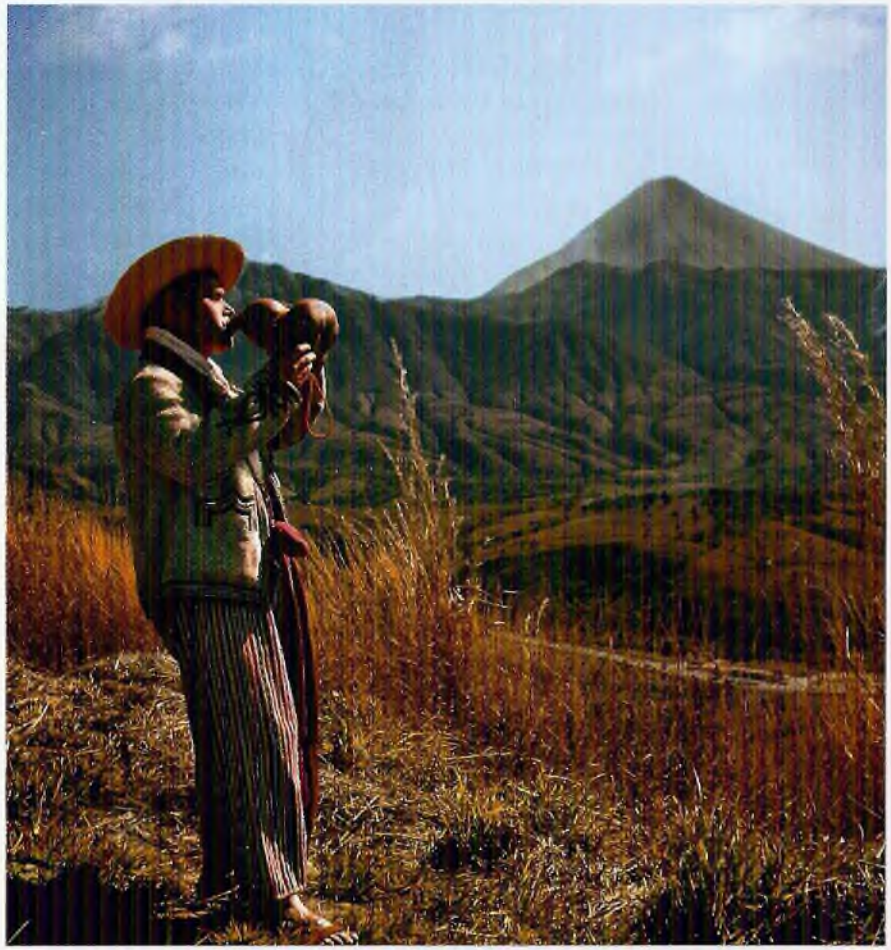

WRÓŻBA OGNIA I WODY

Od dnia świętego Piotra Maria i Alberto wiedzieli, że się kochają. Ale i Jorge nie był dziewczynie obojętny. Na wszystkie zabawy chodzili zawsze we troje. W sercu Marii było wprawdzie miejsce tylko dla jednego, ale nawet ona sama nie wiedziała, którego wybrać. Obaj byli młodzi, przystojni, dobrze sytuowani i wszędzie pierwsi - tak w pracy, jak i w zabawie. Rodzicom Marii było obojętne, czy Alberto, czy też Jorge poślubi ich córkę. Z jednakową radością przyjęliby każdego z nich. Mówili jej:

– Wybieraj, Mario, a jeżeli nie możesz się zdecydować, poproś ogień z wulkanu i wodę z jeziora, aby ci powiedziały, którego wolisz.

Lud gwatemalski od bardzo dawnych czasów hołduje staremu przesądowi. Kiedy ktoś chce się dowiedzieć, czy będzie szczęśliwy u boku ukochanej istoty, powinien zapytać o to dwa przeciwstawne żywioły - ogień i wodę. Zakochani muszą wejść na szczyt góry położonej między wulkanem a jeziorem. Gdy się już tam znajdą, narzeczony ma zagrać na flecie i jeśli echo powtórzy muzykę, wróżba jest „korzystna". Następnie powinni obserwować powierzchnię wody. Gładka jak lustro zwiastuje małżeńskie życie pełne harmonii i pogody. Potem kobieta napełnia tykwę wodą z jeziora i daje pić mężczyźnie: Jeżeli woda jest słodka, oznacza to, że mogą się pobrać, ale jeżeli ma zły smak, lepiej, aby się rozstali.

– Zróbmy próbę - powiedział Alberto. Dziewczyna roześmiała się, szczęśliwa. Pochlebiała jej miłość dwóch mężczyzn.

Postanowili wyruszyć za dwa dni, wszyscy troje. Alberto i Jorge ustalili godzinę, odpowiednią dla próby ognia i wody.

W oznaczonym dniu znaleźli się na szczycie wybranej uprzednio góry. Jorge był pierwszy. Wziął flet i grał na nim dłuższy czas, ale nie miał szczęścia. Echo nie odezwało się. Powierzchnia wody była

pomarszczona, a niebo pokryte ciemnymi chmurami. Następnie napił się wody z jeziora, podanej mu przez Marię, ale wydała mu się gorzka, choć pragnąłby, aby była słodka jak miód.

Teraz przyszła kolej na Alberta. Jak pięknie zabrzmiał jego flet! Wulkan, płonący wiecznym ogniem, odesłał mu tę muzykę zamienioną w echo, brzmiące słodko niczym głos aniołów. Pozostałe wróżby też okazały się pomyślne. Jezioro było spokojne, o pięknej szmaragdowej barwie, a lekki wietrzyk rozproszył chmury, zza których wyjrzało czyste, błękitne niebo. Miłość Jorgego do Marii nie była prawdziwą miłością, ale Alberto kochał naprawdę! Wszyscy troje byli teraz zdania, że to właśnie Alberto powinien poślubić Marię.

W dzień ślubu przybyli goście, w najlepszych strojach, pięknie przybranymi wozami zaprzężonymi w woły. Wozy pełne były prezentów. Po południu wszyscy poszli do małego kościoła w tej samej wiosce. Na czele pochodu kroczył ojciec Marii, najgodniejsza osoba w tym dniu. Trzymał w dłoniach zapaloną świecę przybraną różami. Za nim szła matka Alberta, również ze świecą. Była ubrana w tradycyjny strój, używany tylko na wielkie okazje. Za nimi postępowali parami członkowie najzacniejszych rodzin zaproszonych na wesele. Wszyscy mieli świece, aby tym skuteczniej modlić się o szczęście dla nowożeńców.

Zaraz po kościelnej uroczystości młodzi wyszli z kościoła, a z nimi rodzina i goście z koszami pełnymi ślubnych podarków. Ojciec chrzestny włożył w usta panny młodej kawałek chleba. Ten symboliczny gest oznaczał, że w domu młodych małżonków nigdy nie może zabraknąć jedzenia. Zaczęło się wesele. Było mnóstwo potraw i napojów. Tańczono z zapałem najróżniejsze tańce z tych okolic. Gdy zbliżała się północ, młodzi zgodnie z obyczajem zostali zamknięci w umeblowanym pokoju. Zostawiono tylko mały otwór, przez który podawano im jedzenie. Przebywali tam przez trzy dni i trzy noce, podczas których w całym domu goście w dalszym ciągu jedli, tańczyli i bawili się.

Po pewnym czasie dowiedziałem się, że Maria i Alberto żyją bardzo szczęśliwie i mają piękne dziecko. Wróżba wody i ognia sprawdziła się!

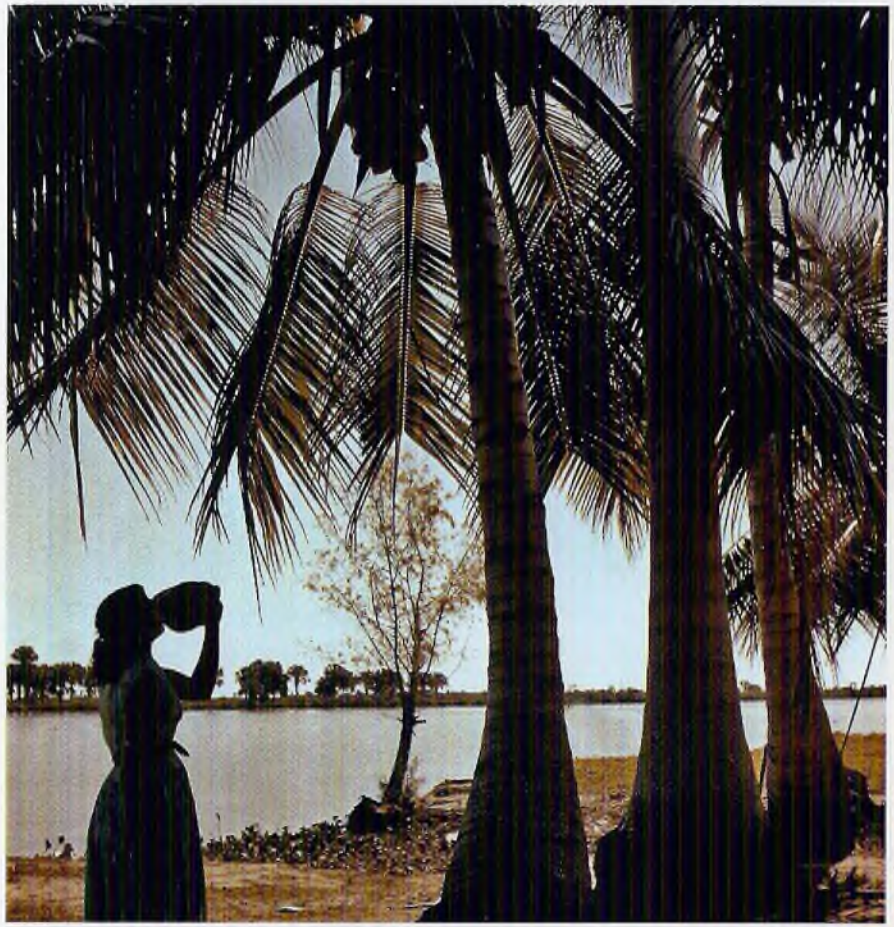

WYSPA KOBIET

- Już płyną?

- Nie powinni się spóźniać...

- Rosa mówiła, że dziś rano widziała żagle na północnej stronie, ale ona zawsze widzi to, czego nie ma!

- W zeszłym roku zakochała się w tym chudym Joachimie, co ma łódź „Drake". I teraz nie może się doczekać, kiedy go znowu zobaczy.

- Mówiła, że on ją zabierze na wyspę Cozumel. Czy to prawda?

- Lepiej, żeby mnie zabrał - westchnęła młoda dziewczyna o długich czarnych włosach.

- Macie ją! Już byś chciała go zdobyć, smarkulo... Matka nie wypuści cię z domu, kiedy tu będą mężczyźni. Kto będzie dla niej łowił ryby, jeżeli ty odejdziesz?

- Ucieknę, nawet gdyby mnie chciała bić. W tym roku pójdę na zabawę w święto koguta, żeby nie wiem co...

- Na zabawę może i pójdziesz, ale... czy potem mężczyźni zabiorą nas ze sobą?

- O, patrzcie, tam widać żagiel.

Dziewczęta wpatrywały się w horyzont. Na tle błękitnego nieba majaczyły sylwetki żaglowców. Był to oczekiwany dzień. Kobiety z wyspy przez cały rok o nim marzyły. Przybywali mężczyźni!

W 1518 roku trzema statkami z Kuby wyruszył Francisco Hernandez de Córdoba. Udawał się na poszukiwanie niewolników do pracy w kopalniach. Wyprawa trafiła na złą pogodę, okręty musiały stawiać czoło silnym i nieustającym wiatrom, które spychały je z wyznaczonej trasy i unosiły w pobliże wybrzeży Jukatanu.

- Ziemia na horyzoncie! - krzyknął któregoś ranka pewien marynarz, widząc zarysowujące się kontury wyspy.

- Dziękujmy Bogu! - wykrzyknął kapitan i dodał: - Ale jak my tam dotrzemy?

Fale rozbijały się o pierścień koralowych ławic otaczający wyspę w ten sposób, że nie mógł się do niej zbliżyć żaden statek ani nawet lekka szalupa. Przez całe popołudnie okręty krążyły dokoła, szukając miejsca, w którym można by przybić do brzegu. Wyspę porastały piękne palmowe lasy. W końcu natrafiono na wygodną plażę. W jej pobliżu widać było wiele chat. Łodzie z uzbrojonymi ludźmi skierowały się ku wybrzeżom, ale powitał je deszcz strzał. Konkwistadorzy ze zdumieniem zobaczyli, że ich przeciwnikami są nagie, długowłose kobiety, bardzo zręcznie posługujące się bronią.

- Do diabła, zdaje się, żeśmy się znaleźli w nie lada opałach! - mruknął jeden z kapitanów na widok wypływającej na zatokę flotylli czółen, których załogę stanowiły dobrze uzbrojone kobiety. Flotylla ta zamykała statkom odwrót.

W bitwie zginęło wielu Hiszpanów. Ci, co zachowali życie, zostali wzięci do niewoli przez wojownicze niewiasty, które zamierzały złożyć ich w ofierze swej bogini Aixchel.

Biali konkwistadorzy mieli być zabici, ale przedtem, zgodnie ze zwyczajem, winni byli przyczynić się do tego, aby życie na wyspie nie wygasło. Odbyła się wielka uroczystość. Więźniowie musieli tańczyć z przywiązanymi do głów żywymi kogutami, którym kobiety z wyspy rzucały ziarna kukurydzy. Jeżeli ptak zjadał ziarno, egzekucję odkładano, a więzień, dobrze pilnowany, miał żyć z jedną z kobiet. W przeciwnym wypadku poświęcano go bogini Aixchel. Bogini ta miała dwa różne oblicza. Raz występowała jako wojownik, z bronią i z tarczą, a raz jako uwodzicielska kobieta, pełna niewieścich uroków.

Silni i brodaci Hiszpanie spodobali się mieszkankom wyspy, a koguty chętnie jadły ziarna kukurydzy. Złożenie ofiar odkładano z dnia na dzień. Widok pięknych kobiet przyciągnął resztę mężczyzn ze statków. Przybili do brzegu, dobrowolnie oddając się w słodką niewolę. Mimo że zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa. A poza barierą koralowych ławic zostały okręty, opuszczone i milczące, kołysane morską falą. Konkwistadorzy musieli ulec innego rodzaju konkwiście!

- Gdzie są moje pantofle?

- Pozol... szybko podawajcie pozol, już przypływają... (Pozolem nazywają tutaj napój z mleka kokosowego, kakao, miazgi kukurydzianej i cukru).

- Zabrałaś mi moje wstążki!

- To moja bluzka, nie bierz jej!

- Sama ją haftowałam, nie myśl sobie, że właśnie dzisiaj ci ją dam!

- Mamo, pozwól mi wyjść...

- Pozwól mi podawać pozol...

W małej i spokojnej wsi na wyspie kobiet zawrzało od krzątaniny zaaferowanych dziewcząt. Jedne ubierały się powoli w najlepsze, wyhaftowane z ogromnym mozołem stroje. Wkładały klejnoty i buciki przeznaczone na specjalne okazje. Inne, bardziej niecierpliwe, szybko kończyły toaletę i biegły na przystań, do której miały przybijać łodzie rybaków z sąsiednich wysp. Było to wielkie święto dla kobiet na tej karaibskiej wysepce.

Minęły wieki od owego dnia, gdy Francisco Hernandez de Córdoba uległ podbojowi tutejszych kobiet. Pogański obrządek poświęcania mężczyzn bogini Aixchel został zastąpiony przez obrzędy kościoła chrześcijańskiego. Nagość karaibskich kobiet zakryto barwnymi ubiorami w stylu będącym mieszaniną hiszpańskiego i yucateca. Chodząc do szkoły, dziewczynki uczą się czytać i pisać. Znają radio i elektryczność. Ale stare obrzędy i obyczaje odżywają co roku podczas tych świątecznych dni. I ciekawa rzecz, mimo iż mężczyźni mają na równi z kobietami prawo do zamieszkania na wyspie, to jednak liczba kobiet była tu zawsze nieporównanie większa.

Wyspa, leżąca z dala od morskich szlaków, żyje jakby własnym życiem, niemal niezależnym od otaczającego świata. Ciepłe Morze Karaibskie charakteryzuje się obfitością ryb i innych stworzeń jadalnych. Wielkie palmowe lasy dostarczają smakowitych kokosów i kopry, stanowiącej surowiec dla przemysłu.

W określonej porze roku morskie żółwie gromadnie wychodzą na plaże, aby składać jaja, i tubylcy mogą z łatwością je chwytać. Z twardej skorupy robią grzebienie i brosze, tak cenione w ubiegłym stuleciu przez hiszpańskie kobiety. Jeśli chodzi o organizację społeczną, to nadal panuje tu matriarchat. Każda kobieta ma w swym domu stale płonący w ogromnej muszli z olejem palmowym symboliczny ogień. Wykonują też kobiety wszelkie ciężkie prace: łowią ryby i suszą je, łapią żółwie, przygotowują koprę na

ŻÓŁWIE MORSKIE

W określonej porze roku morskie żółwie gromadnie wychodzą na plaże, aby składać jaja, i tubylcy mogą z łatwością je chwytać. Z twardej skorupy robią grzebienie i brosze, tak cenione w ubiegłym stuleciu przez hiszpańskie kobiety.

sprzedaż. A kiedy rybacy z sąsiednich wysp w swym corocznym pościgu za ławicami ryb zbliżają się tutaj, nadchodzi czas wielkiego święta. Przerywa się wszelką pracę i jak przed wiekami, tańczy się taniec z kogutem.

– Mam dwa koguty, od trzech dni nie daję im jeść. Zobaczysz, jak będą dziobać kukurydzę! – powiedziała Elena do przyjaciółki.

– Chyba nie ty jedna wpadłaś na taki pomysł. Zdaje się, że wszystkie koguty we wsi głodują od dłuższego czasu...

– O czym rozmawiacie, ślicznotki? – pyta młody rybak, podchodząc do dziewcząt.

– O tobie – odpowiada jedna z nich.

– Jak ci na imię? – pyta druga.

– A ja bym cię chciała prosić o parę włosów z twoich wąsów. Włożę je do medalionu – przerwała Celia, zbliżając się do chłopca z dzbanem pozolu.

– Jesteś tu pierwszy raz... Więc musisz wiedzieć, że powinieneś ulać na ziemię trochę pozolu, aby bogini Aixchel pozwoliła twojemu kogutowi chwytać w locie ziarna, które będziemy rzucały – dodaje Rosa.

Wszystkie się śmieją, ale każda myśli o tym, jak zdobyć tego chłopca. W tym roku nie przypłynęło wielu mężczyzn, nie starczy dla wszystkich. „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje", mówi przysłowie. Trzeba się spieszyć i dokonywać podboju, zanim inne dziewczęta zagarną dla siebie przystojnych i młodych. Wychodzi procesja matron. Witają gości, ofiarowując im muszle, w których płonie ogień – symbol pokoju – i tykwy napełnione pozolem. Zaimprowizowana orkiestra gra wesoło. I oto na polanie pośród palm ma się zacząć taniec z kogutem.

– Daję ci bardzo dobrego koguta – śmieje się Rosa, przywiązując Joachimowi koguta do kapelusza – ale zabierz mnie stąd, tak jak to obiecałeś w zeszłym roku.

– Jak tylko skończymy łowić, sam po ciebie przypłynę, obiecuję!

Ich usta zbliżają się do siebie. Rosa zapomina o tym, że obietnice bardzo często nie są spełniane. Ale dziś jest dzień radości, dzień tańca z kogutem. Nie trzeba myśleć o tym, co będzie jutro. Bogini Aixchel ma dziś twarz kokietki i żąda ofiary miłości.

Zaczyna się taniec. Kobiety, stojąc w wielkim kręgu, śpiewają starą pieśń Majów pełną miłosnych obietnic. Teraz podchodzą mężczyźni, każdy z kogutem przywiązanym do kapelusza. Kobiety kokietują ich, nie pozwalając jednak wejść do środka koła, a następnie rzucają kogutom ziarna kukurydzy. Wygłodzone ptaki usiłują łapać je w locie. Rozlega się śmiech i żarty, bo czasem koguty starają się uciec z kapelusza, poszukując wygodniejszego sposobu zaspokojenia swego apetytu. Kto zgubi koguta, odpada z gry i musi wyjść z koła. To samo dotyczy tancerza, którego kogut nie chce jeść.

– Jedz, jedz, kogutku – powtarzają kobiety. – Jedz, zajadaj, aby w tym roku był dobry połów, aby palmy dały dużo kokosów i aby urodziło się dużo zdrowych dzieciaków... Jedz, kogutku, jedz...

I tak oto potworzyły się pary. W końcu zostaje już tylko jeden kogut, to znaczy jeden mężczyzna... i dużo kobiet. Mężczyzna udaje, że chce umknąć, ale kobiety go otaczają, nie pozwalają uciec. Każda na swój sposób stara się go zdobyć.

Zapada tropikalna noc, pełna słodkich słów i obietnic wiecznej miłości. Słów i obietnic, które wietrzyk unosi daleko poza białą linię piany znaczącą brzeg raf koralowych. Tam, gdzie zaczyna się inny świat, nieznany i niemal legendarny dla mieszkanek wyspy.

Za parę dni mężczyźni odpłyną. Kobiety zostaną same pośród ogromu morza. Tego morza, które wciąż śpiewa im piosenkę o miłości i nadziei, przyrzekając, że za rok rybacy powrócą, by znów stanąć do tańca z kogutem. A one zostają tutaj, niewolnice w swym maleńkim raju na niezapomnianej wyspie kobiet!

W MEKSYKU

- Będzie burza - powiedział Ramón, młody meksykański antropolog.

- Tlaloc jest hojny w tym roku, chociaż nie dostaje już swej uświęconej ofiary - dodałem z uśmiechem.

- Kto wie! Być może nawet dziś, w epoce atomu i astronautyki, zdarza się, że w dalekich górskich wioskach Meksyku umiera dziecko złożone w ofierze bożkowi deszczu, aby ten zesłał większy urodzaj na pola kukurydzy...

Cały ranek chodziliśmy po ruinach Teotihuacan, leżących w pobliżu miasta Meksyku na wysokości 2500 metrów, byliśmy więc dosyć zmęczeni.

Ramón dał mi znak ręką i usiedliśmy na jednym z kamiennych bloków rozrzuconych przed wielką świątynią Quetzalcóatla. „Ten bóg, biały i z brodą - pomyślałem - wielki nauczyciel rasy tolteckiej, którego wizerunek przystrajano muszlami morskimi na znak, że pochodzi z morza... Czyżby przedstawiał pierwszego białego człowieka, który wylądował na ziemiach Nowego Świata? Człowieka, któremu być może dawni Meksykanie przypisywali boski charakter?"

Ramón, jakby odgadując moje myśli, wyjaśnił:

- Quetzalcóatl pojawił się tutaj na długo przed przybyciem białych. Jest to bóstwo pochodzące z kultury tolteckiej, które później przeszło do religii Azteków. Teotihuacan zaś był głównym ośrodkiem kulturalnym i religijnym Tolteków. Było to, jak głosi legenda, „miejsce, w którym bogowie stworzyli Słońce".

- Jak to?

- Skoro to pana interesuje, odpocznijmy tu chwilę, a ja przez ten czas opowiem panu tę legendę.

TEOTIHUACAN („TAM, GDZIE BOGOWIE STWORZYLI SŁOŃCE")

Zanim na świecie zaistniał dzień, bogowie zebrali się w tym właśnie miejscu, które nazywa się Teotihuac. Mówili jeden do drugiego: „Kto podejmie się oświetlenia Ziemi?" Odpowiedział pewien bogaty bóg imieniem Tecuciztecatl:

– Ja się tego podejmę!

– A kto cię zastąpi, kiedy się zmęczysz? – zapytali inni bogowie.

Był wśród nich pewien ubogi bożek, mały i nieśmiały, który prawie się nie odzywał. Nazywał się Nanahuatzin.

– Ty oświetlisz Ziemię, niezdaro! – powiedzieli mu.

– Przyjmuję pokornie to polecenie, niech tak będzie! – wyjąkał biedak w odpowiedzi.

Po czym obaj przystąpili od odbywania pokuty. Ofiarowali innym bogom podarki. Wszystko, co dawał Tecuciztecatl, było bogate i cenne: pióra quetzala mieniące się kolorami, drogie kamienie i ciężkie kule ze złota. Natomiast biedny Nanahuatzin nie miał nic. Dawał więc w prezencie kolce agawy farbowane własną krwią i zieloną trzcinę zamiast gałęzi. Był oszołomiony, brakło mu sił. Obaj bogowie zbudowali sobie piramidy – potężny Tecuciztecatl wielką, a biedny Nanahuatzin małą. Po czterech dniach i czterech nocach wszyscy bogowie zebrali się na szczycie góry i rozpalili wielkie ognisko.

– Teraz musisz wejść do ognia – powiedzieli potężnemu Tecuciztecatlowi, który miał na sobie bogaty płaszcz z najcieńszej bawełny, ozdobiony cennymi piórami.

Ale płomień był tak gorący, że możny bóg nie odważył się weń wskoczyć. Po kilku nieudanych próbach bogowie rozkazali Nanahuatzinowi:

– Wobec tego wejdź ty, przygłupku.

Biedny Nanahuatzin usłuchał polecenia. Zamknąwszy oczy, rzucił się w ogień. Po chwili dało się słyszeć skwierczenie palonego ciała. Wtedy Tecuciztecatl, powodowany współczuciem, skoczył w płomienie, aby go uratować, ale i on także spalił się żywcem. Za nimi wskoczyły jaguar i orzeł. Dlatego orzeł ma odtąd pióra jak gdyby osmalone, a jaguar ciemne plamy na futrze. Ale nikt nie zdołał uratować bogów, którzy chcieli dać światu blask dnia.

Nazajutrz wszystkie bóstwa niecierpliwie oczekiwały pojawienia się Tecuciztecatla i biednego Nanahuatzina. Na próżno jednak spoglądano w kierunku północy i południa. Ci, którzy patrzyli na wschód, zorientowali się wkrótce, że oczekiwani przez nich bogowie ukażą się właśnie tam, bowiem niebo zaczął rozjaśniać blask jutrzenki.

– O tam, tam się pojawią! – krzyknęli.

I oto powoli zaczął się wyłaniać zza horyzontu czerwonawy krąg, który swymi jaskrawymi promieniami oślepiał patrzących. Z ogromnym zdumieniem bogowie rozpoznali w tej gwieździe życia oblicze biednego Nanahuatzina. Ale jakże się zmienił! Jaki wspaniały blask bił od niego! Zaś w chwilę później wyszedł Księżyc i wszyscy bogowie stwierdzili, że ma on twarz pięknego i bogatego Tecuciztecatla. I on również promieniał światłem, równie mocnym jak Słońce.

– Och! – powiedzieli bogowie – jak to być może? Czy to dobrze, żeby obaj świecili razem, i to jednakowym blaskiem?

Długo zastanawiali się nad tym i wreszcie podjęli decyzję.

– Niech się stanie tak, a nie inaczej! – zawyrokowali.

I jeden z nich wybiegł na szczyt i rzucił Tecuciztecatlowi w twarz królika, na znak, że uważają go za tchórza. Księżyc zbladł ze wstydu i cofnął się pod horyzont. Można było widzieć tylko jedną stronę jego twarzy, i to jedynie nocą. Od tej pory zawsze ucieka on, gdy pokazuje się Słońce. Wstydzi się bowiem i nie chce spojrzeć mu w oczy.

– Musimy dać wieczne życie Słońcu i Księżycowi, aby zawsze miały siły do wędrówki po niebie – orzekli bogowie.

– Musimy umrzeć i oddać im naszą gorącą krew i nasze bijące serca... – dodało wielu z nich.

I bóg Powietrza podjął się tego zadania. Zabił ich wszystkich i wyrwał im serca na ofiarę dla Słońca i Księżyca. Po czym wysłał w ich stronę silny wiatr, który zaniósł tę krwawą ofiarę na sam szczyt nieba, dając w ten sposób wieczne życie dwóm ciałom niebieskim oświetlającym Ziemię.

Grożąca nam burza przeszła bokiem i znów ukazało się na niebie oblicze Nanahuatzina, nieśmiałego, lecz szlachetnego boga, który śpieszył ułożyć się do snu wśród czerwonawych chmur. Noc zapadała szybko. Ramón i ja podnieśliśmy się, aby wrócić do meksykańskiej stolicy, która połyskiwała jak gwiazda blaskiem swych neonów, obojętna na bogów światła. A Tecuciztecatl, który po milionach lat ciągle jeszcze wstydzi się i nie chce ukazać swej twarzy boga potężnego i możnego, przyświecał nam w drodze powrotnej.

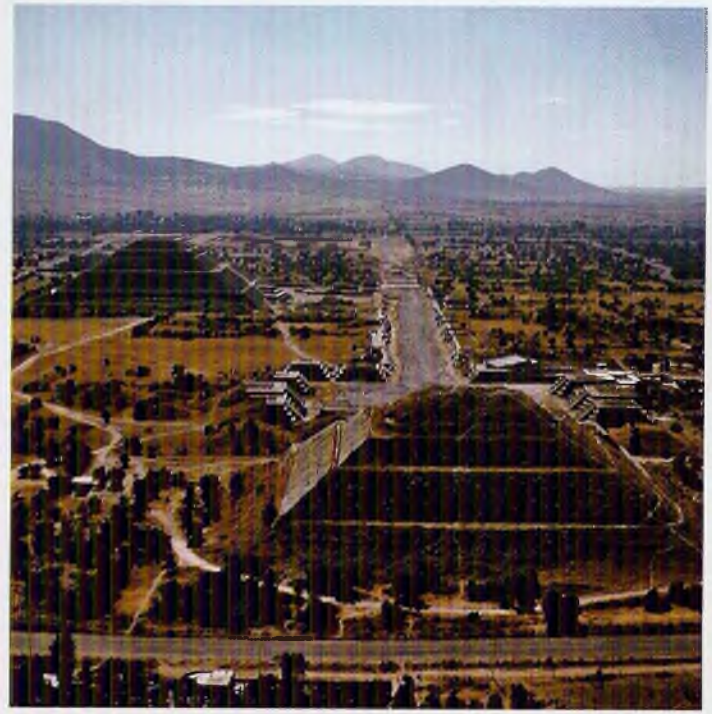

W poszukiwaniu Aztlanu

Ostatnią grupą z rasy Nahua, przybyłą do Valle Central w Meksyku, byli Aztekowie. Przyszli oni z północy, być może z terytorium, które obecnie należy do Stanów Zjednoczonych. Legenda głosi, że kolebką ich była ziemia Siedmiu Wzgórz, czyli Aztlan, a wiódł ich tutaj bóg Huitzilopochtli, który inspirował wielkiego kapłana Mexi. Podczas długiej, trwającej ponad osiemdziesiąt lat wędrówki przemierzali tereny zamieszkiwane przez różne plemiona i wszędzie pozostawiali ślady swej kultury. Można je ujrzeć całkiem wyraźnie, na przykład w okolicy jeziora Michoacan. W regularnych odstępach czasu Aztekowie zatrzymywali się, obsiewali pola i czekali na zbiory, aby zapewnić sobie zapas pożywienia na dalszą wędrówkę. Na koniec, po wielu krwawych bitwach, zdołali osiąść na stałe na terenach, gdzie obecnie znajduje się miasto Meksyk, nad jeziorem, które tam było w owych czasach.

Podbiwszy Tolteków zawładnęli w 1193 roku n.e. Teotihuacanem – ich świętym miastem. Przyswoili sobie w dużym stopniu dawną kulturę tej doliny i zaczęli czcić Tlaloca i Quetzalcoatla na równi z własnym bogiem Huitzilopochtli. Nigdy całkiem nie zapomnieli o kraju swego pochodzenia. Po latach wielki król Azteków Montezuma chciał dociec, gdzie leży Aztlan. Wezwał swych najwyższych kapłanów i wojowników, kazał im szukać dawnej ojczyzny. Dostojnicy, posłuszni królewskiemu rozkazowi, udali się w górskie okolice, gdzie obecnie znajduje się Molinalco. Tutaj, zwróciwszy się do potężnych bóstw, za pomocą czarów zmienili się w jaguary i orły. I tak oto wyczulony instynkt pozwolił im odnaleźć zapomniane drogi i trafić do Aztlan. Wyżłobiwszy jaskinię w skale, zebrali się tam na rycerską naradę. Teraz trzeba było użyczyć siły orłu, aby zdołał ulecieć ponad ziemią. „Kto odda swoje serce, aby orzeł mógł latać"? – zapytał najwyższy kapłan. Ale żaden z dostojników nie chciał dobrowolnie oddać życia. Zabili więc dwustu więźniów i niewolników spośród ludu i ofiarowali ich krew i serca bogu Huitzilopochtli. Ale bóg uznał ofiarę za niewystarczającą i wpadł w gniew.

„To wy, szlachetni rycerze, powinniście przede wszystkim oddać życie dla dobra waszego ludu – powiedział. – A skoro nie zrobiliście tego, ukarzę was i zamienię w kamień, abyście nigdy nie mogli odnaleźć drogi, której szukacie".

Po długim marszu zdołałem wreszcie dotrzeć do świątyni w Molinalco, ukrytej wśród wysokich gór. W Jaskini Rycerskiej mogłem podziwiać mistrzostwo, z jakim wyrzeźbione zostały w wapiennej skale postacie zamienionych w jaguary i orły dostojników, którzy nie chcieli oddać życia za swój lud. Do dziś istnieje jeszcze dół, który stale napełniano żywymi sercami wyrwanymi z piersi ofiar: niewolników, żołnierzy albo więźniów pochodzących z wysokich sfer społecznych. Ale kamienny orzeł nigdy nie zerwał się do lotu, aby wskazać Aztekom drogę powrotną do rodzinnego kraju.

W wiele lat później spełniła się przepowiednia Quetzalcóatla. Przyszedł biały człowiek i podbił niezwyciężony dotychczas Tenochtitlan, zmieniając w niewolników szlachetny naród aztecki.

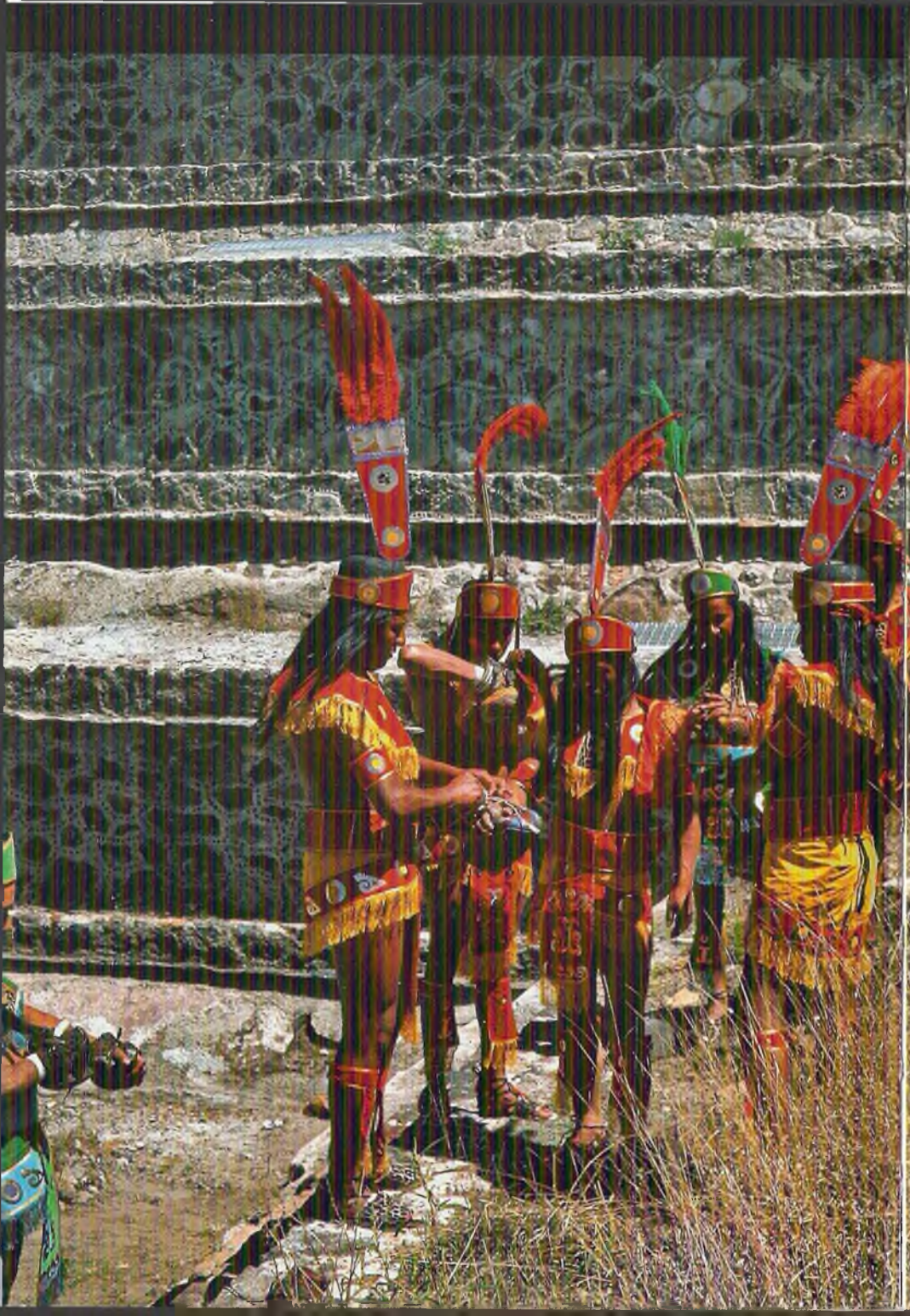

PELOTE

Starożytny odpowiednik naszego futbolu, znany wszystkim prekolumbijskim ludom Ameryki Środkowej. Piłka była ciężka, bo ulana z kauczuku. Wagą przypominała współczesne piłki lekarskie.

Dwie drużyny złożone z 2–3 zawodników grały do pierwszego „gola” – chodziło o przerzucenie piłki przez kamienną obręcz umieszczoną kilka metrów nad ziemią (na murze). Odbijać wolno było wszystkimi częściami ciała z wykluczeniem dłoni i stóp.

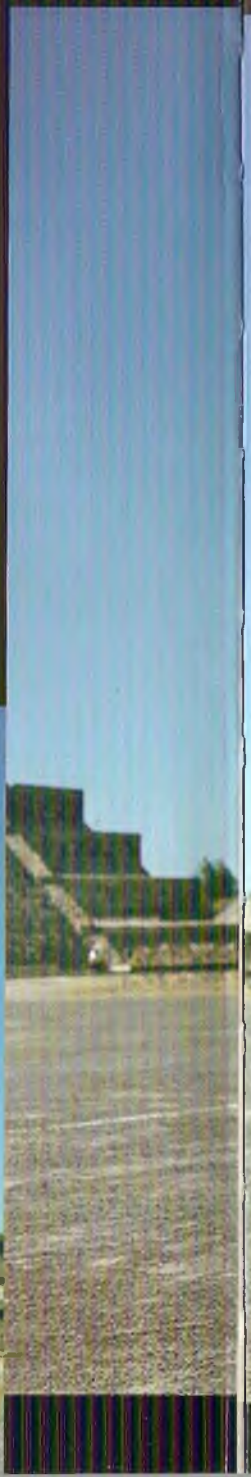

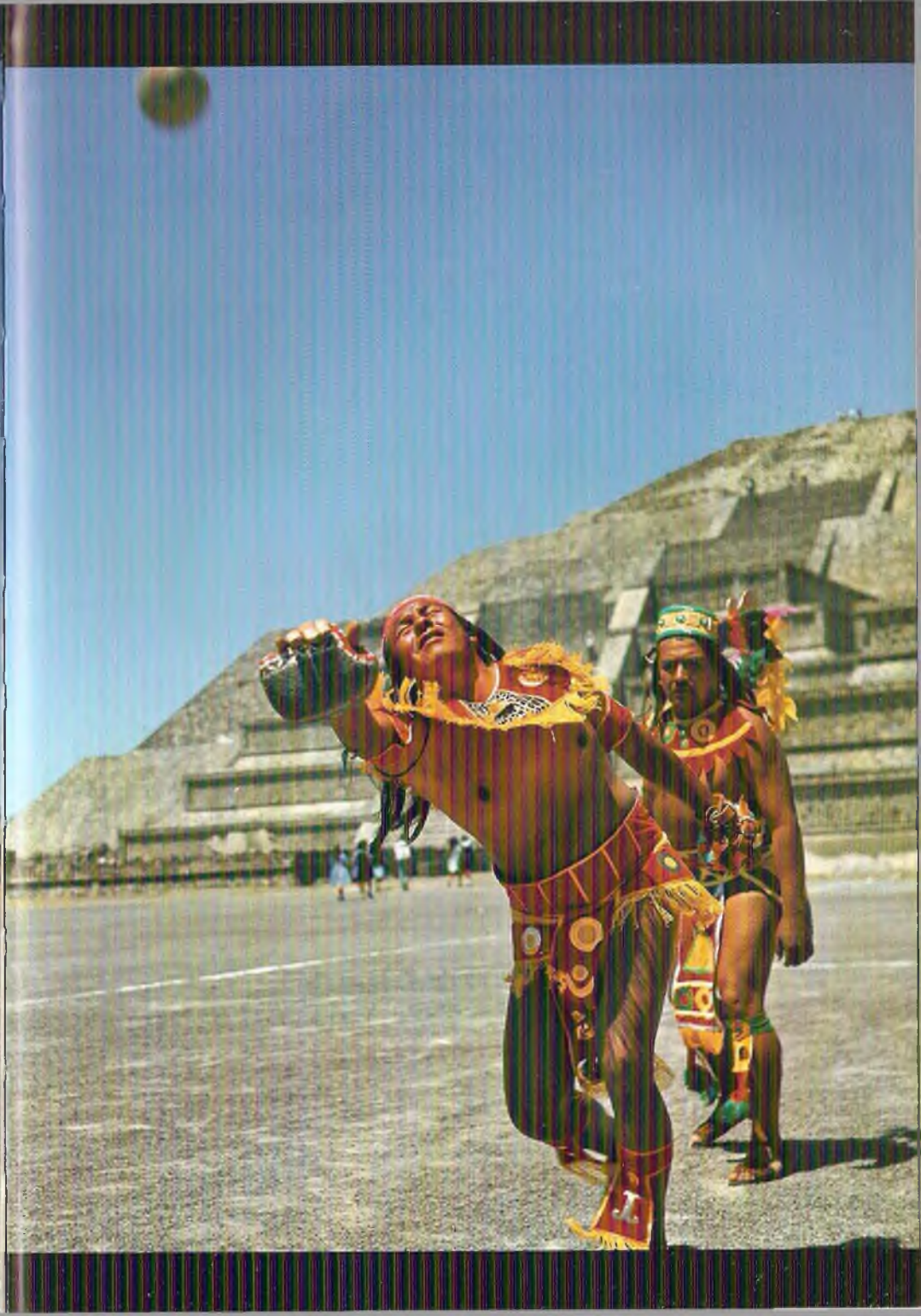

LEGENDA O HENEQUENIE

Niektórzy powiadają, że henequen podnosi jakość zbiorów na świecie i niewątpliwie jest w tym sporo racji, gdyż używa się go do mechanicznych żniwiarek, zarówno w Ameryce, jak w Europie czy Azji. Wzrost produkcji henequenu na początku XX wieku spowodował niebywały rozwój gospodarczy Jukatanu i pozwolił na sfinansowanie budowy linii kolejowych. Bogactwo, którego był źródłem, zrodziło rewolucję na Półwyspie Jukatańskim oraz pałace i pomniki w Meridzie. Do portu u wybrzeży Jukatanu przybijały statki najróżniejszych bander. Przywoziły uprzywilejowanym kapitalistom i handlarzom złoto i przedmioty zbytku w zamian za cenne włókno.

Ale reforma rolna odebrała henequen właścicielom ziemskim, oddając go tym, którzy spędzają dnie na ciężkiej pracy przy jego uprawie. Wkrótce też spółdzielnie posiadające nowoczesne maszyny osiągnęły zyski ze sprzedaży włókna. Wzrósł dobrobyt i podniosła się stopa życiowa robotników. Ale wielki rozwój przyniósł upadek. Tysiące sadzonek agawy zostały zabrane z terenów Mayab, aby przynieść bogactwo innym narodom. W krajach Ameryki Środkowej, w Brazylii, a nawet w krajach afrykańskich zaczęto obsadzać pola długimi rzędami pożytecznej rośliny odkrytej przez Zamnę. Agawa, sprzedana za granicę, zwróciła się przeciw własnej ojczyźnie. Zaczął się kryzys, robotnik rolny został pognębiony przez własny henequen. Ale dziś, na szczęście, mimo wszelkich przeciwności, nowe słońce nadziei zaczyna jaśnieć nad jukatańskimi plantacjami...

AGAWA

Dawno temu, kiedy bogowie i kapłani Majów panowali na Jukatanie, kiedy jeszcze nie widziano na tych ziemiach białych twarzy hiszpańskich konkwistadorów, spaloną słońcem równiną wędrowali dwaj podróżnicy. Słynny Zamna, filozof i kapłan, oraz jego niewolnik. W dali widoczna już była świątynia Kabha, z rzeźbami głowy Chaca, boga deszczu, zdobiącymi jej fasady. Zmęczeni podróżni z trudem przedzierali się przez karłowatą roślinność. Zatrzymywały ich kolczaste krzewy i zielone agawy o liściach zakończonych ostrymi szpikulcami. Zamna, wyczerpany walką z przeciwną mu przyrodą, nie zachował należytej ostrożności i otarłszy się o jeden z takich groźnych, potężnych liści, dotkliwie zranił się w rękę. Krew zaczęła obficie skrapiać ziemię. Sługa wzburzony tym, co przytrafiło się jego panu, ściął cały ten liść agawy i zaczął bić nim o kamień, chcąc go w ten sposób ukarać. Złość jego była tak wielka, że postanowił bić dopóty, dopóki agawa nie rozpadnie się na kawałki. Jednak zdumiał się bardzo, widząc, że liść traci wprawdzie swój zielony miąższ, ale nie łamie się, stając się w końcu pasmem długich i mocnych białych włókien.Tak odkryto henequen, czyli włókno agawowe. Agawa wkrótce stała się jedną z najbardziej użytecznych roślin w państwie Majów. Henequen zaczęto stosować w wielu dziedzinach gospodarki. „Życie rodzi się w bólu, a źródłem wszelkiego dobra jest ziemia", rzekł Zamna, wspominając swoje przypadkowe odkrycie. Słowa legendarnego filozofa spełniły się. Agawa okazała się błogosławieństwem. Współcześni ludzie obsadzili tą rośliną wielkie połacie ziemi na Jukatanie. Jej mocne włókno znalazło zastosowanie w przemyśle i stało się towarem eksportowym.

CHAMULOWIE I ICH GUBERNATOR

W meksykańskim stanie Chiapas znajduje się mały obszar posiadający całkowitą autonomię. Jest to kraina Indian Chamula. Nawet bezpośrednia opieka rządu federalnego nie przeszkadza temu, że na tych ziemiach wszystko układa się zgodnie z wolą władz indiańskich i w porozumieniu z nimi. Żyją tutaj Indianie Chamulowie, których liczba sięga obecnie jakichś pięciu tysięcy. Sami wybierają swoje władze – „gubernatora" i majordomów albo wodzów poszczególnych osiedli, którzy są jego najbliższymi pomocnikami.

Ubogi jest kraj Chamulów. Bydła hoduje się niewiele, a rolnictwo rozwija się tylko w dolinach, gdzie na maleńkich pólkach można sadzić kukurydzę i ziemniaki. Przy uprawie roli mieszkańcy posługują się wyłącznie prymitywnymi indiańskimi narzędziami. Robią to z zamiłowaniem, gdyż są to ich pola, a uczucie do rodzimej ziemi jest u nich tak zakorzenione, że nie porzuciliby jej za żadną cenę.

Mimo kontaktów z cywilizacją Chamulowie od najdawniejszych czasów zachowują swe tradycyjne stroje: niski, spiczasty słomkowy kapelusz ozdobiony kolorowymi wstążkami, haftowane koszule bez rękawów, krótkie spodnie odsłaniające gołe nogi, huaraches (prymitywne sandały) i wełniane poncza, które chronią od chłodu. Tu, w górskich wioskach, położonych na wysokości niemal 3000 metrów nad poziomem morza, temperatura często spada poniżej zera.

Główna wieś, stolica tego kraju, ma swój kościół i szkołę, w której dzieci uczą się czytać, pisać i mówić po hiszpańsku. Rząd federalny łoży na utrzymanie sali szpitalnej, a garstka kupców – na ogół są to biali – założyła tu małe sklepiki.

Autochtoniczny rząd chamulański utrzymuje porządek za pośrednictwem własnej policji, która dla wzmocnienia autorytetu

sprawuje swe obowiązki uzbrojona w mocne kije. Jedyny piętrowy budynek to pałac gubernatora.

Rząd federalny Meksyku i władze stanu Chiapas nie wtrącają się do wewnętrznej polityki Chamulów. Interweniują tylko w sprawach oświaty i pomagają w trudnych momentach, gdy brakuje żywności. Indianie ci są na ogół niechętni białym i tylko nielicznym gościom pozwalają przekroczyć granice swego kraju. Aby się tam dostać, należy uzyskać pozwolenie samego gubernatora. Najbliższe miasta to San Cristóbal i Comitan. Tam też udają się Chamulowie, kiedy chcą wymienić na targu swoje towary i kupić sól, żelazo na wyrób narzędzi i inne rzeczy pochodzące z cywilizowanego świata.

Raz na pięć lat Chamubowie ze wszystkich wiosek zbierają się, aby dokonać wyboru „gubernatora". Nadciągają, niosąc chonos, to jest drewniane kufry, albo wielkie kosze zawierające relikwie każdego osiedla: stare dokumenty i kodeksy będące w ich posiadaniu od czasów imperium Azteków i Majów, wizerunki świętych i rytualne przedmioty z obrzędów pogańskich. Zazdrośnie strzegą tych relikwi. Przybywają razem z żonami i dziećmi, obfitymi zapasami żywności i napojów na to święto, które często trwa dwa tygodnie. Każda wieś wybiera swego majordoma, ci zaś z kolei dokonują wyboru „gubernatora". Oddane w wyborach głosy liczy się zaznaczając je nożem na kiju. Głosujący pochłaniają wielkie ilości napojów alkoholowych, które kandydaci muszą dostarczać za darmo, jeśli chcą zdobyć więcej mandatów.

W okresie wyborów nie wpuszcza się tu „Meksykanów", jak nazywają oni białych. Ja byłem pierwszym dziennikarzem, który mógł na własne oczy oglądać te uroczystości. Każdego ranka do kościoła ściągają długie procesje ludzi niosących chonos. Piją i modlą się, zanim oddadzą głos. Kobiety muszą ciągle przygotowywać jedzenie, zwłaszcza zaś tortille (placki) z mąki kukurydzianej i baraniny.

Nowo wybrani majordomowie składają przysięgę przed Świętą Panienką i przed Matką Ziemią (przedstawiają je dwie przebrane kobiety). Następnie otrzymują od swych poprzedników symbol władzy – laskę o srebrnej rękojeści. Przedstawiciele władz odróżniają się od tłumu, gdyż noszą czarne poncza, a na głowie rodzaj

turbanu z białego materiału, co nadaje im wygląd Arabów. Kobiety także noszą turbany podczas tych świątecznych dni, ale są to turbany czarne, ozdobione kolorowymi wstążkami. Ludowa orkiestra złożona z harf, fletów i bębnów podnosi radosny nastrój, grając bolonchón, typową melodię z tych rejonów.

Wreszcie nadchodzi kulminacyjny moment wyborów. Majordomowie większością głosów wybrali „gubernatora". Ustępujący „gubernator" wręcza nowemu laskę o srebrnej rękojeści. A po uroczystej przysiędze, złożonej przed ołtarzem Świętej Panienki i Matki Ziemi, nowy przedstawiciel władzy obchodzi całą wieś w asyście swego sekretarza, „człowieka ze słomy", jak nazywają go Chamulowie. Młodzi ludzie ze wszystkich osiedli przyklękają, gdy ich mija, i proszą, aby dobrze rządził. Także kobiety klękają na jego powitanie. Ale nowy musi zachować postawę wyniosłą i okazać swoją ważność. Nie powinien odpowiadać na pozdrowienia. Jest to zadaniem jego sekretarza, który unosząc kapelusz, dziękuje tłumowi za owacje. Przybywszy przed specjalnie wzniesiony ołtarz, „gubernator" przyjmuje przysięgę od swych majordomów. Wręcza im skarbonki i rogi służące do ściągania podatków i grzywien. Majordom jest w jednej osobie przedstawicielem władzy cywilnej, sędzią, poborcą podatków i egzekutorem prawa - prawa nie pisanego, lecz opartego na zasadach moralnych. „Gubernator" interweniuje tylko w przypadkach wielkiej wagi i jako ostatnia instancja. Może on wtedy, jeśli jest to konieczne, wydać nawet wyrok śmierci. Przedstawiciele władz nie pobierają żadnej pensji. Przeciwnie, wszelkie wydatki pokrywają z własnych funduszów, a są to wydatki znaczne. Ów świąteczny okres i alkohol stawiany wyborcom pochłaniają fortunę. Nigdy jednak nie brak kandydatów, a walki polityczne są długie i zawzięte. Słowo „władza" ma wszędzie to samo znaczenie, niezależnie od kultury czy języka. Zaczyna się wielka zabawa. Każda wieś daje przed dostojnikami pokaz tańców. Dźwięczą radosne tony bolonchón, powiewają barwne kapelusze. Śpiewa się wesołe piosenki, wykpiwające tych, co odpadli w wyborach, a chwalące nowo wybranych. Przyśpiewki przypominają też w żartobliwym tonie, że powinni oni rządzić dobrze, bo prawo pozwala odebrać im władzę. To jednak niemal nigdy się nie zdarza. „Gubernatorzy" zachowują się

bez zarzutu i zawsze dotrzymują obietnic. Poprzedni przyrzekł zbudować szkołę i zrobił to, posługując się wyłącznie własnymi funduszami. Jego prywatny majątek skurczył się o połowę, ale dzięki niemu ludzie mają teraz szkołę, w której uczą nauczyciele chamulańscy wykształceni na uniwersytecie w Tuxtla Gutierrez, stolicy stanu Chiapas. Obecny „gubernator", Sebastian Gonzalez Mayne, to człowiek wykształcony. Już wiele lat temu skończył medycynę. Przedtem mieszkał i wykonywał swój zawód w Oaxaca, ważnym mieście meksykańskim. Miał tam samochód, piękny dom z ogrodem i nowoczesny gabinet lekarski. Porzucił to wszystko, aby nosić huaraches i przywdziać czarne poncho „gubernatora" rodzinnego kraju, ukochanego ponad wszystko. Sprzedał cały swój majątek, aby polepszyć byt swoich braci Chamulów. Planuje założenie elektryczności we wsiach i budowę autostrady, a ponadto pracuje nad podniesieniem poziomu sanitarnego i zdrowotnego swego narodu. I to z rezultatami, jakich nigdy nie udało się osiągnąć lekarzom meksykańskim delegowanym tu przez państwo. Chamulowie ufają mu całkowicie, gdyż jest on jednym z nich.

Tak więc miałem możność uścisnąć rękę człowieka miłego i kulturalnego, któremu wszakże, jako „gubernatorowi", zwyczaj każe udawać wyniosłość, zabraniając pozdrawiać kogokolwiek. Ale „słomiany człowiek" unosi kapelusz zamiast niego, a on wie, że tak będzie przez cały okres trwania jego rządów.

Nowy „gubernator" pragnie tylko jednego - dobra swego ludu, który, choć może prymitywny, jest ludem szlachetnym i głęboko kochającym swą ziemię.

Kiedy się żegnałem, ciągle jeszcze trwała zabawa na cześć wielkiego „gubernatora". Wesołe dźwięki bolonchón cichły, w miarę jak się oddalałem... ale w pamięci pozostaną mi te barwne godziny spędzone w „kraju Chamulów"...

ZWIEDZAMY MEKSYK

– Ekk... Ekk... Oa yei yoo... – śpiewał Chanuk, rzucając małe kawałki żywicy na kamienny ołtarz w kształcie pół człowieka, pół węża. Jego długie włosy trzepotały, kiedy wściekle potrząsał głową, aby przekląć niewidzialnego ducha Metzaboka, który psuł mu całą ceremonię. – Nak... abik... kah, nak obik... – powtarzał zachrypłym głosem, plując i rzucając małe kamyki w stronę wejścia.

Gęsty dym wznosił się ku wysokim, stojącym jeszcze, kolumnom starej świątyni Majów, którą czas obrócił w ruinę. Piął się przez szczeliny prymitywnego dachu z liści palmowych, rozprzestrzeniając się na kamienne bloki martwego miasta. Posadzony przed niewielkim ołtarzem trzyletni chłopczyk resztkami sił wydawał zaciętą walkę śmierci. Życie małego Ranuka zależało od starego czarownika.

Oparty o kolumnę obserwowałem całą scenę, starając się jednocześnie uspokoić mojego synka Ozanę, który przestraszony tulił się do mnie. Pezuna, matka Ranuka, stała przy wejściu, a jej spojrzenie biegło raz w stronę ołtarzyka, to znów ku mnie, jakby szukając wsparcia i pomocy. Ale dym nie chciał otoczyć dziecka, wzbijał się pod dach albo słał się tuż nad ziemią. To znów, popychany wiatrem, ulatywał na zewnątrz, nie docierając jednak do chorego chłopczyka. – Ekk... Ekk... nak obik kah, nak obik... – powtarzał Chanuk rozpaczliwie, lecz dym uparcie umykał jego zaklęciom.

Poprzedniego dnia przybyłem razem z żoną do tej nieprzeniknionej selwy w Quintana Roo, leżącej na krańcach półwyspu Jukatan. Miałem zamiar zwiedzać ruiny świątyni Majów, które widzieliśmy, przejeżdżając tędy tydzień temu. Znając dobrze religijną gorliwość moich dwóch tubylczych przewodników, nie chciałem prowadzić żadnych badań w ich obecności. Rozbiliśmy więc obóz w znacznej odległości od tego miejsca. Po czym, udając, że wybieramy się na polowanie i nie wzbudzając niczyich podejrzeń,

wyszliśmy z obozu. W dawnej świątyni spodziewałem się znaleźć przedmioty pochodzące z okresu kultury Majów. Miejsce to nie było zarejestrowane przez archeologów, a niemal zawsze w takich ruinach znajdowano złote posążki bożków, cenną ceramikę i rzeźbione figurki z jadeitu. Musiałem jednak zachować ostrożność, aby niczym i w żadnym momencie nie wywołać podejrzeń moich przewodników. Mogłoby to mieć opłakane skutki. Na „wycieczkę" zabraliśmy naszego synka Ozanę.

Bez trudu odnaleźliśmy ruiny i zaraz po przybyciu zaczęliśmy kopać. Nagle doszedł do naszych uszu płacz i jęki dziecka. Natychmiast pobiegłem w tę stronę i zobaczyłem Indiankę z płaczącym dzieckiem w ramionach. Kobieta dyszała ciężko, a z jej bosych stóp płynęła krew. Najwyraźniej miała za sobą dłuższy bieg, podczas którego poraniła nogi o kamienie.

– Bax le yan tolo? (co ci jest) – spytałem ją w języku Majów.

Przestraszona moim niespodziewanym nadejściem, kobieta zerwała się z miejsca, tuląc do siebie dziecko, ale nie miała sił, aby uciekać.

– Nie bój się – powiedziałem – nie zrobię ci nic złego. Powiedz, co ci jest?

Pierrette, która zbliżyła się tymczasem, pogłaskała dziecko po główce, a Ozana dał mu garść cukierków. To uspokoiło nieco Indiankę. Poprosiła, abym pomógł jej dotrzeć przed nocą do wielkiej świątyni w Tajin, bo inaczej jej synek umrze.

– A co się stało twojemu synkowi? – spytała Pierrette.

– Dziś rano „pocałowała" go Chankin i tylko stary Chanuk potrafi usunąć z jego ciała śmiertelną truciznę tej bogini. Na nieszczęście mój mąż Pankin jest until, to znaczy został przeklęty przez czarownika.

Łkając, opowiedziała nam, że jest córką Chanuka. Mieszkała w świątyni, ale pewnego dnia przyszedł Pankin i uprowadził ją jako swoją żonę, wbrew woli wielkiego czarownika. Od tej pory nie widziała już ojca, który wpadł w taki gniew, że przeklął ją i całą jej rodzinę. Mieszkała z mężem i synkiem w wiosce kacyka Zamala, nad jeziorem Naja. Byli bardzo szczęśliwi. Jej mąż był dobrym człowiekiem i doskonałym myśliwym. Nigdy nie brakowało im mięsa małpy, które tak lubią Lacandoni. Ale tego ranka mały Ranuk wyszedł bawić się

na dworze i natknął się na węża, w którym mieszka bogini Chankin, bardzo złośliwa dla istot ludzkich. Dlatego „pocałowała" swymi zatrutymi zębami biednego Ranuka. Wszyscy Lacandoni wiedzą, że od „pocałunku" Chankin umiera się nieuchronnie w ciągu dwóch – trzech dni. Nie ma na to rady. Jedynie potężny czarownik Chanuk strzegący świątyni może uprosić boginię, aby wyleczyła chorego. Ale trzeba to zrobić, zanim zapadnie pierwsza noc, bo w przeciwnym wypadku Metzabok, bóg ciemności, zawładnie chorym i pomaluje jego ciało na czarno. Ludzie, którzy zostali ukąszeni przez węża zwanego chankin (słowo to w języku Majów oznacza „królową żmiję") po kilkunastu godzinach sinieją, przybierając barwę ciemnofioletową i cierpią straszliwie.

Opowiedziawszy to, kobieta znów zaczęła mnie błagać, abym pomógł jej dostać się do świątyni strzeżonej przez jej ojca. Bała się, że on nie zechce jej widzieć. Chciała rzucić mu się do nóg i usilnie prosić, aby wyleczył jej synka. Gdyby tego zażądał, gotowa była nawet porzucić męża.

Poruszony nieszczęściem biednej Indianki obiecałem jej pomóc, choć byłem przekonany, że na nic się to nie zda. Ofiarę chankin można uratować jedynie natychmiastowym wstrzyknięciem serum i transfuzją krwi. Ostatnią ampułkę serum, jaką miałem, wstrzyknąłem parę dni temu kobiecie ukąszonej przez grzechotnika. A najbliższe miasteczko, gdzie można by się zaopatrzyć w ten lek, leżało w odległości wielu dni marszu. Nie pozostawało nam nic innego, jak udać się do czarownika Chanuka.

OSTATNI KAPŁAN ŚWIĄTYNI WĘŻA

Po dwóch godzinach forsownego marszu, prowadzeni przez Pezunę tylko jej znanymi ścieżkami, stanęliśmy na wielkiej polanie. Pezuna wskazała nam coś wyciągniętym ramieniem. Mieliśmy przed oczyma przytłoczone bujną roślinnością selwy ruiny, które niegdyś były świętą fortecą Majów. Spod zielonego gąszczu wyzierały świątynie, pałace, ulice i grobowce wielkiego Tajin. Wydawało się, że w tym miejscu nie ma śladu ludzkiej istoty. Nasza nowa znajoma bez wahania skierowała się ku jakiejś świątyni. Zbliżając się, zobaczyliśmy wśród ruin dach prymitywnej chaty.

– Ekk... Ekk... Oa yei, yoo – śpiewał Chanuk, podsycając święty ogień grudkami żywicy.

W duszy starego czarownika nienawiść i miłość toczyły tytaniczną walkę. W głowie klębiły mu się najróżniejsze myśli. Znał tajemne lekarstwa na ukąszenie wężów, ale czy mógł je udostępnić synowi swego wroga, człowieka, który ukradł mu córkę? Nienawidził Pankina, przeklął go niegdyś, ale aż do tej chwili przekleństwo nie spełniło się, bo tamten żył w zdrowiu i szczęściu. Chanuk nieraz prosił leśnych bogów, aby kierując krokami jego zięcia, kazali mu wpaść w sidła nasycone trucizną. Pankin jednak wychodził nietknięty, nigdy nic mu się nie stało. Na pewno chroniła go opieka wielkiego kacyka Zamala, dawnego nieprzyjaciela Chanuka. Za to Chanuk spotykał się z wszystkimi bogami, dobrymi i złymi. Był ostatnim kapłanem wielkiej świątyni. Przed wiekami u wielkich ołtarzy, gdzie składano ofiary z ludzi, czuwało – paląc żywicę – wielu kapłanów. Teraz zaś podtrzymywanie potężnego kultu Majów spoczęło na barkach jednego człowieka. Dwaj jego synowie umarli, a córka została uprowadzona przez mężczyznę z wioski Zamala. Mocy Chanuka nikt nie może zakwestionować, przecież bogini Chankin wysłuchała w końcu jego prośby i ukarała rodzinę jego córki śmiertelnym pocałunkiem.

Przez dłuższą chwilę sycił się zemstą, patrząc na klęczącą przed nim zapłakaną Pezunę. Jednak widok małego Ranuka, którego dotąd nie znał, sprawił, że serce zaczęło mu mięknąć. Był to jego wnuk i może miał kiedyś zostać wielkim kapłanem świątyni, chroniąc w ten sposób religię Majów od całkowitego wygaśnięcia. Ale jak mógł go Chanuk uratować, skoro przez tyle lat błagał bogów, aby ukarali jego wroga? Gdyby przystąpił do egzorcyzmów, źli bogowie z Metzabokiem na czele obraziliby się i zabiliby go. Być może jutro rano zabije go sama Chankin... Ale jakież to ma znaczenie wobec możliwości uratowania niewinnego dziecka, które bez jego pomocy wkrótce umrze? W twardym sercu czarownika po raz pierwszy zakiełkowała litość. Nawet gdyby miał ściągnąć na siebie boski gniew, uczyni wszystko, co w jego mocy, aby ocalić Ranuka.

Z suchych korzeni, liści różnych roślin, kory drzew i mączki, otrzymanej z mięsa najróżniejszych zwierząt, Chanuk zaczął przygotowywać środek przeciwdziałający trującemu jadowi Chankin. Tylko on znał sposób przyrządzania tego leku. Przekazał mu go jego ojciec. Jeśli on sam nie będzie miał komu powierzyć tej tajemnicy, po jego śmierci nikt więcej z niej nie skorzysta. Gdy napój był gotowy, podał go Ranukowi do wypicia. Czy nie jest już za późno?

– Nak... obik... kah... kah – krzyczał, lżąc Metzaboka, złego boga, który nie dopuszczał do tego, aby dym otoczył dziecko.

Pezuna oderwała wzrok od postaci kapłana i raz po raz zerkała na dziwnego białego człowieka, który pomógł jej tu dotrzeć. Według wierzeń Lacandonów zły urok mógł paść również na niego. Być może kobieta trochę go żałowała. Dym wznosił się pod dach, kłębił się i w końcu uchodził przez szczeliny. Śpiew Chanuka był smutny i przygaszony, bez cienia nadziei. Nagle stało się coś niespodziewanego. Tajemniczy powiew wtargnął do chaty. Święty dym żywicy copal otoczył maleńkiego Ranuka, jak gdyby okrywając go zbawiennym płaszczem. Chanuk uśmiechnął się z zadowoleniem. Serce Pezuny drgnęło radośnie. Bogowie przyjęli ofiarę, dziecko będzie żyło!

BANKIET W SELWIE

Mięso małpy saraguate
daje nam siłę i przysparza krwi
lacandońskim mężczyznom i kobietom.
Tak bowiem rozkazał nasz bóg, wielki Hachakium,
który jest potężny.

(Obrzędowa pieśń Lacandonów)

- Przyjdziesz?

Pankin, ze splątaną jak zwykle grzywą włosów, stanął w drzwiach. Wyraźnie widoczny na tle różowiejącego o świcie nieba.

- Już idę - odparłem i zeskakując z hamaka, wziąłem strzelbę i chlebak. Byliśmy w lacandońskiej wiosce, zagubionej pośród dziewiczych lasów pokrywających górskie rejony stanu Chiapas na granicy Meksyku z Gwatemalą.

Selwa, mokra od rosy, zesłała nam zimną kąpiel, która do reszty nas rozbudziła. Nie przebiegliśmy nawet stu metrów, gdy byliśmy już od stóp do głów przemoczeni. Pankin kierował się ku zachodowi, gdzie poprzedniego dnia słyszeliśmy krzyki małp. Był uzbrojony w długi łuk i strzały. Uchodził za najlepszego myśliwego w całej wsi.

Niedawno pomogłem jego żonie, gdy chodziło o uratowanie ich dziecka ukąszonego przez jadowitego węża. Jednocześnie udało się nam przywrócić pokojowe i przyjazne stosunki z jego teściem, wielkim czarownikiem i strażnikiem dawnej świątyni Majów. Gościłem teraz w domu Pankina, prowadząc w dalszym ciągu poszukiwania w ruinach, gdzie spodziewałem się natrafić na przedmioty pochodzące z okresu dawnych kultur indiańskich. Miałem też w planie wspólną myśliwską wyprawę na małpy saraguate, ale one zniknęły z tych okolic jak zaczarowane. Dopiero poprzedniego

wieczoru usłyszeliśmy gdzieś daleko ich krzyki. I teraz szliśmy przez selwę w tamtą stronę. Dlaczego mięso saraguate tak bardzo smakuje Lacandonom? Odpowiedź znajdziemy w starej plemiennej legendzie.

Dawno temu, głosi legenda, na wiele lat przedtem, nim zostały wzniesione mury Bonampak i Palenque, wielkich stolic Majów, żył na tych ziemiach młodzieniec imieniem Kimbor. Pewnego razu szedł przez las, chcąc upolować jakieś zwierzę i dostarczyć pożywienia rodzinie. W lasach pełno było dzików, jeleni i dzikich kaczek, ale Kimbor nie mógł ustrzelić żadnego stworzenia. Przeszkadzała mu w tym małpa, która skacząc z gałęzi na gałąź, krzyczała ostrzegawczo, płosząc zwierzynę.

– Przestań, bo cię zabiję – powiedział Kimbor do małpy.

Ale ona za całą odpowiedź rzuciła mu kilka zielonych owoców i parę suchych gałązek, po czym znów zaczęła pokrzykiwać.

– Nie przeszkadzaj mi, bo naprawdę cię zabiję. Ostrzegam cię po raz drugi! – krzyknął jej Kimbor, już rozgniewany. Ponieważ małpa w dalszym ciągu płoszyła zwierzynę, napiął łuk, gotując się do strzału. Widząc, że młody człowiek nie żartuje, saraguate, przestraszona, zaczęła z płaczem prosić o darowanie jej życia.

– Moje mięso jest twarde, nie nadaje się do jedzenia – mówiła.

– Dobrze – odparł Kimbor – tym razem ci przebaczam, ale zapamiętaj sobie, że masz mi więcej nie przeszkadzać.

Złośliwa małpa uciekła na czubek drzewa. Kiedy poczuła się bezpieczna, znowu zaczęła krzyczeć, ostrzegając zwierzęta przed myśliwym i śmiała się z niego szyderczo.

Kimbor szedł przed siebie, starając się nie zwracać uwagi na saraguate, i tak dotarł nad brzeg jeziora zarośniętego irysami. Siedziała tu na kamieniu piękna kobieta i spokojnie czesała swe długie, falujące włosy. Widząc to, przewrotna małpa zbudziła śpiącego nieopodal jaguara. Dręczyła go i drażniła tak długo, aż rozgniewany król selwy zaczął ją gonić. I tak, za pomocą tej sztuczki, przywabiła go nad brzeg jeziora. Jaguar, ujrzawszy siedzącą kobietę, chciał w porywie wściekłości rzucić się na nią, ale w tym właśnie momencie celna strzała z łuku Kimbora zakończyła jego żywot. Kobieta, z wdzięczności za ocalenie życia, opowiedziała swemu wybawcy, że jest córką Księżyca Tupara. Podarowała mu sporą garść ziaren kukurydzy, pouczając, w jaki sposób powinien je zasiewać, aby nie cierpiał głodu w okresie,

gdy nic nie uda mu się upolować. Uszczęśliwiony tym darem Kimbor wrócił do domu i zaraz przygotował pierwsze pole uprawne, na którym zasiał kukurydzę. Wszystkie jego czynności śledziła uważnie, zza gałęzi drzew, małpa saraguate. Minął pewien czas i kukurydza urosła. Kiedy jej żółte kolby były już dojrzałe, żona Kimbora naszykowała garnek, by ugotować ziarno i upiec placki. Ale kiedy wyszła na pole, zobaczyła, że małpa ukradła i zjadła całą kukurydzę, nie zostawiając ani jednego ziarenka na przyszły zasiew. Kimbor, doprowadzony do ostateczności tym złośliwym wybrykiem, chwycił łuk i zabił małpę. Następnie wydobył z jej gardła ziarna kukurydzy, aby na nowo obsiać pole. Ale że jego rodzina była bardzo głodna i trzeba było nakarmić dzieci, postanowił ugotować mięso saraguate w tym samym garnku, który miał służyć do przyrządzania kukurydzy. Hachakium, bóg selwy, pełen współczucia dla Kimbora i jego rodziny, sprawił, że mięso małpy stało się miękkie i smaczne. Ukarał też w ten sposób złośliwość saraguate. Odtąd Lacandoni polują na te zwierzęta, chcąc zdobyć swe ulubione mięso, a czynią to z tym większym zapałem, że zgodnie z ich wierzeniami, zbiór kukurydzy zależy od liczby zabitych małpek.

Zaproszeni na wielki bankiet, usiedliśmy przy ognisku płonącym przed domem Pankina. Jego żona Pezuna przyniosła wielki gliniany garnek ze wspaniałą zupą, w której pływały duże kawałki mięsa saraguate. Ranuk i jego braciszek Naku przełykali ślinkę na widok smacznego jedzenia. Zgodnie z lacandońskim zwyczajem, kobiety trzymały się nieco dalej od ognia. To mężczyźni mieli pierwszeństwo w zaspokojeniu apetytu. Mnie, jako najdostojniejszemu gościowi, Pankin ofiarował głowę małpy, uważaną za największy przysmak. Ugryzłem kawałek i, jak każe dobry obyczaj lacandoński, oddałem mu ją. On zaś z kolei, zrobiwszy to samo, podał przysmak następnemu biesiadnikowi. Wszyscy jedli powoli i z godnością, od czasu do czasu popijając gęstą zupę, którą czerpali z garnka za pomocą małych tykw albo muszli. Kobiety i dzieci też dostały obfite porcje, a mały Ranuk mógł napełnić swój niemal zawsze nienasycony brzuszek. Po tym swego rodzaju gulaszu z małpy żona Pankina podała gościom tykwę z miodem i pieczonymi orzechami babassu. Podczas gdy jedliśmy deser, Chanuk opowiadał nam, dlaczego żmija Chankin zabija ludzi swym jadem.

„Dawno, dawno temu – mówił Chanuk – kiedy nasza rasa dopiero zaczynała żyć na ziemi, pewien wielki wojownik imieniem Jacuma wyruszył do selwy, aby polować na małpy. Podczas długiej wędrówki natknął się na rzekę i postanowił przepłynąć ją wpław. Kiedy już był na środku rzeki, pojawiła się obok niego żmija. Owinęła się wokół jego ciała, zapraszając go do swego wspaniałego pałacu w głębi wód. W pałacu pływały tysiące przepięknych barwnych ryb. Żółwie kładły się u ich stóp, służąc im za krzesła, a inne węże przynosiły im wielkie tykwy ze smacznymi potrawami. Żmija, która go tutaj przywiodła, zamieniła się w piękną kobietę, mówiąc mu, że nazywa się Chankin i jest królową wszystkich węży. Po czym dodała, że pragnie go poślubić. Obiecała w zamian dać mu wszystko, czego zapragnie. Jacuma ożenił się z Chankin i przez długi czas przebywał w jej królestwie. Ale pewnego dnia ogarnęła go chęć powrotu do rodzinnej wsi, do krewnych i przyjaciół. Powiedział to swej żonie.

– Pójdę z tobą! – wykrzyknęła Chankin.

– Jak mam cię zabrać do mojej wsi? Czy nie wiesz, że nie wolno nam przyprowadzać obcych kobiet? Jeszcze ci zrobią coś złego!

– Nie martw się. Włożysz mnie do koszyka i nikt się nie dowie.

Tak też zrobili. Jacuma wrócił do wsi z zamkniętym koszem. Krewni i przyjaciele przywitali go radośnie, częstując potrawą z małpy. Jacuma wydobył z kosza kolorowe perły i połyskujące muszle z dna rzeki i obdarował nimi wszystkich. Ale zaraz zamknął koszyk, nie pozwalając nikomu zajrzeć do środka. Kobiety, ogromnie zaciekawione, co też tam może być, wykorzystując chwilową nieobecność Jacumy, otworzyły kosz. Z przerażeniem stwierdziły, że w środku leży zwinięta w kłębek żmija. Zaczęły natychmiast znosić garnki pełne płonących głowni. Rzucały nimi w żmiję, którą była właśnie sama Chankin. Wtedy żmija przemieniwszy się w kobietę zaczęła je błagać, aby dały jej spokój i obiecywać im liczne prezenty.

– Daj mi piękny naszyjnik – powiedziała jedna z kobiet.

– A mnie tykwy z miodem – rzekła druga.

– Spraw, aby nasze garnki zawsze były pełne wody i żebyśmy nie musiały po nią chodzić – dodała trzecia.

I tak, dzięki czarodziejskiej sztuce, kobiety uzyskały cenne ozdoby i tykwy z miodem, a ich garnki napełniły się kryształowo czystą wodą. Wtedy nadszedł Jacuma. Zobaczył te wspaniałe

podarunki, a dowiedziawszy się, w jaki sposób zostały zdobyte chwycił gruby kij i zaczął bić swoją żonę, mówiąc:

– Zawsze byłem dla ciebie dobry i nigdy cię nie biłem, a ty nie dałaś mi nawet połowy tego, co podarowałaś tym kobietom, które znęcały się nad tobą. Więc teraz cię ukarzę i będę cię bił, a ty mi daj duży nóż, nowy łuk, nową chatę i dużo innych rzeczy, których mi potrzeba.

Bogini Chankin dała mu wszystko, czego żądał, ale on nie przestawał jej maltretować. Ciągle chciał więcej prezentów. Wtedy posmutniała i powiedziała, że muszą oboje wracać do podwodnego królestwa. Jacuma roześmiał się pogardliwie:

– Po cóż miałbym wracać z tobą pod wodę, skoro tutaj mam wszystko, czego zapragnę? Wystarczy tylko, żebym cię zaczął bić!...

Chankin płakała rozpaczliwie, bolejąc nad okrucieństwem męża. A kiedy łzy jej obeschły, odezwała się do niego głosem zmienionym, spokojnym i monotonnym:

– Postanowiłam oddać ci całą moją moc. Ty sam będziesz odtąd mógł osiągnąć to, co zechcesz. Daj się pocałować, a będziesz potężny jak bóg!

Zbliżyła się do niego i pocałowała go. Jacuma krzyknął z bólu i z jego ust trysnęła krew. Potem cała skóra mu sczerniała. Chankin, całując go, zmieniła się w węża i wsączyła mężowi trujący jad. Po trzech dniach Jacuma umarł. Bogini, która pozwoliła ludziom się oszukać, nie mogła już wrócić do swego podwodnego państwa. Od tej pory żyje w lasach i ludzie chcą ją zabić, a ona rozdziela wśród nich śmiertelne pocałunki, mszcząc się ciągle za okrucieństwo Jacumy.

Chanuk skończył swą opowieść. Wszyscy siedzieli w milczeniu. Nagle Pezuna, która przed chwilą poszła po drzewo, krzyknęła ze strachem:

– Chankin! Chankin! Chodźcie tu, prędko!

Pobiegliśmy, łapiąc po drodze kije i kamienie. Rzeczywiście, był to wąż. Gdyśmy go otoczyli, sprężył się, gotów do skoku, ale nie mógł już nic zrobić. Duża liczba ludzi i szybkość, z jaką zadziałaliśmy, zdezorientowały go. Kijami i kamieniami zatłukliśmy jadowitego gada. Przez chwilę skręcał się w agonii, ukazując swe straszne zęby. Może była to ta sama żmija, która tydzień temu ugryzła Ranuka? Może przypełzła tutaj, szukając zemsty... albo też chciała spróbować gulaszu z małpy... W każdym razie na pewno nikt nie zapraszał jej na to przyjęcie.

LACANDONI

Indianie Lacandoni byli jedynymi potomkami Majów, którzy w czasach kolonializmu nie poddali się dominacji Hiszpanów. Przetrwali, bo ukryli się w lasach w Chiapas, na terenie Meksyku.

Chanuk – ostatni kapłan Świątyni Węża – znał wiele starych wierzeń i tradycji, które popadły w zapomnienie. Dziś Lacandoni stanowią małą społeczność wyznania protestanckiego.

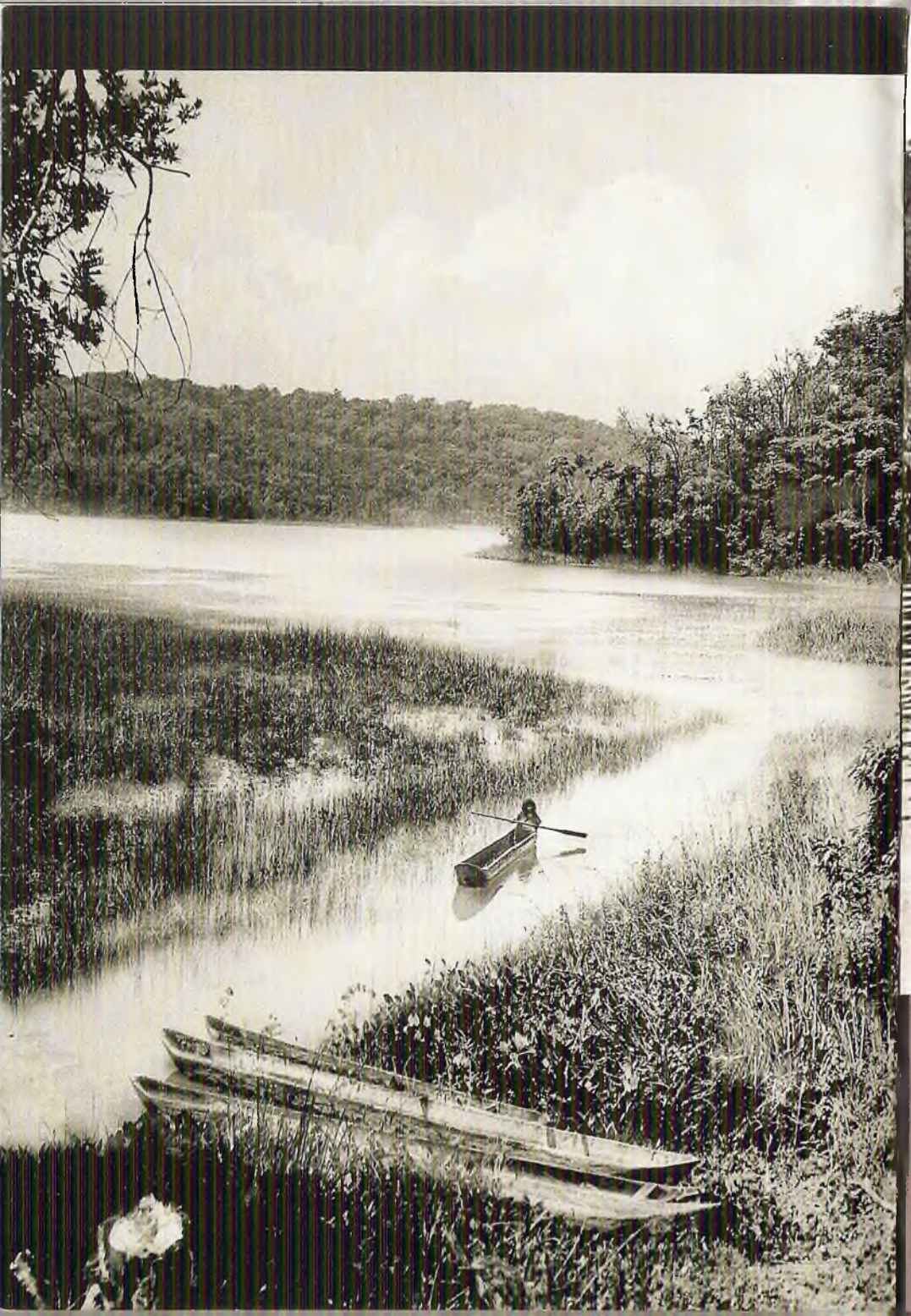

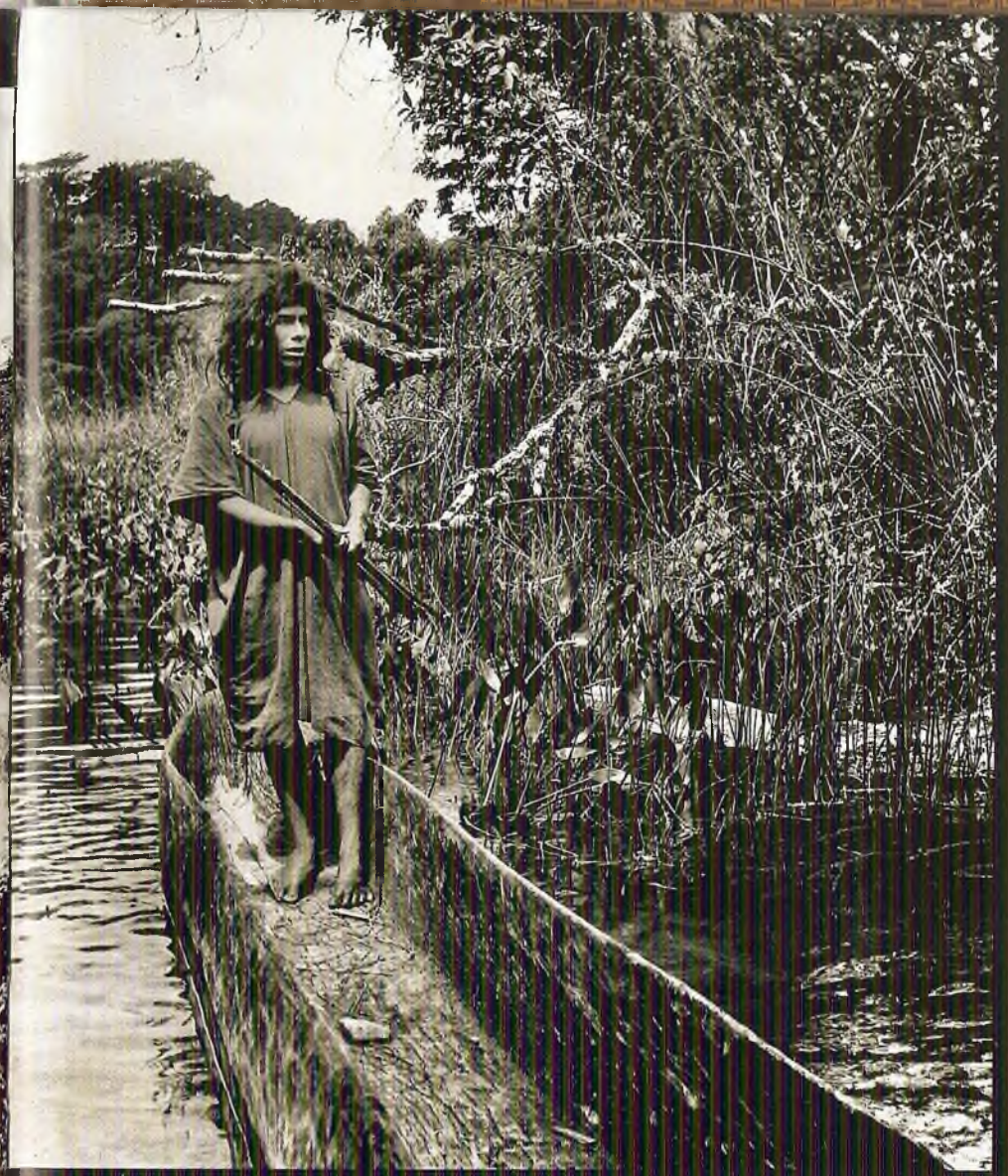

Eksploatacja lasów deszczowych niosła Indianom zagładę. Żeby ich chronić, rząd utworzył rezerwat – 64 km² dżungli. Żyją tam wspierani przez państwo. Stanowią atrakcję turystyczną.

Lacandoni wiążą się wyłącznie z kobietami ze swego plemienia. I mają problem, bo tych kobiet jest zbyt mało. Resztę życia spędzają w lęku przed rywalami.

LUDZIE-PTAKI Z PAPANTLA

Luis Marura uklęknął przed ołtarzem. Trzy razy przeżegnał się święconą wodą i zaczął się modlić. W tym roku jemu przypadł w udziale przywilej zostania „papantlero", to znaczy przywódcą „fruwających ludzi" z Papantla. Jego starszy brat zabił się w zeszłym roku podczas tej samej ceremonii, on zaś miał teraz objąć jego funkcję, co było wielkim zaszczytem.

Stojący za nim czterej jego towarzysze również się modlili. Wszyscy przystąpili już do komunii. Gotowi byli umrzeć, jeśli taka będzie wola boskiego stwórcy i dawnego azteckiego boga deszczu, Tlaloca. Muszą narażać swoje życie po to, aby spadł deszcz. Bez deszczu wieś nie będzie miała co jeść, uschnie kukurydza i wanilia. Trzeba prosić niebo o deszcz. Tak więc w tych pięciu mężczyznach pokładają nadzieję wszyscy mieszkańcy wsi.

Po długiej modlitwie Luis i jego towarzysze wstali z klęczek. Mieli na sobie kunsztownie haftowane świąteczne stroje i kapelusze ozdobione wstążkami, piórami i lusterkami. W asyście całej wsi podeszli do rytualnego słupa, który ustawiono przed kościołem. Był to drewniany pal mierzący ponad trzydzieści metrów. Poranne słońce błyszczało, zalewając blaskiem cały plac. Na niebie nie było najmniejszej chmurki. Ludzie-ptaki rozpoczęli swój taniec, kłaniając się trzy razy wyniosłemu słupowi przy akompaniamencie rytmicznych dźwięków fletu i bębna. Następnie odwrócili się twarzami w stronę kościoła i powtórzyli przed ołtarzem ten sam trzykrotny ukłon. Skończywszy taniec, czterech z nich wspięło się na słup, aby umocować na jego czubku duży stożek z drewna, zwany „jabłkiem". Następnie przywiązali do stożka długie powrozy, owinęli je dokoła niego, a luźno zwisającymi końcami opasali się sami. Teraz sępy, które zawsze przylatują w poszukiwaniu padliny, zaczęły gromadzić się w pobliżu, jakby wiedzione instynktem. Siadały na kościelnej wieży i dachach

domów. Zazdrośnie obserwując ludzi, którzy zamierzali odebrać im przywilej unoszenia się w przestworzach.

Ostatni wdrapał się na słup papantlero Luis, któremu przypadło zadanie najtrudniejsze. Znalazłszy się na czubku, na samym „jabłku", miał grać na instrumentach muzycznych i jednocześnie wykonywać rytualny taniec. Miał kłaniać się czterem stronom świata i prosić o sprowadzenie deszczu. On nie był przywiązany żadnym sznurem. Musiał skakać i tańczyć na powierzchni zaledwie trochę większej od zwykłego talerza, i to nieustannie chwiejącej się. Utrata równowagi oznaczała natychmiastową śmierć. Wchodził powoli, a gdy znalazł się już na szczycie, obrzucił wzrokiem udręczoną przez suszę okolicę. Ujrzał niemal zupełnie uschniętą kukurydzę i drzewa, które wyciągały ku niebu gałęzie, prosząc o deszcz. Po czym zaczął grać melodię pochodzącą z zamierzchłej przeszłości, przekazywaną jedynie z ojców na synów. Zebrany na dole tłum zastygł w oczekiwaniu, zachowując absolutną ciszę. Podziwiano Luisa jak bohatera. Wiatr unosił melodię nad okolicą. Niebezpieczny taniec trwał ponad pół godziny. Na dany znak czterej towarzysze papantlera rzucili się wszyscy jednocześnie w powietrze. Małe opóźnienie któregokolwiek oznaczałoby prawdopodobnie śmierć dla wszystkich pięciu, gdyż stożek przechyliłby się, a oni spadliby z wysokości dziesięciu pięter.

Długie powrozy zaczęły się rozwijać. Mężczyźni opisywali w powietrzu coraz większe koła, poruszając ramionami jak ptaki skrzydłami. Tymczasem na szczycie słupa Luis wykonywał najtrudniejszą część tańca, nie przestając ani na moment grać na flecie i bębnie. Ci ludzie nie fruwali dla rozrywki, ryzykowali życiem po to, aby kukurydza mogła się dobrze rozwinąć i aby całej wsi nie zabrakło żywności. A do tego konieczny był deszcz. Byli gotowi roztrzaskać się o ziemię, jeśli tego zechce potężny Tlaloc, bóg deszczu. Tak właśnie stało się z bratem Luisa. Wystarczył najlżejszy powiew wiatru. Ale tym razem nic się nie przydarzyło. Trzynaście obrzędowych obrotów przebiegło szczęśliwie i wszyscy zdrowi i cali wylądowali na ziemi. Luis zszedł ostatni. Na zakończenie znowu trzykrotnie pokłonili się przed słupem i przed ołtarzem.

Przesąd przesądem, ale faktem jest, że następnego dnia spadł wyczekiwany deszcz. Zapewne był to zwykły zbieg okoliczności...

LUDZIE-PTAKI

Kiedy pola wanilii i kukurydzy dręczy susza, mieszkańcy Papantla odprawiają obrzęd ku czci azteckiego boga deszczu Tlaloca. By go przebłagać, wybierają pięciu mężczyzn z wioski. „Ludzie-ptaki" pod przywództwem mistrza ceremonii Papantlero, wchodzą na rytualny słup. Przywiązują się do jego czubka sznurami. A potem wszyscy naraz skaczą z wysokości dziesięciu pięter.

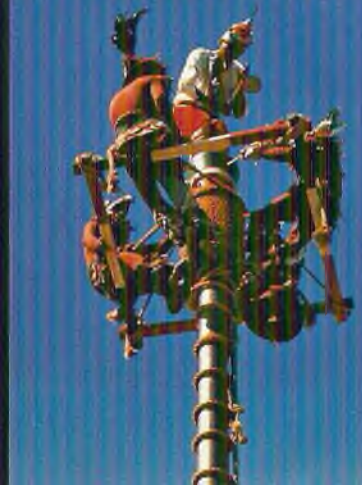

Ubrani są w kunsztownie haftowane świąteczne stroje i kapelusze ozdobione wstążkami, piórami oraz lusterkami.

Przy akompaniamencie piszczałek i bębnów kreślą w powietrzu koła z szeroko rozpostartymi ramionami. W każdej chwili mogą spaść i roztrzaskać się o ziemię. Czują się zaszczyceni i wybrani. Gotowi umrzeć, za cenę ocalenia plonów.

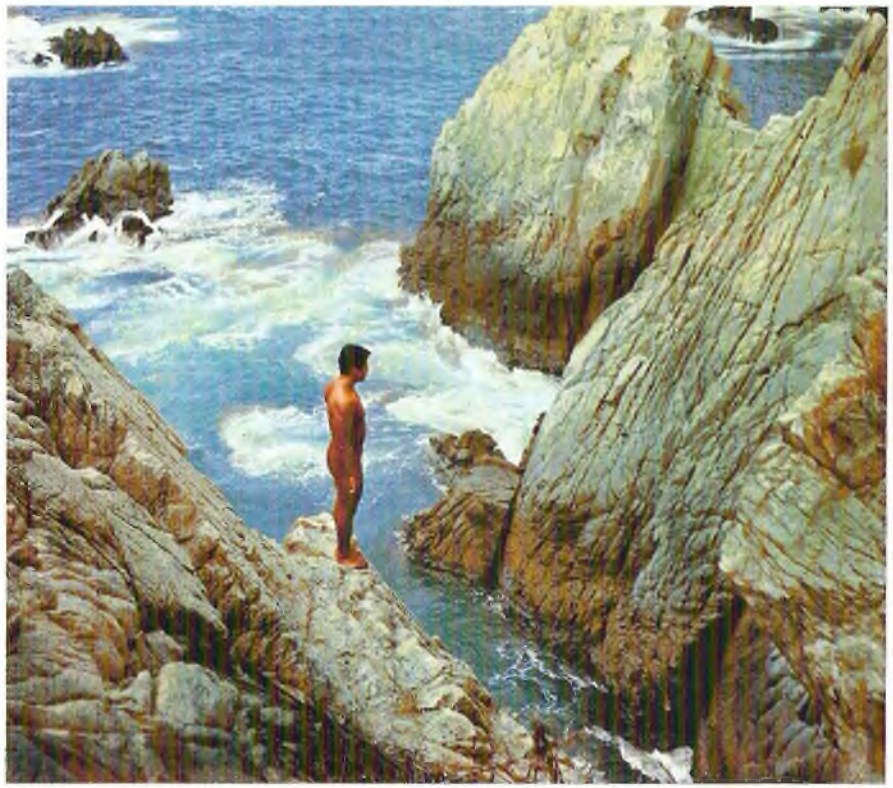

ACAPULCO: SKOCZKOWIE I TURYŚCI

Pedro odrzucił z czoła kosmyki włosów spadające mu na oczy. Stał jeszcze chwilę bez ruchu, patrząc na wodną kipiel, kłębiącą się trzydzieści metrów pod jego stopami. Wietrzyk dmuchał lekko, głaszcząc jego atletyczne, opalone ciało. Z tarasu hotelowego i ze schodów w ścianie wąwozu tysiące oczu śledziły uważnie każdy jego ruch. Ale dla niego liczyła się w tej chwili tylko jedna para czarnych oczu...

– To dla ciebie, dziewczyno z Acapulco, dla ciebie, kochana, szeptał.

Legenda powiada, że za czasów imperium indiańskiego przybyła do Acapulco prześliczna dziewczyna, córka azteckiego wodza. Zamierzała znaleźć sobie męża. Oblegali ją najbardziej obiecujący młodzieńcy. Ona jednak ogłosiła wszem i wobec, że poślubi tego, kto wykaże najwięcej odwagi i dzielności. Młodzi zalotnicy, którzy prowadzili życie spokojne i pogodne, dalekie od bohaterskich wyczynów, patrzyli na siebie skonsternowani. Cóż mogli zrobić, skoro nawet nie było wojny, w której mogliby dać próbę waleczności? Aż pewnego dnia młodzieniec imieniem Tlatl, zakochany w dziewczynie, poprosił ją, aby była świadkiem próby śmiałości, jaką chce jej zaprezentować.

Dziewczyna wraz z całą świtą przybyła na umówione miejsce. Zgromadzili się tam także wszyscy wzgardzeni pretendenci do jej ręki. Miejscem spotkania był jeden z najwyższych szczytów skalnej ściany nad brzegiem morza. Młodzieniec przyszedł tam prawie nagi. Miał jedynie przepaskę wokół bioder.

– Co masz zamiar tu robić, Tlatl? – zapytała dziewczyna.

– Zaraz zobaczysz. Oto morze i plaża. Gdybym się teraz kąpał, woda sięgałaby mi zaledwie do pół łydki, prawda? Ale podczas przypływu wody będzie tyle, że głębia stanie się trzykrotnie większa niż najwyższy mężczyzna. I właśnie wtedy rzucę się w morze.

– Zabijesz się!

– Muszę zaryzykować. Muszę ci dowieść swej odwagi. Czyż nie tego właśnie chciałaś?

– Tak!

– A potem dowiodę ci, że jestem także mężczyzną! Tlatl odwrócił się, sprężył do skoku i stanął na palcach. W chwili, gdy fale rycząc, podeszły ku nadbrzeżnym skałom, rzucił się w wodę. Widzowie zamarli w głębokim milczeniu, po czym tu i ówdzie rozległy się okrzyki żalu:

– Zabił się!

– Już nie wypłynie!

– Taki młody!

Ale wkrótce radość zagościła we wszystkich sercach, nawet w sercach jego rywali. Tlatl wypłynął na powierzchnię wody. Szybko dotarł do brzegu, po czym stanął przed dziewczyną. Gratulowała mu gorąco, dumna, że narażał życie z miłości dla niej.

– Będę twoją żoną, dowiodłeś mi, że jesteś dzielny – powiedziała młodemu bohaterowi.

Tlatl uśmiechnął się.

– Dowiodłem ci swej odwagi, ale muszę dowieść czegoś jeszcze...

– Czego?

– Tego, że jestem mężczyzną. Posłuchaj, co ci powiem... Zakochałem się w tobie, zakochałem się tak bardzo, że mniej sobie cenię własne życie niż pieszczotę twoich ust i rąk. Ale jestem mężczyzną. Nie mogę żenić się z kobietą, która nie liczy się z moim życiem i bez wahania przystała na to, abym jedynie dla pustej przechwałki narażał się na śmierć...

– Ale...

– Uważam, że moja decyzja jest rozsądna. Co ci po mojej dzielności, jeśli nie służy ona niczemu? A co mnie po życiu u twego boku, jeżeli nigdy nie sprawiłaby ci bólu myśl o tym, że mogę zginąć dla twego kaprysu? Nie, nie ożenię się z tobą. Żegnaj!

I odszedł, zostawiając za sobą tłum osłupiałych widzów. Legenda dodaje, że dziewczyna pobiegła za nim. Rzuciła mu się do nóg, całując ręce i stopy ukochanego na znak miłości i oddania. Dopiero wtedy Tlatl zgodził się ją poślubić.

– Zaraz skoczy...

– Jeszcze nie. Modli się przed Świętą Panienką.

– To jego pierwszy skok i te skórzane spodenki jeszcze się na nim dobrze nie ułożyły – dodała tęga dziewczyna z ustami pełnymi bananowego miąższu.

– Kiedy będzie miał za sobą czterdzieści sześć, tak jak mój, to już nie będzie się tak długo namyślał...

– A ty się nie boisz o niego? – pytanie skierowane było do pięknej czarnookiej.

– Ja się modlę za Pedra, przepaść mi go nie odbierze, on jest mój...

Jakaś staruszka przesuwała szybkimi ruchami paciorki różańca, nie tracąc z oczu nic z tego, co działo się wokół. Skaliste stopnie nie były zbyt wygodne do siedzenia, ale za to można było stąd doskonale widzieć cały wąwóz. Gromadzą się tutaj tłumy ludzi – zarówno turystów, jak i skromnych rybaków. Chcą przeżyć tę niezapomnianą emocję obserwując niebezpieczne skoki śmiałków.

– It is something wonderful! (Coś wspaniałego!) – mówiła z zachwytem turystka ze Stanów Zjednoczonych do swych przyjaciół siedzących na hotelowym tarasie.

– Podobno ci ludzie tworzą najmniej liczny związek zawodowy na świecie. Do skoków przed publicznością dopuszcza się tu tylko dwunastu skoczków – dodał ktoś inny.

– To prawda – wtrącił z uśmiechem mężczyzna w charakterystycznym kapeluszu charro. – My, Meksykanie, jesteśmy odważni i lubimy ryzyko. Wielu spośród tych chłopców naraża życie nie dla pieniędzy, ale dla sławy lub dla dziewczyny. Znałem jednego z bardzo bogatej rodziny, który został skoczkiem.

– Tu, w Acapulco, cieszą się oni większą popularnością niż toreadorzy – dorzucił jeszcze inny. – Dawniej młodzi rybacy rzucali się ze skały jedynie po to, aby pochwalić się odwagą i zręcznością. Dziś te skoki przekształciły się w jedyne w swoim rodzaju widowisko, stanowiące wielką atrakcję dla turystów z całego świata.

– Czy to naprawdę takie niebezpieczne?

– Oczywiście. Weźmy pod uwagę, że taki skoczek rzuca się z wysokości trzydziestu metrów. Większej niż jakakolwiek trampolina, a poza tym spada właściwie na ostre głazy dna morskiego, które woda pokrywa w dostatecznym stopniu tylko w ciągu kilku sekund, gdy docierają tam fale przypływu. Trzeba umieć wybrać odpowiedni moment, obliczając szybkość podnoszenia się wody i trafiając na tę chwilę, kiedy grzbiet fali znajdzie się nad głazami. Jeśli spadnie się za wcześnie lub za późno, oznacza to pewną śmierć.

Ale oto rozmowy umilkły. Mężczyzna, który do tej pory stał nieruchomo na szczycie, oderwał się od skały i po długim locie zniknął w spienionej głębi. Nawet ci, którzy widzieli tę scenę nie pierwszy raz, nie mogli oprzeć się emocji. „Czy wyjdzie cało z niebezpiecznej próby"? – pytaliśmy się nawzajem.

Ten skok pozwolił Pedrowi zdobyć sławę i miłość. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy wyszedł z morza i zaczął się wspinać po stromym zboczu. Jego odważny wyczyn nagrodziły oklaski i okrzyki podziwu.

Pedro odrzucił wszelkie pieniężne nagrody. Swój pierwszy skok ofiarował uroczej dziewczynie o wielkich czarnych oczach, która zdobyła jego serce...

UDZIAŁ WZIĘLI

Praca nad wydaniem tej książki trwała prawie rok. Hmm... praca. Nie powinienem tego mówić w obecności naszego Dyrektora, ale więcej tu było frajdy niż pracy. Buszowanie po archiwach Tony'ego Halika w poszukiwaniu oryginalnych materiałów, slajdów i negatywów to przeżycie podobne do wizyty w czołgu Rudy 102. Tony Halik jest bohaterem naszej młodości, legendą... i nagle mieliśmy okazję trochę tej legendy podotykać. A kto konkretnie dotykał i czego?

Posłuchajcie...

Tej książki nie byłoby, gdyby nie Wydawca. Ktoś musiał wpaść na pomysł, że warto odszukać oryginalne wydania dzieł Tony'ego Halika (także te zagraniczne – publikowane pod hiszpańskim imieniem Antonio) i przywrócić je polskim Czytelnikom. Tym kimś był Pan Tadeusz Serocki – Wydawca.

Nie byłoby jej też, gdyby nie Redakcja. Tak jak nie byłoby filmu, gdyby nie kamerzysta, montażysta, reżyser... Oczywiście najważniejszy jest zawsze Autor! Skoro jednak w filmie nagradza się także role drugoplanowe, wymieńmy i my wszystkie Osoby:

MAGDALENA ROZMARYNOWSKA – literacka i merytoryczna redakcja tekstu

Każdy tekst, nawet najlepszy, wymaga redaktora, bo Autor pisze w natchnieniu, z pamięci, z serca i... nawet najlepszemu Autorowi zdarza się w ferworze twórczym pomylić północ z południem. Albo nie napisać czegoś, co dla Autora było oczywiste, a dla nas, dzisiaj, po latach, oczywiste być przestało. Od wyszukania (i podregulowania) takich rzeczy w tekście jest redaktor.

O Magdzie powiem Wam tyle – ma subtelną rączkę i duszę. Kiedy cyzeluje tekst, nie widać cięć – Magda jest „bezszelestna".

AGNIESZKA RAJCZAK – tworzy mapy

Stworzenie map do tej książki łatwe nie było. Pamiętają Państwo pewnie słowa Autora ze wstępu – o tym, że nie będzie się trzymał chronologii, nie będzie relacjonował dzień po dniu ani kilometr po kilometrze, bo nie chce nas zanudzać. Dla Czytelnika to oczywiście gratka, ale dla kogoś, kto ma nanieść na mapę DOKŁADNĄ TRASĘ WYPRAWY, to już przestaje być gratka, a zaczyna... No cóż, nie będę cytował naszych redakcyjnych rozmów – musi Państwu wystarczyć ogólne stwierdzenie, że Panna Agnieszka czasami trochę warczy. Ale mapy tworzy piękne.

IWONA BARANCEWICZ – pierwsza korekta

Poznaliśmy się z okazji korekty mojej pierwszej książki. Pani Iwona pracowała bez zarzutu i szybko; do pewnego momentu. Potem przeczytała w tej mojej książce coś takiego, że trzepnęła nią o podłogę i powiedziała: NIE!

Lubię ludzi pryncypialnych. Szanuję osoby z zasadami. Dlatego po dwunastu latach przerwy... nieśmiało... zaproponowałem... odnowienie współpracy. Na razie to tyle – nie chciałbym kogoś spłoszyć.

EWA GARBOWSKA – druga korekta

Pani Ewa jest z nami od początku. Telefonując do niej w krótkiej sprawie muszę sobie rezerwować pół godziny, bo nigdy nie możemy się dość nagadać. Nie będę owijał w bawełnę – kochamy się. (Ze względu na pewne krępujące okoliczności metrykalne jest to miłość absolutnie czysta!!!)

KRYSTYNA PASZYŃSKA – trzecia korekta

Znamy się od lat. I... lubimy. Ale jest jakoś tak, że w obecności Pani Krystyny zawsze przestępuję z nogi na nogę. Pani Krystyna jest bardzo miła i w najwyższym stopniu kulturalna, a ponadto jej umysł przypomina skład brzytew – to mnie onieśmiela.

ŁUKASZ CIEPŁOWSKI – projekt okładki i szaty graficznej

Jeden z trzech tenorów* serii. Kolega z dawien dawna, a od niedawna także mój kum. Autor wszystkich moich okładek, wizytówek, plakatów, znaku graficznego każdej mojej firmy... Oczywiście zawsze organizuję przetargi – szukam kogoś, kto mi to samo zrobi lepiej. Ale nigdy nie znalazłem.

WOJCIECH FRANUS – opracowanie oraz układ wkładek fotograficznych i zdjęć

Drugi z trzech tenorów.

Tylko on pali. Z tej przyczyny spotkania redakcyjne w jego domu kończyły się chóralnym kaszlem. Spotkania w innych miejscach też kończyły się kaszlem, ale solowym, bo Franus był wyganiany na balkon, a trwała właśnie zima stulecia.

Franus jest w swojej dziedzinie genialny. Kiedy buszował po archiwach Halika, dostawał wypieków. Kiedy potem skanował oryginalne negatywy, zapominał o zegarku i jedzeniu (niestety o papierosach nie). A kiedy układał fotoreportaże do tej książki i widziałem, jaką mu to sprawia frajdę, korciło mnie, by mu zaproponować pracę za darmo – zgodziłby się!

JOLANTA ZAŁĘSKA – renowacja starych fotografii

Panna, bez nałogów, blondynka, a prywatnie szwagierka W. Franusa. Jej zadaniem było przywrócić pięćdziesięcioletnie negatywy do świetności. Usunąć zagniecenia, rysy, brud, a potem jeszcze plamkować, plamkować, plamkować. Plamkowanie to komputerowe zacieranie drobnych ubytków w tych miejscach negatywu, gdzie oryginalna farba odpadła albo ktoś zrobił dziurę. Plamkowanie wymaga świętej cierpliwości. Po godzinie tej roboty przeciętny człowiek ma ochotę skoczyć ze skały. Jola nie jest przeciętna (i jest panną).

PAWEŁ USS – łamanie i skład

Paweł jest z nas wszystkich najbardziej cichy. Niestety siedzi na końcu cyklu produkcyjnego i to na niego spada nanoszenie kolejnych poprawek, a potem poprawek poprawek i poprawek poprawionych poprawek...

A więc Paweł jest z nas najbardziej cichy, ale w tej jego cichości coś się czai. Gdyby był wulkanem, tubylcy mieszkający w jego sąsiedztwie szukaliby dziewic ofiarnych.

WOJCIECH CEJROWSKI – kierownictwo artystyczne

To nie brzmi najlepiej – kierownictwo kojarzy się zwykle z pasożytnictwem. Jednak w tym przypadku jest inaczej! Otóż w tłumie Artystów potrzebny był nawigator. Ktoś taki, komu inni ufają na tyle, by w sytuacjach braku zgody (a Artyści właściwie nigdy się ze sobą nie zgadzają) podejmował ostateczne i nieodwołalne decyzje estetyczne. Ten ktoś to ja. Patron serii? No nie wiem. Wolę, kiedy mówi się, że ona powstaje pod moim „czułym okiem". Przy pracy nad książką T. Halika w tym oku dodatkowo kręciła mi się łezka wzruszenia.

* Trzech tenorów – Łukasz Ciepłowski, Wojciech Franus, Wojciech Cejrowski – twórcy koncepcji plastycznej serii „Biblioteka Poznaj Świat". To my kilka lat temu zasiedliśmy nad stosem moich wydruków i zdjęć i wymyśliliśmy w jaki sposób zrobić z tego książkę „Gringo wśród dzikich plemion". Po tej pierwszej pojawiły się następne – tak powstała seria.